

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 12/134**

**1958**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**A. BOBKOWSKI : WIELKI AKWIZYTOR**

**J. PETERKIEWICZ :  
“ PRZYSZŁOŚĆ DO WYNAJĘCIA ”**

**CZAPSKI I GRUDZIŃSKI —  
LAUREATAMI “ KULTURY ”**

## SPIS RZECZY

Andrzej Bobkowski :	<i>Wielki Akwizytor</i> .....	3
Czesław Miłosz :	<i>Komentarz do komentarzy o nagrodzie Nobla</i> .....	8
Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Wielka książka</i> .....	17
Paweł Hostowicz :	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> —	20
ABE :	<i>„Przyszłość do wynajęcia”</i> .....	27
Jerzy Peterkiewicz :	<i>W jedności zguba</i> .....	32
Jerzy Peterkiewicz :	<i>Skok w tempie zwolnionym</i> .....	43

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>„Rewizjoniści”, których popiera Moskwa</i> .....	55
W.A. Zbyszewski :	<i>Józef Lipski</i> .....	62
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i> .....	67
W.A.Z. :	<i>Papież Roncalli</i> .....	72

### KRAJ

Obserwator :	<i>Notatnik polityczny (1)</i> .....	77
Janina Miedzińska :	<i>Przerosty zatrudnienia w Polsce</i> ....	82

### WOLNA TRYBUNA

Jerzy S. Sito :	<i>Wody terytorialne „rewizjonizmu”</i> ..	92
Józef Jenne :	<i>Dwa rozłamy</i> .....	96

### SPRAWY I TROSKI

Jan Wójcik :	<i>Polacy w Brazylii</i> .....	103
--------------	--------------------------------	-----

### KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski :	<i>Akademia i Norwid</i> .....	129
Bolesław Sulik :	<i>Filmy z Polski</i> .....	135
—	<i>Tegoroczne nagrody „Kultury”</i> ....	143
—	<i>Komunikat Związku Pisarzy</i> .....	144

### KSIĄŻKI

Marian Pankowski :	<i>Klasycy i cudotwórcy</i> .....	145
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ....	151

M. Sokolnicki, A. Czerniawski, B. Czaykowski i B. Sulik, Zb. Siemaszko, St. Westfal, Zb. Gra- bowski, M. Epstein :	<i>Listy do Redakcji</i> .....	152
---	--------------------------------	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Grudzień — Décembre 1958

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## NOTA BIOGRAFICZNA

JAN WÓJCIK — urodzony w 1913 w Rostowie nad Donem. Gimnazjum humanistyczne w Prużanie na Polesiu. Studium samorządowo-spółdzielcze w Brześciu n/B. Samorządowiec, pracował na terenie województwa Poleskiego. Publikacje w fachowej prasie samorządu terytorialnego na tematy administracji i społeczne. Po Kampanii Wrześniowej Oflag w Niemczech, Szkoła Inspektorów Samorządu Terytorialnego. 1946-1949 Kwatermistrz w Relief Society for Poles w Brytyjskiej Strefie Okupacyjnej Niemiec. Od 1949 w Brazylii jako elektryk-nstalator. 1951-1953 oraz 1957 Kierownik Polskiej Godziny Radiowej w Porto Alegre. 1950-1956 Kierownictwo Wydziału Kulturalnego przy Towarzystwie „Polonia” w Porto Alegre.

Przygotowuje większą pracę w formie opowiadania o początkach kolonizacji polskiej w Brazylii.

## DALSZE WPŁATY NA DOM „KULTURY”

L. Hersch, Genewa (Szwajcaria) .....	1.000 frs
Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada) .....	1.350 „
Dr Karol Boniarczyk, New York, (U.S.A.) .....	1.750 „

DZIĘKUJEMY

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że, jak co roku, następnym numer „Kultury” będzie numerem podwójnym, tj. za miesiąc styczeń-luty 1959 r.

## Wielki Akwizytor

Noc, za oknem chrzęst jesiennego deszczu wśród bezlistnych drzew i krzaków w ogrodzie. Domek — czy własny? Nie wie, nic nie wie. Wie tylko jedno : można pogodzić się ze wszystkim całkowicie, dojść do kresu wszystkiego, tylko na własną śmierć nie ma zgody pomimo że jest nieodwołalna.

Kilka dni temu powiedział do kogoś : „Jestem stary ; najgorsze co mogłoby mnie spotkać byłaby śmierć”. — Łatwo się mówi, bo... bo absolutną nieuniknioną przyjmuje się i tak jakby była tylko — możliwością. Czuje to, wie o tym właśnie teraz.

Śmierć. Myśli się o niej, mówi i pisze, nadużywa jej imienia na każdym kroku, ale prawie zawsze gdy chodzi o drugich lub gdy miga z daleka. I nawet wtedy, gdy ukaże się w monstrualnym zbliżeniu wskazując palcem wyraźnie, najpełniejszą rezygnacja nie jest nigdy całkowicie pełna. Pozostaje jakiś luz, jakaś przedziwna szpara, w którą gdyby wepchało się wszystko, gdyby wypełniło się ją pakunkiem całej wiary, wszystkimi słowami Chrystusa i doszlifowało osobno z precyzją „bądź wola Twoja” jako wkładkę, to jeszcze ciągle pozostanie szczelina. A w niej wciśnięte, sprasowane jak ładunek dynamitu, gniecie się życie; zawsze gotowe do wybuchu, pełne niewyraźnych szepków, nadziei, marzeń o przyszłości. O przyszłości tu — nie Tam.

Życie. — „Życie nie jest nigdy surowcem, substancją do formowania... jest czymś, co znajduje się w bezkresnej odległości od tępych teorii przyjętych o nim przez ciebie lub przeze mnie”. — napisał w swojej powieści. Życie. „I uzdrowiona została niewiasta od onej godziny... A gdy wygnano rzeszę, wszedł i ujął rękę jej i powstała dziewczeczka”. — Uzdrawiał chorych i wskrzeszał umarłych. Pełno tam tego. „I rozeszła się sława po wszystkiej onej ziemi”. — Komu przyszło na myśl, że uzdrowieni musieli później i tak umrzeć, a wskrzeszeni umierali kiedyś po raz drugi? Blask przywróconego życia zaćmiewał wtedy i zaćmie-

wa jeszcze dziś wszelkie myśli, które można by o tym snuć dalej. Pozostaje życie... Mówią że tragiczne, bez sensu. Ale może sens jest właśnie w jego sile, w jego istnieniu, w nim samym? Jeśli nie, to ocierając się n a p r a w d ę o jego koniec, odmów uzdrowienia, odmów przedłużenia go choćby na krótko, choć byś miał cierpieć. Potrafisz? Ilu to uczyni?

„Człowiek urodził się by żyć, a nie aby przygotowywać się do życia”. — powtórzył w ciemności własne słowa półgłosem. Jedne z wielu nieszczęsnych. Kilka dni temu żył, cieszył się życiem trzymając w rękach depeszę o przyznaniu mu najwyższej nagrody, jaka może przypaść żyjącemu pisarzowi. Odpowiedział sześciora słowami po angielsku, pełnymi radości. Może sens życia tkwił właśnie w tym wydarzeniu, w krótkim błysku szczęścia? Nagroda tu — nie Tam. Jest się tylko człowiekiem.

Podszedł do okna i wpatrzył się w mokrą czerń ogródka. — Nie wolno być człowiekiem, po prostu człowiekiem, człowiekiem bez przymiotnika. Nie wolno pisać o życiu, samym życiu, o życiu bez przymiotników. I nie wolno być sobą, tylko sobą i niczym więcej. Nie wierzył, wydawało mu się przez chwilę że potrafi się wymknąć. Radość, zwyczajna, bez dodatków, osłepiła go i pozwoliła nieopatrznie zapomnieć o rachunku prawdopodobieństwa, choć nie brakło ostrzeżeń. Teraz płacił za tę chwilę zamroczenia.

„Judasz!” — krzyknęli natychmiast już przyczajeni do skoku, gotowi. Uśmiechnął się z goryczą przyciskając czoło do szyby. To jedno imię przyjęli i uznali za swoje piętnując nim każdego, kto nie chciał nim zostać naprawdę. Wobec innych i przede wszystkim wobec samego siebie. To bolało ich najbardziej. — „Swinia” — wrzeszczeli i domagali się pozabawienia go obywatelstwa, skreślenia ze spisów ludności, wygnania z kraju. Może z żółtą opaską na ramieniu? — pomyślał mimo woli. — „Nie możemy oddychać tym samym powietrzem” — wołali z patosem biblijnego tłumu w środku XX-ego wieku. Kto? — Pisarze, inteligencja, ludzie kultury. W nagrodę od nich dostawał dzwonek trędowatego.

Odwrócił głowę szukając w mrocznym pokoju znajomej postaci. Łudził się, że może tym razem nie odezwie się, nie wypowie proroczych słów. Znał je na pamięć. Przeżył tutaj życie w obecności tej zjawy jak każdy myślący człowiek. Była nieodstępny towarzyszem wszelkich rozważań, słów wypowiedzianych i rzucanych na papier, wszystkiego. Lecz nie kardynał we własnej osobie, Wielki Inkwizytor na tle katedry, sztywny starzec z zapadłymi oczyma w szorstkim, zużyтым habicie mnicha. Zaśmiał się cicho. Agent, akwizytor ideologii.

Widział go gdy wchodził. Porządne palto, szare ubranie i czysta koszula, krawat, na głowie miękki kapelusz. Pod pachą skórzana teczka. Oglądał jadalnię, zatrzymał się przy domowej kapliczce lodówki, otworzył ją i sprawdził z uwagą zawartość. Pokiwał głową. Wszedł wolnym krokiem do jego po-

koju. Był pewny siebie i z wyraźnym zadowoleniem wymawiał przed jego nazwiskiem słowo „gospodin”. W jego ustach miało ono coś z trzasku zgniataney wszy. Mówił w nim i do niego.

„No — ani słowa, wygodnie się wam tutaj żyje, gospodin P. Słusznie, słusznie — wewnętrzna emigracja. Wygoda przede wszystkim. Doczekaliście się wreszcie i wy mojej wizyty, choć nie w tamtym wcieleniu. To były dawne czasy, dobre czasy, co? Skończyły się, gospodin P. Przyznajcie jednak, że tkwił w was kawałek nadziei, iż przyjdę w habicie i będę rozmawiał z wami jak tamten z Chrystusem. Wiadomo — poeta...”

„Taka sobie skromna analogia: palmowa niedziela, w Stockholmie wołali „król”, a tutaj plują i krzyżują. Za wszystkich zmuszonych do milczenia, za pisarzy i artystów polykających własne myśli w dzień i dławiących się nimi po nocach lub odwrotnie; za młodych co chcą żyć, a nie przygotowywać się przez całe życie do życia przyszłych pokoleń, za Człowieka z wielkiej litery. Aż ścisną w gardle. Myśleliście o tym, prawda? Choć troszkę. — I rozpuczyło. Pewnie ta poetycka wizja tak wam wzdęła piersi że przestaliście widzieć co się dzieje pod nogami. No ale wy nie Chrystus i ja nie kardynał. Chrystus nie niebezpieczny, nie filozof. Mętna mowa, ciemne słowa. Nieziemskie obietnice i nieziemskie wymagania. Dużo grzechów i żadnego argumentu na usprawiedliwienie ich wobec samego siebie. A argument to ważny produkt, bardzo ważny...” Cmoknęła i stuknąwszy wskazującym palcem w rondo kapelusza, przesunęła go na tył głowy.

„U nas jest jeden jedyny i prawdziwy grzech i wy go znacie najlepiej: przypominać człowiekowi że jest t y l k o człowiekiem i pokazywać go w życiu, które jest t y l k o życiem. Nic więcej, ale to wystarczy. Wy, gospodin P., i wam podobni ujawniacie tym prostym środkiem całą wielką abstrakcję naszej ideologii tak, że rysuje się wyraźnie jak cień na kontrastowej fotografii. Wywołujecie na naszej pracowni wyprodukowanej kliszy to, co nigdy nie może być wywołane i całkowicie ujawnione, bo wtedy zawali się w i a r a, spadną zamówienia na nasze obrazki. Skraplacie niewidoczny i odurzający opar, którego wytworzenie kosztowało nas długie lata wysiłku. I potem z niewinną miną, jakby nigdy nic, stawiacie ludziom przed oczami w a s z e obrazki bez jednego słowa, bo wiecie że ono niepotrzebne, że k a ż d y zrozumie. To gorsze od ewangelii i przypowieści”.

„Zmęczeni tym wszystkim co dzieje się wokół nich, mając po uszy i życia i ludzi, z którymi spotykają się na każdym kroku, rzucają się na najzwyczajniejsze opisy tych ludzi i tego życia jak na objawienie gdy są tylko pokazane takimi, jakimi s ą. Nie dosyć im tego i w dzień i w nocy? Nie. I wy wiecie jeszcze lepiej niż oni, dlaczego nie. Ale i my wiemy. Dlatego wasza książka i każda książka, wasze słowa i słowa innych, którzy posługują się tym prostym środkiem nie mogą się u nas ukazać. Nie wiedzieliście o tym? Brakło wam przykładów?”

„Żyliście spokojnie, mieliście dom, lodówkę dobrze wyposażoną, ogródek; mieliście swój klimat i krajobraz, swoją ziemię, drzewa i niebo i jednocześnie swój własny kontynent w sobie, do którego emigrowaliście kiedy tylko przyszła wam na to ochota. Bogactwo, kapitał, psychiczna turystyka i wczasy. Ci, o których my dbamy naprawdę, muszą pić żeby się wyrwać — a wy po trzeźwemu, w każdej chwili. I jeszcze wam było źle, jeszcze za mało. Co was podkusiło, na co liczyliście? U nas jak w raj — tylko jednej rzeczy nie wolno, tylko tego jednego jabłuszka zerwać nie wolno, a wam jeszcze źle. Na co liczyliście? Że my dudy w miech i razem z innymi będziemy bić brawo? Zastanówcie się, gospodin P.”

„Chcieliście spróbować co się stanie, jak głupia ćma wpadnie we własny blask i oślepiło was. A może liczyliście że my tym razem nie odważymy się, bo byłby za wielki skandal jeżeli damy pałką w łeb wielkiemu pisarzowi? Ilu nią dostało? Tyłu, że ta naiwna postać stała się już banalna i ograna i zdążyła zawędrować do ksiązek i sztuk teatralnych. Czytaliście je. Powstało ich trochę gdy przez chwilę wydawało się wam, że pozwolimy pohulać. Pisarz! — Tylko co daliśmy pałką w łeb całemu narodowi w środku *waszej* Europy, zlikwidowaliśmy potem jego przywódców — i co? Widzieliście. Nic”.

„Wy, specjalista od życia, zapomnieliście w waszym wypadku o życiu, o egoizmie życia. Znać jego tajemnice i prawa, ale i my je znamy. Każdy chce przede wszystkim żyć i tylko to go w końcu obchodzi. To przykro, ale my wyciągamy wnioski. Chcą żyć na ziemi, tu — nie Tam. Opluli was tutaj, gospodin P., i jeszcze bardziej oplują, bo chcą żyć coraz lepiej; pokrzyżują trochę tam, gdzie wam dali nagrodę, i umilkną bo chcą dalej spokojnie żyć. A wy nie chcecie? Jak mały chłopczyk, zapytaliście czy Faulkner albo Hemingway was przeczyta. Nie wiadomo. Nehru obiecał. Przeczytają — i co? Neruda grozi wystąpieniem z partii. Nic takiego — zostaną setki innych. Argumenty, te „obiektywne”, są po naszej stronie i czy wy zdajecie sobie sprawę, że na ich tle wy zaczynacie już wyglądać trochę pokracznie, niewybaczalnie naiwnie? We Francji zaczęli już z was delikatnie podkpiwać choć nie napisaliście jeszcze żadnych listów. Wiecie — tych znanych i zawsze takich samych, których wzory przyniosłem wam na wszelki wypadek. Tu trzeba bez fantazji pisarskiej, ściśle według wzoru, jak polisa ubezpieczeniowa. Inaczej mogliby pomyśleć że coś się zmieniło albo że wy macie specjalne prawa”.

„Możecie także wyjechać, my wam nie bronimy, bo wiemy że nie wyjedziecie. Za młodych lat popróbowaliście emigracji i po dwóch latach próby zostawiliście rodzinę w Berlinie i wrócili tutaj dobrowolnie. Możecie jednak wyjechać, porozmawiać z Faulknerem, z Hemingwayem, z innymi stamtąd. Dodałoby to wam ochoty na powrót, bo należycie do typów nieprzesadzalnych. Rozmowy z nimi tylko by was w tym utwierdziły. Wyjazd dobrowolny lub przymusowy oznaczałyby dla was śmierć.

Śmierć „Pana z San Francisco”. I nie strzelicie sobie w łeb, bo chcecie żyć. Wy chcecie żyć nawet gdybyście musieli chodzić od domu do domu i żebrać zaciskając kołnierz palta jedną ręką wokoło szyi i wyciągając drugą. Tym znanym ruchem, wiecie, co to zawsze budzi litość nawet w najbardziej uspołecznionej jednostce. Do tego przy siwych, zmierzwionych włosach nad tragiczną twarzą inteligenta powodzenie macie zapewnione. Ciepłej zupy na pewno wam nie odmówią — i może ciepłego spojrzenia. To wszystko — gadać z wami nie będą. Nie rozmawia się z podłym wężem, któremu zachciało się żyć wśród orłów. Znać tę bajkę? Przygotujcie się i na nią”.

„No tak — to by było już wszystko. Aha — a jak będziecie pisać te listy, to możecie się nie kępować. Możecie napisać „dobrowolnie”, „z własnej i nieprzymuszonej woli”, „niezmuszony” itp., ile razy zechcecie. My wiemy, że to taki niewinny szyfr z przyjaciółmi stamtąd. Będą mieli o czym mówić po kawiarniach i na koktajlach w Ameryce. Nam to nie przeszkadza... Hm, swoją drogą przypominacie uderzająco balon. W locie wydęty i błyszczący, na ziemi — gdy spadnie — czysty łach. Aż trudno uwierzyć. Ale o to właśnie chodzi, o nic innego. Nie martwcie się jednak. Wasz przykład posłuży innym i oszczędzi kłopotów im i nam. Aż do następnego razu. Jabłuszko kusi, tylko że bez niego nie byłoby raj. Dobranoc, gospodin P. Krótka była wizyta bo ja nie kardynał i wy nie Chrystus. To tak jeszcze raz dla pamięci”.



Podszedł do stolika, zapalił lampkę i wyjął z szuflady kartkę papieru. „Szanowny Nikito Sergejewiczu!...” Jak poddany w feudalnych czasach do swojego pana aby go nie wypędał, aby pozwolił mu być poddanym w jego dobrach. W XX-ym wieku. Nie spadła ani jedna gwiazda, nie zatrzęsała się ziemia.

Był tylko człowiekiem i chciał tylko żyć. Nic więcej.

Andrzej BOBKOWSKI

## Komentarz do komentarzy o nagrodzie Nobla

Literat polski pisząc o Borysie Pasternaku nie naraża się przynajmniej na posądzenie, że zapoznał się z tym autorem dopiero poprzez „Doktora Ziwago”. Pasternak zawsze był w Polsce uważany za poetę rosyjskiego Nr 1, czy raczej za jedyne żyjącego rosyjskiego poetę, jeżeli pominąć Achmatową. Próbowano tłumaczyć jego wiersze i przed wojną i po wojnie, na ogół z niezbyt dobrymi wynikami, bo prawie nie da się pokazać, na czym polega ta destylacja rosyjskiego słowa. Polakom i Rosjanom, kiedy się spotykali, służył za znak rozpoznawczy pewnego wtajemniczenia, stanowił jedną z bardzo nielicznych więzi kulturalnych, na przekór oficjalnej literaturze. Mit Pasternaka pozwalał również rozpoznawać się wzajemnie, jedną cytata z niego, niektórym młodym Moskwy i Leningradu, dostarczał dowodu, że należy się do kół rządzących myślowym i artystycznym kiczem. Natomiast miliony mieszkańców Związku nic o Pasternaku nie wiedziały. Od 1935 roku drukowano go rzadko, sławne były jego przekłady ale wkraczał w sferę niejasną, spuszczenia oczu i półślovek, a wielu sądziło, że dawno umarł.

Legenda Pasternaka trwała na Zachodzie, podtrzymywała ją w środowiskach intelektualnych Francji, Anglii i Ameryki jego wielbiciele rosyjskiego pochodzenia. Od czasu do czasu tłumaczono jego utwory, choć przekłady zniechęcały nieraz czytelnika, który musiał brać na wiarę przysięgi, że jest to wielki pisarz. Dwa tomy jego dzieł wydał w 1945 r. w Londynie Stefan Schimanski (tłumacze: Beatrice Scott i Robert Payne), który usprawiedliwia się z niedociągnięć i tak powiada: „Raczej niż czekać, sądziłem, że lepiej jest wykorzystać ten ważny moment i udostępnić największego żyjącego poetę Rosji odbiorcom angielskim. W każdym okresie pojawienie się jego byłoby ewenementem w dziedzinie kultury, ale dzisiaj nabiera wagi ewenementu również w dziedzinie porozumienia”. Amerykańskie „New Directions” James’a Laughlina, specjalizujące się w literaturze awangardy,

wydały w 1949 r. „Selected writings” Pasternaka („Sauf-conduit”, wybór opowiadań, „Powietrzne drogi”, „Listy z Tuły”, „Dzieciństwo Luwerów”, „Obcy”, wybór wierszy). Jednak doskonała tłumaczka poezji rosyjskiej, Babette Deutsch, nie okupuje całości — ta proza Pasternaka przetransponowana na angielski (Scott-Payne) jest jak zakalec. Prozę tłumaczono też na francuski i niemiecki. Jak mogłem się przekonać, literaci francuscy i niemieccy znali dotychczas na ogół „Sauf-conduit”, czyli autobiografię napisaną w 1931 r. (Nowy, napisany kilka lat temu „Zarys autobiografii”, podobnie jak powieść zakazany w Rosji, „Zarys autobiografii”, ukazał się po francusku równocześnie z „Doktorem Ziwago”).

Paradoksalne, autor który w swoim kraju „wypadł z łaski” i którego utwory krążą tam w ręcznych odpisach, istniał w zachodniej części świata a nawet przyjaciele Rosji zawsze przytaczali jego nazwisko jako argument. Nie jest więc prawdą, że fame „Doktora Ziwago” potrafiliby ukuć dziennikarze dla politycznych celów. Działała tutaj zasada „transmisji”: huk i szum powstał najpierw w kołach literackiej międzynarodówki, zaliczającej zawsze Pasternaka do swoich honorowych członków, i rozszerzał się stopniowo na grupy mniej wybredne. Akademia szwedzka nie dałaby nagrody Nobla pisarzowi, który by nie był już od dawna wysoko notowany przez środowisko „high-brow”, bo na tę opinię jest szczególnie wrażliwa.

Powiedzmy wreszcie, że monstrualna architektura cukiernicza, dekoracje moskiewskiego metra, zespoły „piesni i plaski”, pompierskie malarstwo, muzyka imitująca wystrzały armat i tupot piechoty, nie są tylko sprawą polityki. Dla rządzących i dla szerokiego mas to właśnie jest piękno. Cały ten gatunek smaku — a oznacza on również niewrażliwość na pewne formy myśli — rodził się już w Rosji ubiegłego stulecia i był jak rzeka, która podmywa wyspy, zanim nie rozleje się powodzią. Źródła są, przynajmniej słuszność teoretykom tego stylu, „narodne”. W „Dniwnikie pisatiela” Dostojewskiego znaleźć można jego sądy o malarstwie i zawarte w nich jest oczywiście wszystko. Z okazji wysłania obrazów na wystawę do Wiednia zauważyła z pogardą, że przecież Niemcy, Francuzi itd. nie odczuwają uroku tych scen rodzajowych. Bo na przykład obraz przedstawia kilku myśliwych siedzących pod drzewem i opowiadających sobie swoje przygody. Niby każdy zobaczy, że jak myśliwi na całym świecie chętnie się jakimiś nieprawdopodobnymi sukcesami. Tak, ale oni *lęą po rosyjsku (wrut po ruszki)* i dlatego nie pojąć tej sceny niższym ludziom zachodnim. Więc wiara w *zbiorną temperaturę* (Heraklit powiedziałaby: wilgoć) jako istotę sztuki, czyli dokładne przeciwieństwo Mozarta. Zresztą w tymże „Dniwnikie pisatiela” czyta się polemikę Dostojewskiego z Dobrolubowym jakby miało się przed sobą „Litieraturną Gazetę”: już niemal ta sama problematyka.

Ale w Rosji, tak jak wszędzie, istniały dwie kultury, kultura elity i masowy żywioł. Ten teren rozważań jest ryzykowny i trudno tu zamknąć w kilku zdaniach coś, na co potrzeba byłoby chyba tomów. Więc tylko kilka pytań. Czy elita intelektualna Rosji nie była mniej dumna niż gdziekolwiek, bardziej kająca się, bardziej zżerana przez poczucie winy i skłonna masowemu żywiołowi ulegać? I czy nie temu uleganiu, zespoleniu — w czym krył się już zarodek samozagłady — literatura rosyjska nie zawdzięcza największych swoich osiągnięć? A dalej, czy całkowita niemal fizyczna likwidacja elity po Rewolucji nie zmieniła Rosji w kontynent rojących się tłumów plebejskich, w czym jest spore podobieństwo do Ameryki w dobie industrializacji? I czy technika zastosowana do kultury nie przyniosła podobnych skutków tj. eksploatację przeciętnego smaku, choć w innym tu i tam celu? Jak twierdzi Dwight Macdonald, nowość *mass culture* na tym polega, że nie jest ona wytworem artystów ale jest fabrykowana dla masowego rynku przez techników, których oplaca klasa dzierżąca władzę. Cel może być zarobkowy i podskórnie-polityczny, jak w Ameryce, czy tylko pedagogiczno-polityczny, jak w Rosji, ale definicja stosuje się w oku wypadkach. Jeżeli zgodzimy się z takim założeniem, okaże się absurdem porównywanie sytuacji poetów, powieściopisarzy i malarzy w obu krajach. Bo odpowiednikiem literata z Moskwy czy Leningradu nie będzie amerykański poeta, utrzymujący się z wykładów na uniwersytecie czy z darów fundacji i publikujący w miesięcznikach o dwóch tysiącach nakładu, ale technik *mass culture*, który zarabia 3.000 dolarów miesięcznie, pisząc dla popularnych magazynów, telewizji czy filmu. Może uważać to co robi za piękno, albo spodziewać się, że podstępnie wprowadzi do swoich skryptów elementy „wyższej kultury”, ale zawsze płaci wreszcie depersonalizacją.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że Hollywood zyskuje wszechmoc polityczną i zabiera się do urobienia całej literatury na swoją modłę. W filmie nie wolno przedstawić w niekorzystnym świetle np. krawca, bo związki zawodowe krawców podniosą piekło: j e d e n krawiec-lajdak w języku kultury masowej równa się wszystkim krawcom, on ich egzemplifikuje a przez to okrywa niesławą. Hollywood, na tym wykształcone, zachowywałoby się wobec autorów „dzikich”, tj. artystów a nie techników, tak mniej więcej jak rosyjskie czynniki miarodajne wobec powieści Borysa Pasternaka: bankructwo jednego przywódcy w wojnie domowej równa się bankructwu wszystkich rewolucjonistów, a jeden Żiwago-melancholik równa się dwustu milionom melancholików.

Pasternak jest niedobitkiem elity intelektualnej ale bynajmniej nie wewnętrznym emigrantem, bo nie zatrzymał się w jednym punkcie i zawsze brał z otoczenia co trzeba, żeby swoje pisarstwo rozwijać. Ciekawe, czy w Moskwie zdaje się sobie sprawę, że ta gorąca i prawdziwa sympatia do Pasternaka w kołach literackich Zachodu jest przede wszystkim sympatią pro-

fesjonalną ludzi świadomych czym grozi im samym *mass culture*, poddana dyktatom nie tylko polityki, ale samej techniki. Szacunek dla kolegi, który obronił swoją sztukę w warunkach dziesięciokrotnie trudniejszych.

Tandeta czyli kicz, dostarczana wielomilionowym masom jako pokarm duchowy, zawsze z powołaniem się na argument że „przecież tego chcą”, przybiera różne kształty, zależnie od przeszłości danego kraju i od ustroju. Jej zjadliwość i siła destrukcyjna są tym większe, im większe jej pretensje, to znaczy im szlachetniejszych składników używa się żeby wyprodukować mydło. Filmy „Westerny” są niewinne, ale Stendhal w przeróbce Hollywoodu to już gorzej. Z tego powodu masowa tandeta czyli kicz w Rosji, robiona *mit tierische Ernst*, jako wkład w budowę „kulturowej żizni”, z pasożytnictwem na klasykach, ze swoistym akademizmem, przenika zapewne głębiej i, eksploatując patos, zamyka człowieka masy w kole z którego nie ma wyjścia. Poza tym na jej straży stoi miecz państwa, karzący odstępstwów od uznanego smaku, wskutek czego nieliczni wyrafinowani przemycają się chyłkiem, uciekają w dłubania i przekłady.

Jakkolwiek w krajach zachodnich nie ma karzącego miecza, a naciskowi pieniężnemu popychającemu do pracy dla masowych rynków można się oprzeć, niebezpieczeństwo grożące pisarzom i artystom jest poważne: niebezpieczeństwo izolacji. Bo rzec nie kończy się na tym, że ktoś decyduje się pisać czy malować dla wybranych. Sama ta decyzja jest już porażką. Klan znawców układa swoje kanony i te, zwykle nadmiernie subtelne i zawiłe, obowiązują. Naiwność i prostota są tępiące jako brak taktu, wystawiają na sztych posądzeń o sprzyjanie wulgarnym gustom.

Dlaczego literaci zachodniej Europy i Ameryki uznali „Doktora Żiwago” za książkę, która, mówiąc słowami Alberta Camus, „góruje nad całą literacką produkcją światową?” Dlatego zapewne, że zaspakaja ona ich tęsknoty. Pasternak odważył się napisać powieść n a i w n a , czego już nie umieją. Pomiął cały kicz narastający od Rewolucji i nawiązał bezpośrednio do wielkiej rosyjskiej prozy dziewiętnastego wieku — a ta ulegała żywiołowi masowemu, zachowując równocześnie elitarne wymogi. Jak wolno wnioskować z niektórych jego wypowiedzi, urzędowe dyskusje o dekadencji stylu, które miały pomóc w zachęceniu jego moskiewskich kolegów do fabrykacji kiczu i tandety, nie były dla niego bez korzyści, choć wyciągnął z nich własne wnioski. Wstydzi się swoich wczesnych wierszy: zanadto wyszukane formalnie. Niezbyt przychylnie ocenia swoją prozę z „Sauf-Conduit”. Jego ideał określają następujące cytaty z „Doktora Żiwago”:

„Przez całe życie marzył o oryginalności zatartej i przytłumionej, niewidocznej na pierwszy rzut oka, okrytej zasłoną

swojskiej i powszechnie przyjętej formy. Przez całe życie starał się wypracować ten styl bezpośredni i bez pretensji, który pozwala czytelnikowi i słuchaczowi przyswoić treść, bez zauważenia nawet w jaki sposób ją zdobywa. Przez całe życie dążył do stylu, który nie zwraca niczyjej uwagi i przerażało go, że jest jeszcze tak daleko od tego ideału”.

„Ze wszystkiego co rosyjskie najbardziej cenię teraz dziecinność Puszkina albo Czechowa i ich wstydlivy brak troski o rzeczy tak jaskrawe, jak ostateczne cele ludzkości czy własne zbawienie. Mieli oni na to swoje poglądy ale nie nęciły ich tematy równie mało dyskretne, nie było to ani w ich guście ani w ich kompetencji”.

„Doktór Żiwago” jest to romans z szeroką panoramą historyczną. Chociaż wolno pod pewnymi względami zestawiać go z „Wojną i pokojem” Tołstoja, należy dostrzec w nim inne, już nie dziewiętnastowieczne elementy. Kilkanaście postaci, wrzucanych w kocioł społeczeństwa przeżywającego paroksyzm, spotyka się, mijają, traci siebie z oczu, znów się spotyka, a ich ścieżki wyznacza Los. Czyli schemat romansu w jego świetnych początkach, w XVIII wieku, jeszcze wyraźny u Balzaka. Ponieważ *deus ex machina* to Historia (rzeklibyśmy naga, nie przesłonięta, jak dawniej, przez pieniądź), do uchwycenia jej ruchu nie wystarczają środki odziedziczone i stać u Pasternaka skłonność do cięż jakby filmowych; mógł je wziąć od Pudowkina i Eisensteina.

Nurt literatury współczesnej, i rosyjskiej i zachodniej, jest więc pominięty. Nostalgiczny podziw pisarzy i artystów dla Pasternaka ma za podszewkę ich niemożność. Nie zdołają tak pisać, bo 1) brak im doświadczenia historycznego o tej skali 2) lęk przed prostotą („wulgarnością”) każe im zgęszczać, podczerniać, *ricaner* czyli sztydzić, czego następstwem jest sadyzm. „Doktór Żiwago” to jedno pasmo horrorów, ale nie ma w nim ani cienia złości do istnienia, tak szkodliwej dla epiki. Przeciwnie, wszystkie nieszczęścia są opowiedziane z ogromnym współczuciem i jeżeli nazwie się tę powieść książką chrześcijańskiego współczucia, zapewne utrafi się w sedno. Pasternak nie wybrał więc ani awangardowej izolacji (w prozie równa się ona sadystycznemu pastwieniu się nad postaciami) (1) ani kiczu (ten współczucie rezerwuje dla świetlanych charakterów). Wobec naporu kultury seryjnej zastosował inną, bardziej elastyczną taktykę.

Uznać czyjaś wielkość to nie to samo co ulec urokowi. Nie jestem Rosjaninem i filozofia ukryta w gąszczach „Doktora Żiwago” (bo jednak dużo filozofii) jest mi obca. Wyliczmy co jest obce. Rosja jako „ciało mistyczne”, jako człowiek ukrzyżowany czyli niejasna wiara w oczyszczającą moc zbiorowego cierpienia. Owszem, Pierre Bezuchow z „Wojny i pokoju” przekształcił się wewnątrznie w obozie jeńców, nauczył się cierpliwości i akcepta-

(1) Przedostawanie się chwytów awangardowo-sadystycznych do „mass culture” to odrębne zagadnienie.

cji od chłopca Płatona Karatajewa. Niejednemu z nas dane było zakosztować podczas wojny podobnych doświadczeń. Ale zbiorowe cierpienie, przekraczając pewną granicę, owocuje zbyt często jedynie w bestialstwie. Jest to kuszenie Pana Boga. Społeczeństwa nie powinny być tak urządzone, żeby jak największej ilości ludzi dostarczać okazji do uświelenia się przez mękę. Następnie, cała koncepcja historii. Jeżeli Pasternak, podobnie jak ogół jego rodaków, rozpoznał w historii siłę zewnętrzną w stosunku do człowieka, analogiczną do sił przyrody, to jego rzecz. Ta pokora Rosjan skazywała ich na marksizm, nie w jego odmianie dialektycznej ale materialistycznej (bo zależy który pedał przyciśnie się w marksizmie) i na bicie pokłonów przed nieludzkością („Ałłach dajot położenje”, jak mawiał pewien stalinista-mahometanin). Gdyby jednak nawet w dwudziestym stuleciu historia okazywała się potężniejsza niż nasz umysł i wola, wewnętrzny protest przeciwko zgodzie na bezsilność nie może nas zawodzić. Osadnik z Biblią był wyższym typem ludzkim niż chłop rosyjski, znoszący brud, choroby i kłęski elementarne jak susza, powódź, pomór bydła, dlatego że tak wypadło z wyższych wyroków. A wnukowie tego chłopca, którzy swój lękliwy kult bezlitosnej przyrody zamienili w lękliwy kult bezlitosnej historii, nie mogą budzić zachwytu, choćbyśmy umieli ich zrozumieć (2). Dalej, chrystianizm Pasternaka, marzycielski, roztopiony w rozmyślniach o historii — nie wiadomo czy chodzi o zbawienie człowieka, czy o zbawienie ludzi w liczbie mnogiej, narodów, w czym powtarzają się jakby akcenty z „Dwunastu” Aleksandra Błoka, gdzie Chrystus kroczy na czele rewolucyjnego patrolu („W białym wienczykcie iz roz/ W pieredi Isus Christos”). Wreszcie, dość uzasadniona w kraju, gdzie związki pomiędzy ludźmi są bardzo psychicznie zawężone i dwuznaczne, myśl, że dobroć musi być cechą „jurodiwych” czyli dostaje wariackie papiery. Myśl manichejska, kluczowa, ale nieco inaczej pojmowana wszędzie poza wschodnim chrześcijaństwem. W postaci doktora Żiwago spotykają się Aljosza z „Braci Karamazowych” i książę Myszkina z „Idioty”. Tego porównania nie posuwajmy zresztą zbyt daleko. Żiwago, kiedy prowadzi w Moskwie nędzną egzystencję „lisienca”, realizuje pełne *o d e r w a n i e*, przebywa, nosząc węgiel i zmywając podłogi, w rodzaju nirwany, bardziej pasywny niż Aljosza czy Myszkina.

(2) Nie zarzucam bynajmniej Pasternakowi fatalizmu, bo to co innego. Jego krytyka jest ostra: „Cnotliwe słowa Innokientego Dudorowa były w duchu czasu. Ale właśnie to co było normalne, przejrzyste w tej obłudzie doprowadzało Juriego Andrejewicza do szału. Człowiek w kajdanach zawsze idealizuje swoje niewolnictwo. Tak było w Średniowieczu. Później spekulowali na tym Jezuiti. Jurij Andrejewicz nie mógł znieść tego mistycyzmu politycznego sowieckich intelektualistów, który stanowił ich największe osiągnięcie, ich zdobycz, czy też, jak mawiano wtedy, duchowy pułap epoki”. Kto wie jednak, czy Pasternak nie potępia tutaj objawów, przyjmując w swojej koncepcji historii te same co oni przesłanki.



„Doktor Żiwago” nie jest powieścią ani komunistyczną ani antykomunistyczną. Na niczym chyba nie jest oparte to, co zarzuca się Pasternakowi w Moskwie: że zaprzecza on celowości Rewolucji, bo z jego opisów wynika, że przyniosła ona tylko nędzę i terror. Jak mógłby tak twierdzić, jeżeli historia dla niego nie zależy od ludzkich chęci czy grymasów i dzieje się po prostu? Co było, być musiało, ponieważ było. Niechęć do przyznania roli jednostce, tak wyraźna u Tolstoja (cała polemika o Napoleonie w „Wojnie i pokoju”) jest posunięta o stopień dalej: jednostki, którym zdaje się, że opanowują historię, są tylko bezsilnymi kukłami w jej rękach, są przez nią wykorzystywane i następnie wyrzucane na śmietnik. Kara spada za nie dość pobożną postawę wobec dziejowego misterium, które ma swoje tajemne sposoby. Tutaj wolno zaryzykować przypuszczenie, że książka Pasternaka proponuje pewną etykę. Nie jest to etyka rządzących ale rządzonych. Posłuszni, skryci, pielęgnują niewyznaną nikomu, a może i samym sobie, wiedzę o bóstawie ruchu, nieprzychylnym dla ludzi władczych, zanadto ufnych w swój rozum i energię. I wstydliwie nie troszczą się o „rzeczy tak jaskrawe jak ostateczne cele ludzkości czy własne zbawienie”.

Krytyka ustroju? To raport Chruszczowa był krytyką albo takie książki jak Dudincewa. Krytyka powstaje wskutek zaangażowania. Pasternak nie jest zaangażowany. Ustrój to sfera faktów a fakty powinny być przedmiotem refleksji pisarza, nie więcej. Charakterystyczne, że prasa zachodnia, szukając w „Doktorze Żiwago” smakowitych kąsków, zawsze z całego grubego tomu przedrukowywała ten sam jeden rozdział, gdzie zresztą, obok spojrzenia wstecz na okropności koncentracyjnych obozów, szczególnie dobitnie wyrażona jest wiara w odkupiającą moc bólu i jutrzejszą wielkość duchową Rosji.

O co innego niż o „anty-komunizm” Pasternaka chodzi w tym konflikcie. Jest to obława z naganką na pisarza, który ośmielił się pogwałcić przepisy seryjnej kultury kiczu i tandety, odwrócić się plecami od haseł dnia i podjąć motywy Dostojewskiego. Taki pisarz to groza, bo godzi w tezę, że w s z y s t k o dzisiaj musi sprowadzać się do walki pomiędzy dwoma blokami, a jeżeli ktoś ludzi się, że zrzuca z siebie tę żelazną obróżę, to i tak „obiektywnie” pomaga jednemu albo drugiemu blokowi. Należało więc za wszelką cenę niesfornego osobnika upuścić, skrócić o głowę, i raz jeszcze przypomnieć publiczności, że sztuka jest bzdurą, bo właściwie jest zawsze tylko maską dla publicystyki. Upupianie Pasternaka odbywało się według wszelkich znanych już reguł, przy znakomitej współpracy obu partnerów: ja tobie napędzam zwierzynę, ty strzelasz. Najpierw technicy kultury masowej zdyskwalifikowali jego powieść, następnie, kiedy wydrukowano ją za granicą (zauważmy, że kiedy Pasternak podpisywał kontrakt z Feltrinellim sądził, że jego książka ukaże

się najpierw w Moskwie) entuzjazm zachodnich kół intelektualnych szybko został przechwycony przez *mass media*, a tam obowiązuje podział na „dobrych facetów” i „złych facetów”: Pasternak dobry, bo opozycjonista. Cała skomplikowana filozofia historii u tego autora, cała jego rosyjskość i anty-emigracyjność uległy przekreśleniu, bo co z tego może zrozumieć przeciętny Anglik czy Amerykanin? A potem przyszła nagroda Nobla. Zwierzyna była w potrzasku. Szczególnie wymowny jest głos Crossmana, który nagrodę potępił, bo jakby to wyglądało, gdyby Rosjanie dali nagrodę Walterowi Lippmannowi za krytykowanie Dulles'a? Crossman tym samym wykazał, że jest w „linii” — i zupełnie obojętne w czyjej. Linia to utożsamianie literatury z „rozgrywką”. Tylko że kiedy nikt już nie będzie nawet pamiętał nazwiska Lippmanna, Borys Pasternak będzie wymieniany obok Puszkina, Błoka, Tolstoja i Dostojewskiego. Drobną różnica.

Czy błąd szwedzkiej Akademii? Nie znamy treści jej obrad. Można oczywiście założyć, że niektórym z jej członków nie była obca zaraźliwa dzisiaj chęć pomagania palcami trawie, żeby prędzej rosła. Większość zapewne sądziła, że naprawa dawne błędy i honoruje literaturę rosyjską, dotychczas wśród laureatów reprezentowaną tylko przez Bunina. Od dawna już, jeszcze zanim pojawił się „Doktor Żiwago”, krążyły wieści, że Akademia szuka kogoś z Europy wschodniej, jako że wobec coraz większej wagi tamtej części planety niedostatek nagród dla niej pachniał dyskryminacją. Pasternak był już kandydatem kilka lat temu ale poezja w języku słowiańskim i niemal nieprzetłumaczalna? Poza tym chyba tylko paru powieściopisarzy jugosłowiańskich starszego pokolenia tłumaczonych na języki obce i Szołochow, ale ten znowu to pisarz-emeritus, „Cichy Don” datuje się przecie z lat trzydziestych. Decyzja szwedzkiego jury literacko była najzupełniej słuszna. Natomiast w swoich następstwach stała się manifestacją *kosztem* Pasternaka. Nagrodę powinien był dostać już wcześniej, za swoje dzieło poety i tłumacza.

Nikczemne zachowanie się kolegów Pasternaka ze Związku Pisarzy wywołało wszędzie taką odrazę, dlatego że nie ma okoliczności łagodzących. Gdyby nie obrzucali go plugawymi wyzwiskami, nie wykluczali go ze swego grona i nie żądali odebrania mu obywatelstwa, nic by im się nie stało. Wszystko wyjaśnia tu fakt, że koleżeństwo jest tylko pozorne. Tłuste karki, dające i samochody są dla techników kultury seryjnej miarą wartości i zamknięcie w jednej organizacji nielicznych prawdziwych artystów ze stadem tych bawołów, oszalałych ze strachu przed utratą posad, musi mieć takie skutki. A nie lekceważmy maksymy, że zemsta jest słodka. Miernoty, dość bystre żeby odgadnąć że tyle ich sławy ile życia, poniżane stale przez mit Pasternaka wśród intelektualnej młodzieży, wzięły odwet. I co można porządzić, jeżeli samo nasuwa się porównanie z Czaadajewem osadzonym w domu wariatów i ze śmiercią Puszkina w podejrzanym pojedynku? I jeżeli pióro samo stosuje do poety będącego esen-

cją rosyjskości, dla nie-Rosjanina obcej, słowa Mickiewicza: „Hańba ludom co swoje mordują proroki!”?

Triumf zupełny. Pasternak upupiony. „Obiektywnie” jesteś albo w stu procentach z nami, albo w stu procentach przeciwko nam, a jeżeli przysięgasz, że myślisz na własny rachunek, pomożemy ci, żebyś pojął, że się mylisz. Tak wreszcie doprowadzimy szczęśliwie ludzkość do wiekuiwej przystani, gdzie nie ma już kłopotów, bo nie ma żywych. A jednak, dopóki są żywi, triumf tylko pozorny. Prawdziwa literatura nie pracuje na tej samej fali co masowy kicz, równie daleki od prawdy w polityce jak od piękna w sztuce. Dramat Pasternaka wskazuje, że zwycięsko rozrywa zakłętą koło ten tylko, kto z góry akceptuje osobiste nieszczęście. W czym niestety potwierdza się rosyjskie ludowe przekonanie, że łaknący sprawiedliwości nie wybronią się od wariackich papierów.

Czesław MIŁOSZ

**W nowym JUBILEUSZOWYM cenniku TAZABA  
znajdziesz WSZYSTKO, co potrzebne jest w KRAJU**

Czy to będzie osełka do ostrzenia kosa, samochód lub zestaw płyt Linguaphonu. Każde lekarstwo, każdej fabryki, każdego kraju. Warsztat dla stolarza lub mechanika. Kupon najlepszego kamgarnu; świetne boty futrzane, funt włóczki lub pięć funtów bananów. Pasta Kiwi; maszyna trykotarska lub para rękawiczek. — **WSZYSTKO**

W S Z Y S T K O dostarczy Ci w Polsce

**największy polski dom  
wysyłkowy na świecie**

**TAZAB**

TAZAB HOUSE

22, Roland Gdns.,  
LONDON, S.W.7.  
FRE 3175/76

TAZAB  
of LONDON

36, Third Avenue,  
NEW YORK,  
3, N.Y.  
Tel. ALgonquin  
4-4161

TAZAB  
of LONDON

327, Collins Str.,  
MELBOURNE, C.1.  
M.B. 1314

## Wielka książka

Prasa sowiecka zapewnia że dopiero „Doktor Żiwago”, ze względu na ukryte w nim akcenty polityczne, zwrócił uwagę „antykomunistycznego Zachodu” na Pasternaka. Wystarczyłby przykład samych tylko Włoch, by obalić ten nonsens. W czerwcu 1957 roku, a więc zanim jeszcze ukazał się włoski przekład „Doktora Żiwago”, największa włoska seria klasyków poetyckich, wydawana przez Einaudiego z tekstem oryginalnym obok tłumaczeń, ofiarowała czytelnikom przeszło 500-stronicowy tom wierszy Pasternaka w opracowaniu sławisty rzymskiego Angelo Maria Ripellino. W związku z tym wyborem prawie wszyscy włoscy krytycy literacy pisali o Pasternaku jako o jednej z najwybitniejszych indywidualności poezji europejskiej. Nie wiedzianno jeszcze we Włoszech o istnieniu „Doktora Żiwago”, gdy jeden z najbardziej poczytnych tygodników rzymskich „Il Punto” wystąpił w artykule znanej pisarki Eleny Croce z inicjatywą przyznania Pasternakowi za całokształt twórczości, a zatem jako *poecie*, najwyższej włoskiej nagrody literackiej o charakterze międzynarodowym, Premio Lincei, którą ze względu na jej wysokość (20 milionów lirów) uważa się powszechnie za „małego Nobla”.

Ale gdyby nawet i tak, gdyby istotnie Zachód „odkrył” Pasternaka dopiero po ukazaniu się „Doktora Żiwago”, cóż by w tym było złego? Jest to książka wspaniała. „Literaturnaja Gazeta” w swojej napaści na „Doktora Żiwago” (numer z 25 października br.) powołała się na mój szkic o Pasternaku, ogłoszony w „Kulturze” i w paru jeszcze pismach zagranicznych (m.in. w miesięczniku niemieckim „Merkur” z którego czerpał anonimowy autor artykułu w organie Związku Pisarzy Sowietkich), oraz w mojej książeczce włoskiej „Da Gorki a Pasternak”. Moskiewski żurnalista, uzbrojony w czerwony ołówek cenzora, skrętnie wydłubał z mojego szkicu zdanie o wadach „Doktora Żiwago” jako powieści. Nie okazał się jednak aż tak szczodry w cytowaniu by przytoczyć następne zdanie, zdanie w którym piszę, że mimo tych wal „Doktor Żiwago” jest książką wielką. Jakież krytyk o minimalnym poczuciu odpowiedzialności rzuca

na wiatr określenie „wielka”, wiedząc że tylko wielki pisarz może napisać wielką książkę? Ileż takich czy innych wad powieściowych posiadają, na przykład, „Biesy” czy „Bracia Karamazow”, a przecież kiedy się o nich mówi że są to książki wielkie, przenosi się ocenę w zupełnie inną sferę, w sferę gdzie artysta osiąga wielkość nawet wbrew swym wadom. Dostojewski napisał tylko jedną rzecz bez zarzutu z punktu widzenia struktury i techniki powieściowej — „Zbrodnię i karę”. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że — jeśli można w ogóle w takich wypadkach ustalać tabelę wartości — wielkość „Biesów”, „Braci Karamazow” czy „Idioty” przewyższa często perfekcję powieściową historii studenta Raskolnikowa.

Kto, pracując w redakcji gazety mającej śmiałość nazywać się „literacką”, udaje że o tym wszystkim nie wie, ten nie jest pisarzem — choćby nawet posiadał tytuł „pisarza sowieckiego”, którego pozbawiono Pasternaka — lecz „martwą duszyczką” z totalitarnej sfery, spuszczonej ze smyczy i poszczutej na niesforne samotnika z Peredelkino.

Źródło nagonki sowieckiej na Pasternaka tkwi nie tyle w rzekomym wykorzystaniu przez Akademię Szwedzką politycznych akcentów „Doktora Żiwago”, ile w radykalnej zmianie atmosfery literackiej w Moskwie od czasu „odwilżowych” powieści. Pasternak zabrał się do pisania swojej powieści wkrótce po wojnie i pracował nad nią blisko dziesięć lat. W kwietniu 1954 roku miesięcznik „Znamia” ogłosił parę wierszy z poetyckiego załącznika do „Doktora Żiwago”. W kwietniu 1956 roku prasa sowiecka i radio moskiewskie zapowiedziały wydanie rosyjskiej książki. Pod wpływem tych właśnie wiadomości moskiewski przedstawiciel komunistycznego wydawnictwa mediolańskiego Feltrinelli — również komunista Sergio d'Angelo — zwrócił się do Pasternaka osobiście z propozycją przekładu włoskiego, podpisał z nim umowę i otrzymał rękopis. Ale już pod koniec tegoż 1956 roku zaczęły się z wielu stron, zarówno z centrali włoskiej partii komunistycznej na Botteghe Oscure jak z samej Moskwy (przy czym Surkow powołał się przy okazji niedwuznacznie na los Pilniaka), naciski na Feltrinellego by odesłał manuskrypt. Wobec jego kategorycznej odmowy spróbowano z innej beczki. Goslitizdat wystosował do niego uprzejmy list z prośbą o odroczenie daty wydania przekładu włoskiego do daty wydania „nieco poprawionego przez autora” oryginału rosyjskiego, czyli do września 1957 roku. Działo się to wówczas, gdy Pasternak otrzymał już być opublikowany dopiero teraz przez „Literaturną Gazetę” list od Kolegium Redakcyjnego „Nowogo Mira” z datą „wrzesień 1956”, wykluczający ogłoszenie w Rosji „Doktora Żiwago” w jakiegokolwiek postaci! Feltrinelli zgodził się począć do oznaczonej daty, ale ani dnia dłużej. Kiedy wyczerpały się możliwości dalszej gry na zwłokę, „nakłoniono” w Moskwie Pasternaka do wysłania do Mediolanu następującej depechy: „Proszę o zwrot rękopisu, uważam rzecz za niedojrzałą”. Fel-

trinelli wiedział co myśleć o tej depeszy. Zajrzał jeszcze raz do otrzymanego wraz z „Doktorem Żiwago” rękopisu „Esseju autobiograficznego” Pasternaka i przeczytał w nim takie oto zdanie: „Skończyłem ostatnio moje główne dzieło, najważniejsze, jedyne którego się nie wstydzę, za które biorę bez żadnych obaw pełną odpowiedzialność — „Doktora Żiwago”, powieść prozą z załącznikiem poetyckim”.

Jakie cytaty przychodzą na myśl, gdy się pisze o „sprawie Pasternaka”? Najpierw, mając w pamięci ośmiuset pisarzy moskiewskich, którzy z własnego konformizmu ukłęcili bicz na niekonformistycznego autora „Doktora Żiwago”, ten cytat z powieści: „Błagonadiożne tyrazy Dudorowa odpowiadały duchowi czasów. Ale właśnie naturalna oczywistość ich bigoterii doprowadzała doktora Żiwago do rozpacz. Człowiek pozbawiony wolności idealizuje ciągle własną niewolę. Tak było w Średniowieczu i na to liczyli zawsze jezuici. Jurij Andrejewicz nie mógł znieść mistycyzmu politycznego inteligencji sowieckiej, tego co było jej najwyższą zdobyczą lub — jak się podówczas mówiło — pułapem duchowym epoki, lecz milczał by nie być zmuszonym do dyskusji”.

Potem jedna z ostatnich refleksji doktora Żiwago, że trudno jest „postępować codziennie nie tak jak dyktuje uczucie, poświęcać się dla tego czego się nie kocha, cieszyć się tym co jest źródłem nieszczęścia”. Jak bardzo bohater powieści zbliża się tu do swego twórcy! W wywiadzie z pisarzem, ogłoszonym przez szwedzkiego profesora ligwistyki Nilsa Aak Nilssona, czytamy: „ — W istocie wymagania władz są bardzo skromne — powiedział wolno Pasternak. — Istnieje tylko jedna rzecz, której chcę naprawdę. Trzeba odczuwać nienawiść do tego co się kocha i kochać to czego się nienawidzi! Ale to jest najtrudniejsze ze wszystkiego. — Zamyślił się i powtórzył do siebie: — To jest najtrudniejsze ze wszystkiego”.

Ostatnie zdanie epilogu „Doktora Żiwago” brzmi: „Choć przejaśnienie i wolność nie przyszły po wojnie wraz ze zwycięstwem, jak tego oczekiwali dwaj starzejący się już przyjaciele, nie miało to znaczenia: przedsmak wolności wisiał w powietrzu, wypełniał lata powojenne jako ich jedyna treść historyczna”.

W rozmowie z profesorem Nilssonem Pasternak zapewnia: „Nowa Rosja jest czymś co wystąpi w każdym razie, wbrew wszelkim przeszkodom administracyjnym. Coś rośnie między ludźmi, w sposób organiczny... Nauczylismy się że jesteśmy gośćmi egzystencji, podróznymi między dwiema stacjami. Musimy odnaleźć pewność i otuchę w sobie samych”.

Żadne słowa nie oddadzą należycie podziwu dla tego pisarza tak głęboko wiernego swoim przekonaniom i tak mężnie walczącego w całkowitym odosobnieniu o swoją prawdę.

## Notatnik nieśpiesznego przechodnia

### KŁOPOTY RECENZENTA MUZYCZNEGO

Recenzent muzyczny pewnego konserwatywnego dziennika opowiadał mi niedawno o kłopotach, jakie sprawia mu naczelny redaktor pisma. Zarzuca mu mianowicie brak umiaru w pochwałach i w ostatniej korekcie skreśla mu wszystkie przymiotniki, które wydają mu się przesadne. Po takiej operacji recenzent nie poznaje często własnego tekstu i nie wie, jak się wytłumaczyć przed artystami, bo zwyczaj zakazuje zdradzania redakcyjnych tajemnic.

Redaktor naczelny, prowadzący dział polityczny dziennika i chodzący jedynie na operetki, ma swoje zasady. Teoria geniuszów — powiada — nie da się pogodzić z demokracją liberalną, mającą zapewnić równy start wszystkim obywatelom. Sam Goethe zresztą, który powinien się być na tym znać, twierdził, że geniusz polega przede wszystkim na wielkiej cierpliwości. Podnosząc cierpliwość artystów do rangi geniusza, krzywdzimy pozostałych obywateli, którzy w urzędach, kolejkach, zatorach drogowych itp. muszą okazywać anielską cierpliwość zupełnie bezinteresownie, bo nikt nie widzi w nich geniuszy. Zresztą czy nie wszyscy artyści zasługują jednakowo na pochwały? Każdy z nich odbył kosztowne studia i poświęcił wiele lat pracy na zdobycie mało rentownych dyplomów. Istniejące między nimi różnice dadzą się na pewno opisać bez używania superlatywów. Żadnej więc przesady, panie recenzencie, żadnej przesady!

Patrząc na szalejącą za popularnym artystą publiczność, stróżę demokracji widzą w swej wyobraźni inny tłum, obrzucający kwiatami generała na białym koniu lub kwitujący burzą oklasków każde zdanie przemawiającego z balkonu dyktatora. Każdy entuzjazm wydaje się im podejrzany. Ze swego punktu widzenia redaktor naczelny może mieć nawet rację, i zdanie jego nie jest na pewno odosobnione. „Jesteście mi równi w wolności,

ale nierówni w geniuszu”, mówi w „Nieboskiej Komedii” rewolucyjny generał, gdy obywatele próbują z nim dyskutować plan zdobycia Okopów św. Trójcy, na co hr. Henryk zauważa, że tak zaczynają się wszystkie tyranie.

Nie wiem jak recenzenci dają sobie rady z domową cenzurą i czy zawsze trzymają się ściśle jej przepisów. Jak większość bywalców koncertowych, nie czytam prawie nigdy recenzji muzycznych. Najpilniejszymi czytelnikami tych ostatnich są artyści, biorący bardzo do serca pochwały i przygany krytyki. Widziałem wybitnych artystów odmawiających koncertowania w miastach, gdzie kiedyś spotkali się z nieżyczliwą krytyką.

Wzajemna nietolerancja między cenzorami wystrzygającymi z recenzji superlatywy i obraźliwymi artystami nie da się sprowadzić do konfliktu między zazdrosną tępotą jednych i próżnością drugich. Leży między nimi także granica dzieląca dwa światy o odmiennej strukturze.

Odmienność świata sztuki była wielokrotnie i rozmaicie opisywana. Poeci starożytni mówili o odrębności swego powołania, o muzach wzywających ich na wysokie pustkowie Parnasu. Mamy także teksty znacznie nam bliższe. W nieznanym dotąd listach Maupassanta np., ogłoszonych ostatnio w *Mercure de France*, znajduje się następujący passus :

„Doznaję czasami krótkich, dziwnych i gwałtownych objawień piękna, piękna nieznanego, nieuchwytnego, zaledwie zdradzającego się w pewnych słowach, widokach, pewnych zabarwieniach świata, pewnych sekundach... Nie potrafię go ani dać poznać innym, ani wyrazić, ani opisać. Zachowuję je dla siebie. Nie mam innej racji bytu, innej przyczyny dalszego trwania...”

Dodać wypada, że jest to tekst pisarza naturalisty, który niechętnie mówił o sobie i swych utworach, natrętnych zaś zbywał odpowiedzią, że pisze po prostu dla pieniędzy.

Na pierwszy rzut oka zwierzenia Maupassanta wydaje się rzeczą równie fantastyczną jak dziewięć muz i podwójny wierzchołek Parnasu. Uderza w nim przede wszystkim osobliwa drabina wartości. Na jej najwyższym szczeblu, określonym jako „jedyna racja bytu”, znajdują się sekundy objawienia, wrażenie nieuchwytnie i nie dające się opisać, słowem rzeczy niemożliwe do sformułowania w akcie notarialnym lub wymienienia w inwentarzu spadku.

Wystarczy jednak chwili namysłu, aby przekonać się, że my wszyscy — czytelnicy i słuchacze muzyki — myśląc o rzeczach sztuki, posługujemy się tymi samymi kryteriami co Maupassant. Dla nas również rozstrzyga chwila trwająca minuty lub sekundy, jedno wrażenie, którego nie potrafimy jasno opisać, o którym mówimy ostrożnie, aby go nie spłoszyć, lub o którym milczymy jak Maupassant. Wrażenie to rozstrzyga dla nas o randzie artystów, których oceniamy według ich najlepszej strony. Czy prócz niej napisali jeszcze dwadzieścia tomów wierszy i tyleż oper — nie ma znaczenia; liczby nie są tu miarą.

Recenzent, pretendujący do roli pośrednika między artystą i publicznością, jeżeli w ogóle może spełnić takie zadanie, musi starać się utworzyć swemu czytelnikowi drogę do tego rozstrzygającego momentu. Każda metoda musi go prowadzić do miejsca, gdzie litery pod jego piórem zaczną układać się w superlatywy. Sama natura jego zadania nie pozwala mu na ostrożność i umiarkowanie, i do niego właśnie, więcej niż do kogokolwiek innego odnoszą się słowa Vauvenargues'a: *C'est un signe de médiocrité que de louer toujours modérément.*

### NEW LOOK

W 1922 odwiedziłem kilkakrotnie w Rydze znanego tam wówczas antykwariusza, Jaszę Gliksmana, u którego kupowałem klasyków rosyjskich, obawiając się słusznie całkowitego zniknięcia ich z rynku księgarskiego. Widząc mnie przeglądającego tomik Igora Siewierianina pt. *Gromokłpiaszczij kubok, poezy, Gliksman* odezwał się w te słowa: „Dziwię się panu bardzo, panie Hostowiec, że pan może jeszcze czytać takie rzeczy. Sprzykrzyły się nam te ananasy w szampanie, och, jak się strasznie przejadły. Dawajcie choć kartofle w sodowej wodzie, byle tylko nie te ananasy”. Było to równo w 10 lat po ukazaniu się głośnego w swoim czasie zbioru wierszy.

W konfekcji zjawiska te są dobrze znane. Nic nie wydaje się równie ubogie i śmieszne, jak to co przed 10 laty uchodziło za *dernier cri de Paris*. „Spodnie à la Bułganin” nazywają dziś to, co przed 30 laty było modne jako *Oxford trousers*. W literaturze procesy te zarysowywały się dotąd mniej ostro, przypuszczając jednak można, że w miarę wzrostu masowej produkcji książek zmiany mód literackich staną się coraz szybsze, coraz gwałtowniejsze, zmiatając setki tysięcy książek chwalonych niedawno przez krytykę i wyróżnionych przez nagrody. Niedługo już czas dzieli nas być może od jednej z takich przemian gustów.

Z różnych znaków można wnosić, że pisarze i czytelnicy sprzykrzyli sobie manieryzmy modnej literatury, i że ta ostatnia zacznie wkrótce szukać nowych krawców i zmieniać garderobę.

Jednym z tych znaków jest rozprawka, jaka ukazała się w październikowym numerze *Nouvelle Revue Française*, od trzech dziesiątków lat zajmującej się sprawami aktualności literackiej. Autorem jej jest Alain Robbe-Grillet, którego ogłoszone w ostatnich latach powieści — *Les Gommés, Le Voyeur* i *La Jalousie* — zwróciły na siebie uwagę krytyki paryskiej. Rozprawka, skierowana przeciw „humanizmowi i tragedii”, obfituje w wątpliwe definicje i niejasne uogólnienia, nad którymi dla krótkości czasu nie będziemy się zatrzymywali. Najciekawszą jej częścią jest analiza krytyczna metafory i jej roli w literaturze współczesnej.

Przenośnia — powiada Robbe-Grillet — nie jest nigdy niewinna. Mówiąc że pogoda jest „kapryśna” a góra „majestatyczna”, mówiąc o „sercu” lasu, o „bezlitosnym” słońcu i „przysłulonej” do dna doliny wsi, dostarczamy wprawdzie pewnych wiadomości o rzeczach samych, o ich formie, rozmiarze, położeniu itp., ale wybór takiego słownictwa przekracza zamierzenia czysto literackie. Wysokość góry przybiera pozory wartości moralnej, gorąco słońca staje się wyrazem woli. Tego rodzaju analogie antropomorficzne powtarzają się w literaturze współczesnej tak uparcie, że trudno nie dostrzec w nich pewnego systemu metafizycznego.

Przenośnia, zdaniem autora, jest niemal zawsze porównaniem zbyt czynnym, nie wnoszącym do opisu nic istotnego. Czy nie wystarczy powiedzieć, że wieś „leży” na dnie doliny? Słowo „tulić się”, nie dostarczając żadnej dodatkowej informacji, wprowadza czytelnika w głąb domniemanej duszy wsi. Kto akceptuje słowo „tulić się”, przestaje być widzem i staje się sam — chociażby na czas lektury tego zdania — wsią, dolina zaś staje się dlań zagłębieniem, w którym pragnie szukać schronienia.

W dalszych konsekwencjach używanie przenośni prowadzi do konfuzji między życiem wewnętrznym człowieka i otaczającym go światem rzeczy. Mówimy o smutku krajobrazu lub obojętności kamienia. Przenośnie, te nie mówiąc, o rzeczonych przedmiotach nic istotnego, przypisują im zdolność odczuwania smutku, obojętności i innych uczuć ludzkich. Powstała stąd konfuzja między naszym własnym smutkiem i smutkiem przypisywanym krajobrazowi przypuszcza rodzaj predestynacji: krajobraz istniał bowiem przed nami, i powinowactwo między jego formą a naszym stanem psychicznym czekało, gotowe, naszego przyjścia na świat; smutek ten był nam przeznaczony...

Nadmiar metafor i konsekwentna humanizacja świata rzeczy stworzyły sytuację, którą najlepiej zdają się streszczać słowa Ducasse-Lautréamonta: „*Une mouche ne vole pas bien à présent: l'homme bourdonne à ses oreilles*”.

Robbe-Grillet proponuje oczyścić literaturę z metafor utrwalających opisany wyżej mit „panantropizmu”, przywracając ludziom i rzeczom ich niezależność. Przedsięwzięcie jego, skierowane przeciw najgłośniejszym obecnie autorom francuskim, nie minie zapewne bez echa. Koryfeusze współczesnej literatury francuskiej zbyt bezceremonialnie zdeformowali na własne podobieństwo otaczający ich świat rzeczy, przenieśli nań swe poczucie absurdalności życia, swe obrzydzenia i mdłości i, nie mogąc potem wyjść z zaczarowanego koła, zbyt długo smażyli się w tym sosie.

Inna sprawa czy Robbe-Grillet sam będzie krawcem, powołanym do skrojenia literaturze francuskiej nowej szaty słownej. Jego dotychczasowe powieści nie upoważniają do takiego przypuszczenia. *Le Voyeur*, zgodnie z programem autora, nie zawiera, prócz paru przeoczeń, żadnych metafor, i uniezależnione od człowieka rzeczy urastają w tej powieści do fantastycznych

rozmiarów. Proceder ten ma niewątpliwie urok nowości. Powieści nie brak też innych nowych pomysłów. Jest to historia komiwojażera przybывającego z walizką zegarków na małą wyspę i popełniającego tam — rzeczywiście czy też w swej wyobraźni, rzecz pozostaje niejasna — morderstwo. Podobnie jak rzeczy, postacie powieści opisane są powierzchownie, tylko od zewnątrz; ich mechanizm wewnętrzny pozostaje niewidoczny; dlatego też do końca nie wiadomo, kto zabił małą Jacqueline, i czy „podróźny” jest przestępcą. *Le Voyeur* odbiega zatem od typu powieści psychologicznej a także kryminalnej. Ta ostatnia operuje pojęciami właściwymi sądom karnym, oceniającym przestępstwa według domniemych motywów, tam zaś, gdzie postacie znane są tylko z opisu zewnętrznego, nie ma motywów, nie ma przestępców i nie ma miejsca na intrygę kryminalną.

Przy wszystkich nowościach rzemiosła nie wszystko w tej powieści jest nowe. Przestępstwo popełnione bez motywów przypomina *l'acte gratuit* Gide'a. Zawiązana dokoła tego przestępstwa intryga z grą poszlak i *suspense'ów* ma w sobie coś nazbyt znanego, taniego, nie stojącego na pewno na wysokości rzemiosła. Są zresztą i inne znamiona słabości. W pierwszej połowie powieści jest wiele mowy o 13-letniej pasterce, której uroki rozbijają małżeństwa i wnoszą głęboki zamęt w życie wyspy. Po licznych przygotowaniach autor zapoznaje wreszcie czytelników z wdzięczną pasterką, lecz w postaci nadjeźdzonego przez kraby trupa, opisanego językiem medycyny sądowej. To mało. Robbe-Grillet cofa się w sposób widoczny przed przeszkodą, obnażając granice swego talentu. Metoda opisu zewnętrznego wystarcza w jego ręku, gdy chodzi o komiwojażera, karczmara, sklepikarki i marynarzy, lecz zawodzi zupełnie przed żywą Amaryllis.

### Z KRAJOWEJ PROZY ARTYSTYCZNEJ

Od dwóch wieków ambicje prozy polskiej przekraczają zadania artystyczne. Powieściopisarze polscy malowali szerokie freski historyczne, traktowali wielkie sprawy narodowe i tragiczne zagadnienia, przed którymi — jak Edyp przed Sfinksem — zatrzymywały się pokolenia. W tym leży źródło żywotności powieści polskiej i jej wybitnego udziału w życiu publicznym i pamięci zbiorowej kraju; udział ten byłby nierównie skromniejszy, gdyby chodziło o prozę ograniczoną do ambicji artystycznych. Kraszewski, Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Berent... Powieść polska ostatnich lat pozostała wierna tej tradycji. Powieściowe syntezy ostatniego dziesięciolecia są dla czytelnika emigracyjnego lekturą pasjonującą, źródłem wiadomości i tematem refleksji. Mniej uwagi poświęcamy problematyce artystycznej prozy krajowej.

Okazji do zajęcia się i tą także stroną prozy polskiej dostarcza zarysowujący się niejasno na Zachodzie odwrót od po-

wieści psychologicznej, która w utworach Kafki i „monologu wewnętrznym” Joyce'a osiągnęła skrajny punkt swego rozwoju. Podobne bowiem tendencje znalazły swój wyraz także w prozie polskiej.

Formuła „opisu zewnętrznego”, jaką dla odmiany proponuje we Francji Robbe-Grillet, nie jest nowością. W „Mimesis” E. Auerbacha, antologii tekstów realistycznych od czasów Homera, znajdziemy liczne przykłady „opisu zewnętrznego”. Chodziłoby więc raczej o powrót do innych wzorów, o odświeżenie innych tradycji. Powroty takie znajdują często oparcie poza literaturą, w zmianach warunków ogólnych, w nowych nastrojach i zainteresowaniach publiczności literackiej. Jeżeli zarysowujące się obecnie zmiany przybiorą konkretniejsze formy, analiza tych warunków ogólnych stanie się wdzięcznym tematem dla krytyka i socjologa. Na razie możemy tylko stwierdzić, że słowa Pascala *le moi est haïssable* mają znów pewną aktualność. Zalecane przez Sokratesa poznanie samego siebie nie zawsze prowadzi do odkryć przyjemnych lub budujących. Możemy sobie łatwo wyobrazić, że w Polsce, po przeżyciach opisanych przez Miłosza w „Zniewolonym umyśle”, po latach terroru, strachu i kompromisów, Kafka mógł utracić część swego uroku, i wielu pragnęłoby wyjść poza krąg wrażeń dostarczanych przez introspekcję.

Teoretyk „opisu zewnętrznego”, Robbe-Grillet, nie stworzył sam przekonującego wzoru takiej stylizacji. Szukając w pamięci autora współczesnego, który z natury swego talentu byłby do tego bardziej powołany, przypomniałem sobie czytana przed 5 laty powieść Anny Kowalskiej „Na rogatce”, o której pisałem kiedyś w „Notatniku”. Obecnie leży przede mną „Nimfa”, tomik opowiadań tejże autorki, wydany przez PIW przed paru miesiącami. Między „Rogatką” i „Nimfą” Anna Kowalska ogłosiła dłuższą powieść historyczną o Fryczu Modrzewskim. Porównanie tych trzech utworów daje pojęcie o organizacji pisarskiej autorki, dla której najlepszym wzorzywem są rzeczy widziane. Podobnie jak „Na rogatce”, każde jej opowiadanie jest jak gdyby fragmentem pamiętnika, podobniejszym do wspomnienia niż do tworu wyobraźni. Być może zresztą jest to niezbędnym warunkiem rodzaju prozy, o którym myślał Robbe-Grillet.

Tomik rozpoczyna się od opowiadania pt. „Bejdula i paradnice”, będącego niezrównanym wzorem, powiedziałbym arcydziełem „opisu zewnętrznego”. W nawiasie dodam, że Bejdula jest nazwą krowy, a słowo „paradnice” wzięte zostało z ludowej piosenki:

*Rostockie dziewczęta,  
Takie paradnice,  
Ze jedna od drugi  
Pożyca sponnice.*

Akcja toczy się w 1943 w Roztoce, gdzie na wsi znalazło się kilka kobiet, wypędzonych z miasta przez wypadki. Wszystkie znane nam są tylko od zewnątrz, bez żadnego pogłębienia psychologicznego, lecz o każdej można by, jak Vasari, powiedzieć *è come viva*. W całym opowiadaniu nie ma bodaj ani jednej metafory.

Porównanie tego opowiadania z powieściami Robbe-Grilleta zdradza nam sekrety techniki opisowej. U pisarza francuskiego obrazy rzeczy zdają się wybujałe, ciężkie od zbyt wielu szczegółów. Anna Kowalska posiada niezbędną do tej techniki lekkość dotknięcia, dzięki której słowa suche i rzeczowe lśnią i promieniają, jak wyciskane z tubki farby czyste na obrazach fauvistów.

Przytoczmy tu scenę zalotów młodego chłopca do dziewczyny, której narzeczony został rozstrzelany przez Niemców za napad na tartak.

Romek śledzi twarz Wandeczki, a serce zamiera mu w piersi. Co robić, by przestała myśleć o tamtym? Ale Wandeczka nie przestaje myśleć o Staszku. Z byle jakiej przyczyny zwidują się jej ręce, usta, oczy ukochane. Odgłos czyichś kroków przyspiesza bicie serca, oto w czyimś głosie błąka się echo głosu Staszka. Jak we śnie, chociaż wie, że to nie może być on — jednak serce zamiera w piersi, że oto mimo wszystko zjawi się ukochany i że obecność jego wskrzesi tamten cudny czas i wróci dawny świat. Staszek nie umarł wszystek. Jego istnienie uczepiło się jej istnienia i trwa: krótka nieśmiertelność kochanka.

Wandeczka w sportowej bluzie Staszka, którą jej dała pani Linkowa, wodzi oczami po złocistym lazurze popołudniowego nieba i nuci cichuteńko, tak że tylko umarły kochanek słyszy:

Gdy Janicka wiedli ku Lewoце...

Od miesiący tak śpiewa w sobie, to jej rozpacza, jej szaleństwo, jej pociecha, ta zwykła żalobna piosenka.

— Chcę mieć wielkie gospodarstwo, dużo krów, koni — mówi Romek.

— Mhm — przytakuje Wandeczka i kołysze się w takt niesłyszalnej piosenki: „Janicku, Janicku...”

Do tego śpiewającego nagrobka rozstrzelanego chciałbym jeszcze przy okazji powrócić.

*Paweł HOSTOWIEC*

## “Przyszłość do wynajęcia”

Gdy poeta porzuca poezję i bierze się do powieści — nie zawsze jest to najlepsza rekomendacja. Poezja z natury swojej jest dziełem krótkiego, choć intensywnego oddechu. Mistrz w biegu na sto metrów nie marzy nawet o tym, żeby wygrać maraton. Ale zjawisko poetów próbujących swych sił w powieści jest w literaturze współczesnej zjawiskiem częstym (Iwaszkiewicz, Miłosz, oto dwa polskie przykłady).

Jerzy Pietrkiewicz (dla czytelników angielskich obecnie Peterkiewicz) dokonał metamorfozy o wiele bardziej ryzykownej: z polskiego poety, posiadającego wprawdzie na swoim koncie jedną niezbyt udaną próbę powieściową, „Po chłopsku”, przekształcił się w powieściopisarza angielskiego: jego trzecia z kolei powieść w języku angielskim, pod ironicznym tytułem *Future to Let* (1), doznała nader życzliwego przyjęcia przez tygodniową prasę brytyjską: krytycy chwalili w niej świetnie skonstruowaną akcję, poetycką precyzję stylu, dojrzałość spojrzenia pisarskiego, humor i — miejscami ostrą — ironię. Spotkać się można było także z twierdzeniem, że ostatnia powieść Pietrkiewicza jest dowodem, iż z dobrego i oryginalnego pisarza staje się on pisarzem wybitnym.

Londyńska prasa polska także przyjęła powieść na ogół życzliwie. Co prawda w rozmowach można było słyszeć głosy oburzenia, ale recenzje szły raczej po linii, iż z samych siebie pośmiać się czasami także nie zawadzi, Anglikom zaś powieść się podoba, a to Polsce może tylko pomóc, a nie zaszkodzić. Bo chociaż autor kpi sobie całkiem niezgorzej z polskiej emigracji, to jednak sukces polskiego autora itd.

Co do tego, czy mamy do czynienia z autorem polskim, można mieć pewne wątpliwości. Sam Pietrkiewicz w wywiadzie udzielonym londyńskim „Wiadomościom” z wątpliwości tych

(1) Heinemann. London, 1958. Cena 15 sh.

się zwierzył, oświadczając, że budzą się w nim wtedy gdy konstataje, że bardziej jest *au courant* literackich plotek angielskich niż polskich. Kryterium dobrane z wyraźnym smakiem dla typowego angielskiego *understatement*. Tym jednak, którzy jak Orzeszkowa w wypadku Conrada, mogą zechcieć uznać metamorfozę Pietrkiewicza za zdradę, jeśli nie narodu to co najmniej ojczyznojęzyka, powiedzmy od razu na pocieszenie, że jak dotychczas autor nie potrafił czy też nie chciał odejść od tematyki polskiej: pierwsza powieść jest poetycką transpozycją dzieciństwa Pietrkiewicza, druga opisuje dzieje awanturnika szkockiego w Polsce i Rosji, trzecia daje satyryczny obraz grupy polskich „wygnańców ścigających przyszłość między Earl's Court'em a Belsze Park”. Zostawmy więc polskość Pietrkiewicza w spokoju.

„Przyszłość do wynajęcia” — tytuł ironią swoją zwrócony przeciwko wiadomym budowniczym przyszłego raj na ziemi — oparta jest na prostej zasadzie, że każdy cudzoziemiec jest albo śmieszny albo dziwaczny. Tak prosta formuła nie wystarczy jednak na napisanie dobrej powieści — można na niej oprzeć co najwyżej mniej lub bardziej śmieszny humoreskę. Część więc powieści Pietrkiewicza — a zwłaszcza jej początkowe rozdziały — jest taką właśnie humoreską.

Efekty komiczne osiąga autor głównie poprzez konfrontację angielskiej mentalności i sposobu bycia z ich polskimi odpowiednikami. Po stronie tubylczej główną postacią jest Lancelot Thawroe, angielski błędny rycerz, któremu autor każe długo podróżować po Hiszpanii i odziedziczyć po wuju dom na Earl's Court'cie oraz staroświeckiego Rollsa, spełniającego w powieści rolę Rosynanta. Drugą postacią, będącą czymś więcej niż sylwetką, jest panna Phyllis, czyli Filomena nieco lekkich obyczajów — złośliwy portrecik angielskiej uwodzicielki o dużym zmyśle praktycznym i ograniczonych horyzontach. Reszta przedstawicieli świata angielskiego to postacie marginesowe: a więc przyjaciel Lancelota z lat studiów, snobujący się na intelektualistę i w pewnym momencie odgrywający po pijanemu rolę jakby żywcem wyjętą z nowoczesnej dramaturgii psychoanalitycznej; stara ciotka, którą cechuje niewzruszone przekonanie o brytyjskiej wyższości, typowo angielski prowincjonalizm i skleroza; taksówkarz odzywający się dwoma zdaniem w jędrnym — i pięknym — żargonie, policjant, ulica, anonimowy tłum w parku, nagłówki gazet. Autor charakteryzuje postaci głównie poprzez dialog i sytuacje, nie bawiąc się w analityczną psychologię. Nawet wewnętrzny monolog jest w książce rzadkością (przyjmując, na przykład, formę rozmowy z psem).

Galeria typów polskich jest znacznie bogatsza. Główny podział przebiega po linii kraj-emigracja. Na czoło postaci emigracyjnych wysuwa się Celina Ogarek, córka przywódcy Partii Chłopskiej, Adama Grudy. Warto tu przy okazji zauważyć, że nazwiska polskie autor dobierał, z jednym wyjątkiem, dla ich łatwości, podczas gdy nazwisko angielskiego Don Kichota jest

raczej trudne; pozwala to autorowi zarówno na dowcipy językowe, które są nota bene jednym z ważnych składników humoru, gdyż Polacy mówią oczywiście zabawnie, łamaną angielszczyzną, jak i na podkreślenie, że nie tylko polskie nazwiska są trudne.

Celina, w zamiarze autora, ma uosabiać egzotyczną kobiecność słowiańską. W rezultacie otrzymujemy postać nie pozbawioną poetyckiego uroku, ale równocześnie będącą połączeniem „polnej kochanki” z sarmacką matroną — połączenie, które zahacza o tragizm. Autor wykorzystuje swój talent liryczny szczególnie w scenach miłosnych, które, jak przystało na słowiański temperament, odbywają się prawie wyłącznie w łóżku, a jak przystało na słowiański egzotyzm — „w sienie poświęcone poranków”. Może najpiękniejszy moment scen miłosnych to ten, gdy Celina ze szczęścia i dziecinnej radości całuje swoje własne nagie kolana. Może najmniej prawdopodobny ten, gdy Celina odrzuca propozycję małżeństwa, z jaką zwraca się do niej Lancelot (który, oczywiście już na pierwszych kartach książki ulega jej czarowi i zostaje rycerzem i kochankiem jej marzeń). Ale Celina jest *nieprawdopodobną* kobietą i może nie trzeba dziwić się recenzentowi angielskiemu, gdy pisał, że jej romans z Lancelotem jest „jednym z najśmieszniejszych, najbardziej zmysłowych i najsmutniejszych romansów w powieści ostatnich miesięcy”. Co każe Celinie odrzucić propozycję Anglika, którego kocha swą ostatnią miłością, miłością kobiety starszej od swego kochanka? Odpowiedź można zawrzeć w jednym słowie: Przeszłość.

Z innych typów emigranckiego ghetta najlepiej zarysowane są trzy: Majora-Pieczarkarza, Księcia i Dr Paszcza. Major-Pieczarkarz hoduje grzyby pod łóżkiem i chce wybrać się z tajną misją do Polski; przekonany, że Lancelot będąc Anglikiem nie może nie być równocześnie w Intelligence Service, w świetnej scenie, łamaną angielszczyzną prosi go, by ten zrzucił go na spadochronie do Polski. Następnie Major walnie wspomaga Dr Paszcza, głównego działacza politycznego emigrantów, w jego wysiłkach zjednoczenia emigracji, a gdy wysiłki te zostają uwieńczone sukcesem, „zrywa sejm”, występując z koalicyjnego rządu. Przedostaje się potem do Polski, gdzie złapany przez komunistów, zostaje zabity.

Książę, który oczywiście nie jest prawdziwym księciem, ale tytuł ten przysługuje mu ze względu na jego orli nos i postawę, zajmuje się robieniem „wielkich interesów”, a na życie zarabia malowaniem glinianych kotów. Major i Książę — to dwie najbardziej groteskowe postacie w całej książce, podczas gdy Dr Paszcza wywołuje w nas raczej uśmiech pełen melancholii. Na nich trzech nie kończy się jednak polski Londyn. Autor coraz to kreśli w sposób mistrzowski groteskowe sylwetki rodaków, czyniąc to nawet z dużą sympatią. Nie tylko zresztą sylwetki, wśród których mamy i chłopca, co pije wódkę, bo w ten sposób niszczy diabła jaki znajduje się na dnie każdej



butelki, i profesora, i poetę co zawód swój głośno ogłasza, i wiele innych; mamy także w książce obraz towarzyskiego : społeczno-politycznego życia polskiego Londynu : a więc przyjęcie, podpisywanie Aktu Zgody, wielką Akademię z tańcami ludowymi w wykonaniu dzieci, scenę w polskiej kawiarni itp. Tu talent obserwacji autora i umiejętność stwarzania komicznych sytuacji świecą swoje triumfy.

Przedstawiciele kraju tworzą świat bardziej ponury. Są to głównie pracownicy firmy tylko w przenośni — handlowej (co najwyżej bowiem handlującej żywym towarem) zwanej Pollexport. Głównym ich zadaniem jest rozbijanie emigracji, czego pragną dokonać przy pomocy Adama Grudy. Sylwetka tego starca jest rzeczywiście tragiczna. Odwoławszy wymuszone na nim zeznania na procesie w Warszawie, zostaje poddany odpowiednim zabiegom, i „wypuszczony na wolność” w Londynie. Perfidia polskich komunistów nie ma granic: to, co świat zachodni i emigranci przyjmują za ucieczkę, okazuje się podstępem. Adam Gruda ma doprowadzić do zjednoczenia emigracji a następnie rozwiązać rząd polski na wygnaniu i wezwać wszystkich do powrotu do kraju. W ten sposób osiągnięte zostaną dwa cele na raz: emigracja zostanie rozłożona, a postać Grudy, jako nieugiętego przywódcy Partii Chłopskiej, doszczętnie skompromitowana. Podstęp ma wszelkie szanse udania się: Gruda zostaje przyjęty przez emigrantów jako wielki przywódca, następuje zjednoczenie wszystkich partii (z wyjątkiem partii Majora, który podejrzewa zdradę), ale gdy przychodzi moment, że makabrycznie wymęczony i zdzieciniały starzec wygłosić ma swoje przemówienie, śmierć zabiera go z sali akademii, a na pustym fotelu Dr Paszcz składa biało-czerwone kwiaty.

Ważną rolę w tym spisku przeciwko emigracji politycznej odgrywa syn Celiny, Aleksander. Jest to typ „zetempowca”. Osiemnastoletni młodzieniec, odłączony w Rosji od matki, został tam gruntownie wychowany na człowieka socjalizmu: nie wierzy w istnienie duszy, całym sercem oddany jest Państwu i z dumą wykonuje przydzielone mu zadanie. Decyzja Celiny odrzucenia propozycji Lancelota staje się na tym tle jaśniejsza. Przekonana, że ojciec, mąż i syn nie żyją, doznaje dwu potężnych szoków, gdy najpierw zjawia się w Anglii Gruda, a później Aleksander. Jeśli ci dwaj ożyli, mąż jej może także wrócić spośród umarłych.

Głównym jednak bohaterem „krajowców” jest Julian Atrament — postać w pełni negatywna, do której autor nie czuje żadnej sympatii. Atrament, jak sugeruje już nazwisko, para się pisaniem. Reprezentuje on typ polskiego pisarza-intelektualisty, który poszedł na współpracę powodowany intelektualną ciekawością i oportunistem. Jak pisze autor z ironią „ten wybitny pisarz służył już trzem polskim rządóm, jednemu po drugim, w kraju i za granicą, i jest jedynym biografem, który może się pochwalić pogodzeniem poprzez swą intuicyjną sztukę dwóch tak sprzecznych bohaterów, jak Marszałków Piłsudskiego i Ro-

kossowskiego. Obie biografie otrzymały nagrody, z tym że ludzie wchodzący w skład jury, która przyznała mu pierwszą nagrodę, znaleźli się w więzieniu przedtem niż przyznano mu drugą”.

Atrament chwalił sobie życie w Polsce Ludowej, z chwilą jednak gdy przeniesiony został na podrzędne stanowisko w Pollexport, postanowił wybrać wolność. Rozdział, w którym Atrament wreszcie zmuszony jest wybrać wolność jest jednym z lepszych w książce: Pietrkiewicz wydobywa z tej afery maksimum ironii. Każe on Atramentowi uczynić to w sposób nie licujący z tak doniosłym aktem i oburzający przy tym opinię angielską, gdyż Atrament zachowuje się okrutnie wobec swego psa, wrzucając go do wody dla zwrócenia uwagi. Zostaje za to aresztowany i odprowadzony na posterunek policji: to jest droga Atramenta na wolność. Ale Atrament nie byłby Atramentem, gdyby nie wykorzystał możliwości jakie się zarysowały. Sympatię opinii angielskiej zdobywa cyklem artykułów pt. „Ja i mój pies. Prawdziwa historia przyjaźni wśród intryg i politycznego terroru”, a gdy redaktor pisma zmienia mu tytuł na „Mój pies i ja” i Atrament przestaje być głównym bohaterem dramatu, pisze dzieło, w którym wyjaśnia intelektualne przesłanki swego kroku, dając mu tytuł „Wątpiący umysł za kratami”, z podtytułem „Autoportret Wschodnio-Europejskiego Intelktualisty”. Wkrótce też staje się ekspertem od spraw Europy Wschodniej.

Wolność i Julian Atrament? Samo zestawienie sugeruje już że coś nie jest w porządku z dzisiejszym światem.

Tak więc, książka Pietrkiewicza ma ambicje większe niż tylko humoreski. Formuła, że każdy cudzoziemiec jest śmieszny, zostaje wzbogacona innymi czynnikami. A więc najpierw nie tylko Polacy są śmieszni dla Anglików, Anglicy są także śmieszni dla Polaków. Następnie, Lancelot Thawroe przechodzi w książce ewolucję, która polega na tym, że daje się wciągnąć w sprawy polskie na tyle, by samemu stać się postacią groteskową: oto Anglik wytracony z równowagi. Kiedy Celina odrzuca jego propozycję, Lancelot staje się naraz podwójnie wyobcowany: do społeczności angielskiej wrócić nie chce, do społeczności polskiej bez Celiny należeć nie może. Miłość Celiny i Lancelota jest znacznym pogłębieniem powieści. Szczególnie, gdy powoli zarysowywać się zaczyna tło, na którym odbywa się arlekinada emigracyjna. Ten nierzeczywisty świat dotyka bowiem w wielu punktach jak najbardziej tragicznej rzeczywistości. Zrozumienie tego zdobyć mógł Lancelot jedynie przez miłość. Ale nawet miłość Celiny i Lancelota ma w sobie coś z delikatnej groteski: nie tylko bęben i fortepian, skrzypce są także nieco rozstrojone.

W tym leży siła „Przyszłości do wynajęcia” — nadaje to książce jednolitą atmosferę. Natomiast próba wydobycia głębszej ironii nie zawsze się udaje. Przede wszystkim autor może zbyt uproszczyć sobie świat komunistyczny: z wyjątkiem postaci i perypetii Atramenta, natykamy się tu głównie na banały

Nie udaje się też chwilowe przerwienie się z groteski w makabrę: przedśmiertna wizja Adama Grudy, w której występują takie postaci jak Generalissimus Knut i Marszałek Pogromow, przylatujący helikopterem, oraz tłum Umarłych, daje raczej żafosny efekt, chociaż w zamierzeniu autora ma to być gryząca satyra na komunizm i jeden z najmocniejszych momentów książki. O ileż silniejszy jest efekt cytatu z wypracowania dziewczynki, na temat śniegu w Rosji, za które dostaje pierwszą nagrodę, ale nauczycielka, wbrew zwyczajowi, nie pozwala jej na odczytanie wypracowania w klasie.

W sumie jednak książka daje wiele zadowolenia, a przy tym jest krótka. Technika powieściowa Pietrkiewicza wyraźnie czerpie z najlepszych wzorów współczesnej powieści angielskiej.

Jeszcze jedna uwaga marginesowa: autor, który tak wysoko ceni ironię niewątpliwie nie będzie krzyw na nią. Zmiana nazwiska z Pietrkiewicza na Peterkiewicza spowodowana była, jak się można domyślać, względami na wydawcę i czytelnika. Otóż, *habent sua fata...* nazwiska. Byłem w kilku księgarniach szukając książki autora. Wszędzie, gdy wyraźnie wymawiałem jego nowe nazwisko, sprzedawca czy sprzedawczyni kierowali swe kroki ku półkom oznaczonym literą „K”. To samo spotkało mnie w bibliotekach publicznych. Z Jerzego Pietrkiewicza zrobił się nie Peterkiewicz a Peter Kiewicz. Nauczony doświadczeniem, próbowałem później od razu wyjaśniać sprawę, nie wiele to pomagało. *Habent sua fata...* nazwiska.

ABE

## Dwa fragmenty z "Future to let"

### W JEDNOŚCI ZGUBA

Nic chyba nie powoduje tylu kłótni co pełne obywatelskiego poczucia wezwanie do jedności. A moralną grzywnę za posiadanie dużego auta nakładają na właściciela jego przyjaciele: traktują go jak własnego szofera.

Te dwa spostrzeżenia, chociaż tak różne, nasunęły się Lancelotowi jedno po drugim, i dla niego przynajmniej były ze sobą ściśle związane. Najpierw bowiem był Doktor Paszcz, ze swoimi pró-chłopskimi, anty-chłopskimi, eks-chłopskimi i już prawie-chłopskimi powiązaniem, wciąż zalecający się, latający, przyklaskujący i ubolewający — a wszystko w imię świętej zgody i Adama Grudy. Później zaś zjawilo się auto — czarny postskrypt do testamentu wuja, i w ten sposób Lancelot rozwiązał problem przewiezienia Doktora, Majora i samego zwiastuna jedności, Adama Grudy.

Lata całe stał ten poważny wehikuł opuszczony w garażu, gdzieś w Midlandach, gdzie firma Jakuba Draycotta przeżyła swoje blaski i cienie. Teraz zaś wydobyto go spod warstw kurzu, aby uświetnić swym staromodnym splendorem dzieło kilku wygnańców, goniących przyszłość między *Earl's Courtem a Belsize Park*. Wyglądało, że oprócz domu, wuj Draycott pozostawił Lancelotowi w spadku jeszcze jeden obiekt nie do sprzedania, ale bratanek nie miał nic przeciwko temu, oto dzięki autu zaakceptowany został przez grupę ludzi, dla których pieniądze, bezpieczeństwo i awans społeczny znaczyły tyleż co luksus miękkich foteli przy stole do gry. Lancelot siedział za kierownicą przedpotopowego Rollsa z uczniem, które przeraziłoby jego znajomego, Johna Fitzbrowna.

— Kiedy spodziewacie się Premiera w Londynie — zapytał, specjalnie nie wymieniając nazwiska Grudy, aby dostosować się do sposobu w jaki o nim mówili.

— Dziś wieczór, panie Thawroe. Dziś wieczór podpisujemy Akt Zjednoczenia. Będzie to dla nas wszystkich historyczna data — 29-ty lipca, 29-ty... panie Thawroe. Pan rozumie, jest pan przecież naszym Anglikiem.

Doktor Paszcz przemawiał i wyglądał bardzo podniośle. Jego ciemne ubranie i czarna teczka pasowały do Rollsa, i trzeba się dziwić, że nikt nie wznosił okrzyków kiedy jechali wolno przez Camden Town.

— Tu zabieramy Demokratów. Trzy podpisy, dwa miejsca w gabinecie ministrów.

Thawroe wiedział gdzie stanąć, znał adres. Z głębi auta Doktor Paszcz promieniował dużą pewnością siebie z domieszką silnego zapachu wody kolońskiej. Golił się tego dnia dwa razy i oskrobał sobie twarz na purpurowo. Teraz gładził się lekko po brodzie próbując, czy jeszcze piecze.

— Jak się czuje Premier?

Usłyszawszy pytanie, którego spodziewał się od Anglika, Doktor opuścił dłoń na teczkę i nerwowo zabębnił trzema palcami.

Thawroe powtórzył pytanie.

— No, o wiele, wiele lepiej. Pani Celina okazała się wielką pomocą. To niezwykła kobieta. Nadzwyczajna. Jej intuicja zdumiewa mnie, a co do jej wytrzymałości, to nie mam wprost słów uznania.

Ta pochwała nie oszukała Lancelota. Odkrył on parę słabych punktów w nadmiernej pewności Doktora tego historycznego dnia. Chciał wiedzieć prawdę ze względu na Celinę.

— Czy Premier ma dosyć siły aby pozostać w Londynie?

— Więc... — Doktor się zawahał. — Premier lubi wieś. Woli mieszkać na wsi. Otwarte przestrzenie pól, wie pan, żniwa. Nawet zmechanizowane żniwa mogą przypomnieć...

— A więc zawiezie go pan z powrotem do sanatorium? — przerwał Lancelot i zatrzymał auto przed wąskim wjazdem w zaułek.

— Nie, nie, zresztą zobaczymy już po uroczystości podpisania Aktu. Otóż jesteście, panie Thawroe, otóż jesteście. Zajdź po nich. Trzy podpisy i dwa miejsca w gabinecie ministrów. To pana śmiesz, yes? Uczę moich rodaków waszego angielskiego kompromisu.

Doktor nie rozstawał się ze swoją teczką; porwał ją z auta i przycisnął do kamizelki podążając drobnym kroczeniem w zaułek — ciemna postać pod niskim różowym niebem.

Jeszcze niejednokrotnie Rolls Lancelota wprawił w zdumienie dzieciarnię i zaimponował kotom spełniając swą polityczną misję, aż przyszedł moment przywiezienia samego Grudy. Wtedy też, po tygodniu niewidzenia, zobaczył Lancelot Celinę. Miała głębokie cienie pod oczami. Jej usta nie otwarły się szczerobroliwie kiedy posłała mu uśmiech ze schodów. Ojciec stał o stopień niżej, w ostro zaprasowanych spodniach i lśniących butach. Wąsik à la Hardy wydawał się dopiero co podcięty i podczesany. Zobaczywszy Lancelota całującego Celinę w rękę Gruda uniósł kapelusz z głowy.

— Mój kochany, wróciłam.

— Było mi ciebie brak, Celino.

— Wiesz przecież, że zaprosiłam cię do moich snów. Ale ty przyszedłeś tylko raz.

— Tylko raz? Przepraszam cię najmocniej. — Zaśmiał się krótko. Celina nie. Lancelot zapomniał, że ona nigdy nie żartowała ze snów. Posadzili Grudę w tyle auta, Celina siadła z przodu i gdy ruszyli, rzekła:

— Nie jedź prędko, proszę. Ojciec trochę pośpi. Musi być wypoczęty gdy zajedziemy na miejsce — tej ceremonii.

Jakby na poparcie jej słów z tyłu rozległo się chrapanie.

— Biedny człowiek — zamruczał Lancelot. — Czy to warto ciągnąć go do Londynu dla całego tego — jakżeż oni to nazywają? Tego Aktu Zjednoczenia? Czy chociaż ojciec wie?

— Czy wie? Nie rozumiem cię.

— No, czy wie po co tam jedzie, Celino? Nie chcę się mieszać. To nie moja sprawa, cała ta polityczna afera, ten rząd na wygnaniu. Współczuję, oczywiście. Ale zdrowie twego ojca obchodzi mnie więcej niż sto podpisów na papierku Doktora Paszcza. Powiedz mi prawdę, Celino.

— Ja ci zawsze mówię prawdę.

— W takim razie powiedz mi prawdę o ojcu.

— Czuje się lepiej. Chodził po polach, przyglądał się ludziom przy pracy, zadawał mi wiele pytań. Był szczęśliwy na wsi.

— To wiem, Celino. Ale czy ojciec zdaje sobie sprawę z tego co się dzieje? Czy chociaż wie, gdzie go wieziemy?

— Wie.

— Ale czy na pewno?

— Tak, tak, na pewno. — Celina przymknęła oczy i oparła głowę o poduszkę siedzenia. — Ojciec jest jak duch, Lancelocie.

Słyszysz nas, kiedy go nie widzimy, słucha naszych myśli, rozmawia ze śmiercią, która rośnie wewnątrz nas.

— Musisz być zmęczona, Celino, wyobrażasz sobie różne rzeczy.

— Nic sobie nie wyobrażam. Może i jestem zmęczona. Duchy, Lancelocie, grzeją się przy naszych ciałach, kradną nam oddech, to one czynią nas tak zmęczonymi.

— Dojeżdżamy, Celino. Uspokój się. Przepraszam, że cię wytrąciłem z równowagi. Naprawdę nie chciałem...

— On wie o nas, Lancelocie — szepnęła dotykając jego ramienia. — Nic mu nie mówiłam, ale on wie, że ja kocham ciebie bardziej niż jego, mego ojca. Czy mi przebaczy? Czy zechce wsłuchać się w bicie twego serca?

Klub dla polskich robotników zajmował suterynę i parter masywnego budynku tuż obok stacji kolejki podziemnej, *Belsize Park*. Pod dwoma biało-czerwonymi flagami skrzyżowanymi na ścianie, wisiał obraz Matki Boskiej, a niżej, sięgająca podłogi, wielka mapa Polski; na niej grubą czarną linią zaznaczone przedwojenne granice. Ten to lokal, zdaniem Doktora Paszcza, posiadał odpowiednią atmosferę na końcowe zebranie, które miało przypieczętować zjednoczenie wszystkich partij na wygnaniu. Tutaj przedstawiciele partij mieli złożyć przysięgę i podpisać dokument leżący na skromnym stole na środku sali. Ostatni miał złożyć podpis Gruda.

Gdy wszedł, politycy skupili się już wokół stołu i Doktora Paszcza, który stał z piórem wyciągniętym jak palec przeznaczenia. Wszyscy się pokłonili przed starcem w milczeniu. On odpowiedział na ukłon i przebiegł oczyma po twarzach zebranych, zatrzymując się na moment gdy napotkał znajomą. Ale za spojrzeniem nie poszły słowa powitania, nawet uśmiech. Gruda patrzył i czekał. Córka trzymała go za rękę.

— Psst — rozległo się od drzwi. Thawroe odwrócił się i dojrzał Majora Notarskiego, kiwającego nań z korytarza. Major-Pieczkarkarz zmienił się bardzo od góry, zgoliwszy rzadkie włosy świecił łysiną na czubie głowy jak morska latarnia.

— Jak się pan czuje, Majorze?

— Jeszcze nie wiem. Zdaje się, źle. Ty pomóż, Myster Toro, yes?

— O co chodzi? Przecież nie mogę odwieźć teraz pana do domu.

— Jedź do jego domu.

— Czyjego domu?

— Tego głupca z Frakcji Agrarnej. On wcale nie prawdziwy chłop, Myster Toro, wcale nie. Zły człowiek, nie może zdecydować. Powiedział, że podpisze Zjednoczenie, a teraz powiedział, że nie podpisze. Przywieziemy go tutaj, żeby podpisał, yes?

— Siłą, Majorze?

— Nie, nie siłą. To jest Zjednoczenie, wszystko ładnie, wszystko szczęśliwie. Ja tylko przypomnę temu głupcowi, że

ma szybko przyjechać. — Prawa noga Majora wysunęła się naprzód, wielki but złowrogo zaskrzypiał. Brzmiało to jak wypowiedzenie wojny Frakcji Agrarnej Anty-Chłopskiej Ligi Ruchu Chłopskiego.

Rolls Lancelota podskakiwał w ciemnych uliczkach *Belsize Park*, a wewnątrz Major kłął w szorskim, trzaskającym języku. Poszukiwanego nie było w domu. Wypytywania w przeróżnych polskich restauracjach nie dały rezultatu, chociaż Major-Pieczkarcz przeprowadzał dochodzenia bardzo stanowczo.

— Oni mnie znają i boją się — tłumaczył Lancelotowi w aucie. — Ja sprzedaję pieczarki, to oni są bardzo uprzejmi.

Po dwugodzinnych poszukiwaniach Major zmienił swe bojowe nastawienie. Całą swą złość i ostry język obrócił naraz przeciwko planowi Doktora.

— Jedność, Myster Toro, bardzo ładnie, bardzo szczęśliwie, ale dla prawdziwych Polaków to wcale nie myślę, że to tak ładnie i tak szczęśliwie. Wcale. Przeraza mnie ona, ta Jedność. Bo w naszej wielkiej, sławnej, polskiej historii, byliśmy zawsze na górze jak byliśmy silni, a jak my silni, to zawsze się kłócimy. Zrozumiałe, Jedność była i przedtem, w naszej wielkiej sławnej polskiej historii, była kilka razy, a kiedy się zdarzyła, Myster Toro, zawsze przyszła za późno, i myśmy spadali z góry na łeb przez tę głupią Jedność co się nie chciała pośpieszyć, jak ten dureń z Frakcji Agrarnej, już ja mu pewnie dzisiaj pokażę.

— To bardzo smutna interpretacja przeszłości, Majorze.

— Smutna, Myster Toro, smutna. I ja jestem bardzo smutny, bo Jedność w naszym Londynie też się spóźniła, i ja myślę że my szybko zlecimy z góry na dół. Ja, ja chcę się kłócić, Myster Toro, ja się czuję silny!

Ponowny strumień przekleństw wydobył się z ust Majora, podczas gdy auto przedzierało się przez mglistą przestrzeń parku. Czas mijał, a zegarom było wszystko jedno.

— *Apfelstrudel!* — wykrzyknął Major, pochylając się nagle w przód.

— Czy życzy pan sobie, żebyśmy przystanęli na *Apfelstrudel*?

— Nie, ja chcę *Nur Du Allein*. To jest *Swiss Cottage*, yes?

— Czy może pan to powtórzyć, Majorze?

— Tu *Swiss Cottage*, no. Proszę stanąć przed *Nur Du Allein*.

— Co?

— Myster Toro! Wiesz przecież, dawny Wiedeń, walce *und so weiter*. Austriacka kawiarnia, no. On lubi *Apfelstrudel*, ten głupiec.

— Kto?

— Ten głupiec, którego nie możemy znaleźć.

Major-Pieczkarcz miał rację. W momencie gdy weszli do kawiarni mały człowieczek z parasolem wybiegł bocznymi drzwiami, trzymając ostatni kęs przekładańca w dłoni. Biegnąc, upuścił parasol, ale udało mu się przelknąć ciasto na czas by zawołać

przejeżdżającą taksówkę. Trzasnęły drzwi, taksówka ruszyła.

W tej samej chwili, jakieś auto, prawie tak duże jak Lancelota, śmignęło w pościg z błyskawiczną szybkością. Daszek auta zsunął się w tył i ręka z czarną teczką wychylną w górę jak piracka flaga.

— Paszcz! Paszcz w aucie! Prędszej, Myster Toro, ruszaj na pomoc Doktorowi.

Major tak się podniecił, że próbował prowadzić auto razem z Lancelotem.

— Dostaniemy tego głupca, Myster Toro! — krzyczał szarpiąc się za rękaw. — Nauczmy go Jedności, yes?

Uczucia małego człowieka w taksówce, cokolwiek myślał, w ogóle się nie liczyły. Przyjęcie wyzwania zależało od taksówkarza. Zobaczył on dwa ogromne auta nalatujące na niego, jeszcze chwila, a jedno z nich go prześcignie. Wpadło mu na myśl, że widocznie wjechał przypadkiem w jakiś amerykański film, zahamował więc nagle i wrzasnął:

— Cóż wam strzeliło do głowy, ej? Nie mam zamiaru bawić się w strzelaninę, o nie. A ty bratku — zwrócił się do swego pasażera — musiałeś pałać wielkie głusptwo!

— I jeszcze jakie głusptwo — potwierdził Major, wyskakując z Rollsa. — Chodź, głupcze, i podpisz szybko. — Ogromne buciska Majora rozgniatyły żwir.

— Premier czeka — dodał Paszcz, kłaniając się Lancelotowi swą czarną teczką. Nadal zachowywał się jak przystało na tak historyczny dzień. Dyskretny szturchaniec, wiele mówiący ruch pięścią, i karzełkowaty przywódca Agrarnej Frakcji dał się przekonać.

— On podpisze — rzekł Major i wepchnął człowieka do Rollsa.

— Skąd pan wziął takie wspaniałe auto, Doktorze? — zapytał Lancelot, wychylając się przez okno, z ręką już na kierownicy.

— Naszemu Ministrowi Skarbu bardzo zależało na uratowaniu Frontu Jedności Narodowej.

— Wasz Minister Skarbu musi mieć dobrą głowę do finansów, sądząc po aucie.

— Tak, panie Thawroe, on wyrabia kielbaski.

— Ah, rozumiem.

Jak się okazało Adam Gruda nie chciał podpisać Aktu Zjednoczenia gdy usłyszał, że brakuje jednego podpisu. Teraz, widząc nikłego człeczynę przy stole, wciąż wahającego się czy zrobić użytek z pióra, Gruda mrugnął na niego i zamamrotał pod wąsem:

— Ot, podpisz tylko wzdłuż kropek, Leonie. Koniec bicia, tylko podpisz. Później, na rozprawie sądowej będziesz mógł wszystko odwołać, wszystko odwołać, odwołać, odwołać...

Były to jedyne słowa wypowiedziane przez niego głośno tego wieczoru.

Mniej więcej o godzinie 10 minut 30 czternastu ministrów i reszta sygnatariuszy, dla których nie starczyło na razie urzędów na wygnaniu, zaczęło wyjmować swoje skórzane teczki spod historycznego stołu i ustawiać się wzdłuż ściany, aby wymienić uścisk dłoni z Premierem. Na końcu ogonka czaszka Majora Notarskiego świeciła jak grzyb skropiony rosą, tak się Major pocił. Lancelot Thawroe wyczuł, że Major przeżywa jakieś dramatyczne napięcie, od którego żyły wystąpiły mu na skroniach.

— Celino, spójrz — wyszeptał. Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, Major gwałtownym wybuchem przerwał uroczyste milczenie. Grzmiał na cały ogonek po polsku — złoto jego zębów i ciężar butów groźniejsze były jeszcze niż zwykle.

— Co on mówi?

Celina zbliżyła wargi do ucha Lancelota i odpowiedziała szepem, którego każde słowo było jak łaskoczący pocałunek: — On uważa, że Agraryści nie zasługują na podanie im ręki; on jest przekonany, że mój ojciec nie ma pojęcia jakimi głupcami oni potrafią być, on jest pewien, że nowy rząd upadnie, gdyż będzie za dużo jedności, on wierzy, że powinien natychmiast podać się do dymisji, aby poderwać ducha walki w prawdziwej Lidze Chłopskiej.

— No ale z czego on się chce podać do dymisji?

— Nie wiesz, Lancelocie? Przecież Major został Ministrem Handlu i Lekkiego Przemysłu.

Głos Majora brzmiał teraz mniej groźnie: apelował do kogoś, prawdopodobnie do swego przyjaciela, Doktora Paszcza, który w swym poważnym garniturze wyglądał w tym momencie na właściciela zakładu pogrzebowego.

— Major już podał się do dymisji i uważa, że to samo powinien uczynić Doktor. — Tłumaczenie Celiny stawało się coraz lepsze, podczas gdy Major ciągnął swoje ze swadą mówcy zdającego sobie sprawę z wagi pauz retorycznych. Lancelot czuł się jak na jakimś widowisku satyryzującym obrady ONZ-tu, odgrywanym w groteskowej polszczyźnie, ze słuchawkami na uszach i całą resztą. Gdy już Major wyczerpał swój gniew i wysiąkał nos na znak, że inni mogą wstąpić w szranki, Celina dotknęła językiem ucha Lancelota i zachichotała. Wrzask na sali wzmógł się, chociaż dalej potrząsano sobie dłońmi, a Premier Gruda stał twarzą do kolejki jak uprzednio.

— Czy rząd upadł?

— Ależ skądże, Lancelocie. Oni się teraz kłócą kto ma objąć ministerstwo po Majorze, Radykalni Socjaliści czy Liga Młodzieży Socjalistycznej.

— Chciałbym pomówić z Majorem. Czy on już wyszedł?

— Wyszedł. W tej chwili jest już pewnie daleko. Widzisz, kiedy Major jest bardzo zły, wtedy idzie bardzo daleko.

— Nie może być, Celino. Muszę biec za nim. Zobaczę cię później.

— Będzie przyjęcie w suterynie. Przyjdź! Oni wszyscy chcą ciebie poznać...

Lancelot dosłyszał połowę z tego co mówiła. Trzasnął drzwiami, opuszczając niezwykłą fortelę zgody.

Major-Pieczarkarz zakamufłował się jednak lepiej niż mały człowieczek z Frakcji Agrarnej: ominął zarówno wystawne lokale jak i bardziej wątpliwe zakamarki polskiego Londynu, a ponieważ nie przepadał za przekładańcami, kawiarnia *Nur Du Allein* nie wydawała się prawdopodobnym miejscem jego schronienia.

Thawroe wrócił na *Belsize Park* po północy, zmartwiony i pełen wyrzutów sumienia. Przyjęcie jednak odbywało się nadal z rozmachem, a każdy z obecnych uważał za punkt honoru częstować go wódką, dowcipami, politycznymi horoskopami i znowu wódką. Nie pytał o Celinę. Oboje pilnowali zasady nie wypytywania się o siebie w miejscach publicznych. A wszyscy Polacy mieli rzekomo nic nie wiedzieć, że córka Grudy była kochanką Anglika. Oczywiście wszyscy dobrze o tym wiedzieli, ale udawali, że nie wiedzą, po części ze względu na Celinę, po części dla dodania specyficznego posmaczku plotkom za jej plecami.

Po kilku kieliszkach wódki Lancelot rzeczywiście mocno przejął się sprawą Ministerstwa Majora. Dowiedział się, że zdołali je Radykalni Socjaliści.

— Dyrektor bez wątpienia zasłużył sobie na portfel ministerialny — oświadczył młodzieniec roznoszący wódkę. — Czekaj na niego bardzo długo.

Zatroskany umysł Lancelota domagał się jednak dalszych wyjaśnień: jak wygląda następca Majora? Oto on, pod tą nabrzmiałą u sufitu rurą, najbardziej nieprawdopodobna postać w całym tym towarzystwie wygnańczych polityków zebranych w suterynie. Tęgi, rumiany na policzkach, z białym wąsem podkręconym z fantazją do góry, zachowywał się jak dobroduszny właściciel ziemski na jakimś wiejskim święcie i wydawał się traktować wszystkich dookoła w sposób odpowiadający okazji. Oto typowy ziemianin, pomyślał Lancelot, z tych ziemian dla których cała Europa Wschodnia była jednym wielkim polem łowów.

— Chciałbym go poznać.

— Ależ oczywiście, Dyrektor będzie uszczęśliwiony. Czy i pan jest socjalistą, panie Thawroe?

— Nie, raczej nie przypuszczam. Widzi pan, ja nie jestem specjalnie zainteresowany polityką.

— Jaka szkoda. Dyrektor jest wielkim rewolucjonistą. W roku 1905 rzucał bomby. I wysadził w powietrze całą fabrykę, w której pracował, dużą fabrykę.

— Trochę dziwny wyczyn, jak na Dyrektora fabryki, nie myśli pan? — zauważył Lancelot.

— Nic podobnego! Widzi pan, Dyrektor był robotnikiem, zwykłym robotnikiem. Tytuł Dyrektora jest po prostu grzech-

nościowym tytułem. Byłoby nieładnie nie tytułować go w ogóle. — Młodzieniec dołał wódki do kieliszka Lancelota.

— Jak pan myśli, jak powinno się go tytułować teraz, kiedy został ministrem?

— Młodzieniec zmarszczył czoło, pomyślał chwilę, potem uśmiechnął się:

— Panie Ministrze Dyrektorze — tak ja bym go tytułował, panie Thawroe. W naszym kraju nigdy się nie odrzuca uprzedniego tytułu. A on jak najbardziej zasługuje na dwa. To jest wielki rewolucjonista. W roku 1905 rzucał bomby. Ah, przepraszam, już o tym panu mówiłem. Chodźmy, przedstawię pana.

W czasie przeciskania się przez salę wypełnioną po brzegi członkami rządu, Lancelot zrobił w myślach uwagę: dotyczyła ona polskiego bałaganu, wszędzie rzucającego się w oczy, nawet w takich świętościach jak różnice między typami ludzkimi. Cóż bardziej wytrącającego z równowagi niż wziąć robotnika za ziemianina, pomylić jedną klasę z drugą. W Anglii nigdy by nie tolerowano takiego bałaganu: od człowieka bez wyraźnego klasowego oblicza spodziewano się, że potrafi przybrać twarz odpowiednią dla jego zawodu lub urzędu. I człowiek taki zwykle przystosowywał się do tych wymagań, przez wzgląd na zwykłą ludzką przyzwoitość.

Lancelot nie miał jednak czasu zastanowić się nad wyglądem własnej twarzy, gdyż oto został przedstawiony panu Ministrowi Dyrektorowi.

— Ach, pan Zorro! — zawołał Minister Dyrektor. Jego biały wąs podskoczył ze szczerą uciechą. — Słyszałem wiele o pańskiej wytwornej osobie. — Lancelotowi wydało się to raczej dziwaczne, że Polacy musieli zawsze zniekształcać jego nazwisko przy pomocy hiszpańskiego, którego nie znali. Zmiana z *toro* na *zorro* wcale mu nie pochlebiała.

— Pan reprezentuje Foreign Office, yes? — Dyrektor ciągnął dalej. — A może jest pan tu nieoficjalnie, incognito?

— Ależ skądże! Jestem tylko prywatną osobą.

— Ach, wy Anglicy, wy jesteście zawsze tacy skromni. Podoba mi się to. Muszę pana uściskać, panie Zorro.

— Musi pan? — wymamrotał Lancelot i cofnął się widząc siwe macki wąsów skierowane prosto w swój nos.

— Serdecznie uściskać. — Rewolucyjny Dyrektor rozwał ramiona jakby chciał rzucić dwie bomby naraz i postąpił krok naprzód. — Albowiem, panie Zorro, jak powiedział nasz sławny poeta: „Kochajmy się!”. Mówi to na końcu swojej sławnej epopei.

— O czym jest ta epopeja? — Lancelot inteligentną rozmową próbował opóźnić straszną chwilę uścisku. Jeszcze moment, a ten męski słowiański całus wylądował na jego policzku.

— Ta sławna epopeja jest o naszej szlachcie, panie Zorro. Oni kłócą się bardzo, ale sławna armia Napoleona zjawia się, i wszyscy wznoszą toast na cześć polskiej jedności, wołając:

„Kochajmy się”. Niestety, Napoleon przegrał, jak pan pewnie wie, panie Zorro.

— Tak, wiem. — Cofnął się znowu, ale było już za późno. Potężny uścisk zgniótł mu żebra a zapach wódki sparaliżował mięśnie twarzy. Wystrzał był dubeltowy: oba policzki otrzywały pocałunek, który zabrzmiał jak uderzenie w twarz.

Okazawszy w ten sposób swoją serdeczność, Dyrektor stracił zainteresowanie i opuścił Lancelota prawie natychmiast.

— Bawi się pan dobrze, panie Thawroe? — Doktor Paszcz otarł się o Lancelota starając się jednak nie przystawać.

— Dobrze. Dziękuję. Panie Doktorze, kiedy mam odwiedzić Premiera do domu? — zawołał za nim. Paszcz zdecydował się niechętnie zamienić z Anglikiem parę słów.

— Odwiozłem ich oboje na długo przed północą. Pani Celina miała migrenę, kazałem jej pójść do łóżka. Ona teraz słucha swego doktora, bardziej niż kiedyś. Widzisz pan, ja wyleczyłem jej ojca. O tak, mam się czym pochwalić w tym historycznym dniu. Czy myśli pan, że nie powinienem się chwalić? — Podczas tego samochwalstwa oczy Doktora wyrażały miłą prośbę o współczucie.

— Z całą pewnością, pracował pan bardzo ciężko. Należy się panu wypoczynek.

— Wypoczynek! Wypoczynek! — zawołał Doktor chwytając Lancelota za rękę. — Jakżeż ja mogę wypoczywać, panie Thawroe? Komuniści są w ofensywie a nasza jedność na wygnaniu wymaga kilku miesięcy do scementowania. Ten Major... Zrobiłem go Ministrem a on mnie opuścił, mnie, nas, naszą wielką zgodę. To ta wojna tak go zmieniła, on nie może zapomnieć że wojna już się skończyła. Bo w pewnym sensie my rzeczywiście nadal walczymy. Premier walczył... ja... my... Doktor zaplątał się w słowach i patrzył na Lancelota prawie że wstydem, że aż z tyłu rzeczy zwierzył się przed Anglikiem. — Pan rozumie, pan jest po naszej stronie.

— Doktorze, jak złapać Majora?

— Niech pan nawet nie próbuje. Nie da rady. Major zniika co pewien czas. To samo było podczas wojny. Czasami wysyłano go do okupowanej Polski, czasami on sam siebie wysyłał. On był nawet w całej Rosji, na pieczarkowych misjach, jak mówił. Żeby zobaczyć jak grzyby rosą. Tak, to jego własne słowa. O, Major ma duży zmysł humoru, tylko to trudno zauważyć przy jego angielszczyźnie. Ja jestem jedynym Polakiem, który mówi dobrze po angielsku. Ja wiem, nie powinienem się chwalić, to nie jest dobrze widziane w waszym kraju, ale *dłaczego mam się kryć po krzakach?* Prawda, jaki mój angielski jest idiomatyczny?

— Tak, Doktorze, pański angielski zasługuje na najwyższą pochwałę. Ale nie wolno się tak zamartwiać. To tylko zmęczenie, to przejdzie. Mówię teraz jak doktor doktora, nieprawdaż, panie Doktorze?

— Napijmy się wódki, panie Thawroe. Będę rano chory, ale łyknijmy sobie jeszcze. Bardzo proszę, panie Thawroe.

— Czy nie lepiej, żebym pana odwiózł do domu? Wygląda pan całkowicie wyczerpany?

— Panie Thawroe, odmawia pan napicia się ze mną? — Doktor próbował udawać obrażonego, ale zmartwiony wyraz pozostał w jego mocno podkrążonych oczach.

— Niech żyje Jedność — ktoś wznosił okrzyk zachrypłym głosem. Tyle Lancelot już rozumiał po polsku.

— Kochajmy się, jak powiedział poeta — zamruczał pod nosem, popychając Doktora Paszcza w kierunku drzwi.

— Panie Thawroe, musi się pan nauczyć po polsku.

— Czy naprawdę muszę?



O trzeciej po północy auto znowu należało do Lancelota. Odstawił Doktora Paszcza do jego mieszkania w okolicy Earl's Courtu i nareszcie przestał być szoferem. Nie czuł się jednak zmęczony. Przeciwnie, wódka rozszerzyła jego niewyspane oczy i podnieciła do dalszych wędrówek. Włączył się więc autem po mieście aż do świtu.

O piątej nad ranem stał już przed oknem Celiny. Spozregłszy w rynsztoku korek, podniósł go i rzucił nim w okno. Powtórzył to kilka razy. Okno się uchyliło i ukazała się Celina, przysłaniając ciało szlafrokiem. Nie włożyła go. Chociaż zaspana i nieogarnięta, z burzą włosów nad jednym okiem, zdawała się przyciągać światło odbite od okien domu. Była częścią budzącego się dnia.

— Hallo, Celino. — Zamachał ręką, próbując pokryć wzruszenie. Nie lubił wzruszać się bez uprzedniego sygnału ostrzegawczego z mózgu.

— Nie mów tak głośno. — Celina próbowała szeptać jak najciszej, ale jej słowa także odbijały się echem w wąskiej uliczce.

— Czy możesz mnie wpuścić?

— Ależ Lancelocie, nie spodziewałam się ciebie.

— Rzuć mi klucz, Celino.

— Ależ Lancelocie...

— Celino. — Ostatni skurcz alkoholowy zatrząsał nim całym i Lancelot zaczął się zachowywać jak pijak. — Kochajmy się, jak powiedział sławny poeta w swojej sławnej epepei. Kim do diabła był ten polski bard? Nie, nie mów mi teraz, rzuć najpierw klucz.

— Bądź cicho. Schodzę. Zaczekaj.

— Gdy wszedł do jej pokoju, odezwała się z na wpół smutnym uśmiechem: — W ten sposób można zabić miłość.

— Zabić?

— Tak, zabić. Kpiną.

— Ależ najdroższa, piłem troszeczkę z twoim polskim rządem, z całutkim rządem. Zaraz wytrzeźwieję.

— Przestań kpić, Lancelocie. To zabija moją namiętność do ciebie. A ty wciąż jesteś taki przystojny.

— Jestem przystojny? Powiedz mi, jak ja naprawdę wyglądam? — Podszedł do lustra i wykrzywił się. — Ach, już wiem, Celino. Ja wyglądam dokładnie tak jak Polacy sobie wyobrażają, że wygląda typowy Anglik. To jest moje zawodowe oblicze! Anglik, przydzielony do Koalicyjnego Rządu Adama Grudy Na Wygnaniu.

Dostał w twarz.

## SKOK W TEMPIE ZWOLNIONYM

W wigilię Święta Bankowego Julian Atrament odbył szczerą rozmowę ze swym psem. Nie żeby próbował teraz zdobyć zaufanie Bernarda. Powinien był to zrobić już dawno temu. Zresztą pies tak duży jak Bernard i o tak wyostrzonym psim węchu nigdy nie dałby się nabrać na — spóźnioną w dodatku — hipokryzję. Żaloszna prawda wyglądała inaczej: Atrament nie miał po prostu nikogo z kim mógłby szczerze porozmawiać. A ponieważ zanościło się na doniosłe decyzje, było więc prostą uczciwością wyjaśnić psu ich obopólną sytuację.

— No, Bernardzie, muszę się zdecydować raz na zawsze — odezwał się Atrament. Pies podniósł łeb i zastrzygł uszami. Słuchanie nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło, czemuż więc nie miałby słuchać? — Widzisz, Bernardzie, otrzymałem wczoraj wypłatę i to już będzie ostatni grosz jaki otrzymam z Poleksportu. — Pies opuścił łeb. — Myślę, że powinienem zdecydować się na skok jak najszybciej.

Pies podniósł tylną łapę i podrapał się za uchem. Atrament zapalił papierosa a potem potrząsnął pudełkiem zapalek przed nosem Bernarda. Specjalnie się to psu nie spodobało, ale słuchał dalej.

— Tu dochodzimy do punktu, który dotyczy ciebie. Bernardzie, musimy się rozstać. Nie możemy zrobić tego skoku wspólnie. Po pierwsze, jesteś za ciężki. No a po drugie twoja rzucająca się w oczy osobowość przyciąga zbyt wiele uwagi; ludzie mogliby zacząć nas gonić, zobaczywszy ciebie biegnącego za mną. Bernardzie musimy się rozstać.

Pies zerkał na dym z papierosa który Atrament wypuszczał gęstymi kłębkami. Gdy dym opadł, Bernard zmarszczył nos i kichnął.

— Z czego ja cię będę żywił? Jesteś kosztownym psem, wiesz o tym dobrze. Moje oszczędności nie pociągną długo, Bernardzie. Szlak by cię trafił, nie mrugaj tak na mnie. Wiem, że nie powinienem był cię kupować.

Pies ziewnął.

Jeszcze w Warszawie Atrament nieraz słyszał anegdotę, opowiadaną o ministrze rolnictwa, mocno zadumany nad swym sześćioletnim planem pod koniec siódmego roku. Biedny ten człowiek odbył dwugodzinną rozmowę ze swym kotem zanim się powiesił. Dwugodzinną! Całe dwie godziny żeby wmówić w siebie samobójstwo!

Julian Atrament spojrział na zegarek. Dziewiąta. Wieczór był cichy i pogodny, tą pogodnością która każe zbyt wrażliwym miłośnikom ciszy wyskakiwać przez okna. Atrament siedział tyłem do okna i palił papierosa za papierosem. W krótkich przerwach głośne potarcie zapałki lub kaszlnięcie budziło psa i monolog zaczynał się od nowa, aby zamilknąć z chwilą zjawienia się jakiejś weselszej myśli.

Była jeszcze dodatkowa sprawa listu, który Atrament odczytał zbyt wiele razy aby móc spokojnie ocenić jego zawartość. Przyniósł go wczesnym rankiem, i to nie do urzędu ale do jego mieszkania, nadzwyczaj młody przybysz prosto z Republiki Ludowej, który jak zapowiedział, może zajść znowu tego wieczoru.

Inaczej niż większość listów, które Atrament otrzymywał, przelatywał lub mógł jeszcze otrzymać z tego skażonego źródła informacji, ten w jego kieszeni nie był pisany szyfrem; co więcej, przeznaczony był dla niego i do niego zaadresowany. Centralny Urząd Propagandy Kultury przy Wojsku wydawał się odczuwać pewną dumę z możliwości drugiego wydania napisanej przez Atramenta biografii, w papierowej okładce i bardzo tanio.

Ton listu zawarty był już w rozpoczynających go słowach: „Drogi Towarzyszu i Przyjacielu” obwieszczał nagłówek napisany wcale nie „sympatycznym” atramentem. Potem zaś następowala przyjemna wiadomość, pisana już na maszynie, dotycząca wojskowego wydania książki pod tytułem *Marszałek Rokossowski — Bohaterski Wybawiciel Polski*. Wydanie rozeszło się dobrze, odczytywał Atrament, ponieważ Centralny Urząd Propagandy Kultury zakupił cały nakład natychmiast po ukazaniu się dzieła — całe 25.000 egzemplarzy. List donosił, że ładna sumka została odłożona na chwilę następnego przyjazdu autora do Warszawy. Wyrażano także nadzieję, że autor nie weźmie za złe kilku ideologicznych zmian wprowadzonych do książki, podciągających dzieciństwo i wczesną młodość Marszałka do poziomu jego monumentalnej postaci.

Reszta listu zawierała kilka aluzji przyrządzonych w sosie pochlebstwa. Siła obserwacji autora, jego uspołecznione podejście, „męski, muskularny styl” godne były tematu, który zaangażowałaby cały jego talent. Centralny Urząd wysuwał delikatnie własną sugestię: czy Atrament nie chciałby się podjąć napisania książki o tej Faszystowskiej Bestii, Adamie Grudzie?

Książka tego rodzaju wymagałaby oczywiście przestudiowania dokumentów znajdujących się w archiwach Urzędu Bezpieczeństwa. Gdyby Atrament mógł przedłużyć swój letni urlop w Warszawie do jesieni, byłby w stanie złożyć pierwszy szkic książki jeszcze przed powrotem do Londynu. „Spodziewamy się Was wkrótce w naszym urzędzie” — kończył list.

Do listu dodane były dwa przypiski, zajmujące prawie połowę całej kartki. Pierwszy odnosił się do młodego człowieka, w którego odpowiedzialne ręce list ten oddawano. Centralny Urząd pokładał w nim pełne zaufanie i jeśli Atrament miałby jakieś pytania dotyczące aspektu finansowego książki, może bez obawy zwróci się do młodzieńca, który będzie do jego dyspozycji. „Jest on najmłodszym z naszych pracowników, ale wiele obiecującym na przyszłość”. Drugi przypisek zawierał lekką krytykę pracy Atramenta na odcinku propagandy, ale krytyka była sformułowana w słowach delikatnych, jako pytanie raczej niż nagana.

Czy było prawdą, na przykład, że w broszurze Atramenta o kołchozach w Polsce, wydanej w trzech językach, fotografie nie odpowiadały tekstowi? „Australijska Agencja Prasowa zrobiła bowiem śmieszny wręcz zarzut, że daliśmy w tekście ich fotografie jako nasze własne. Czy Towarzysz przyznaje, że ten koniuszek ogona, widoczny na fotografiach, nie jest ogonem krowim, ale ogonem kangura? Jeżeli tak, broszurę winno się poprawić nadając jej bardziej rodzimy wygląd”.

Centralny Urząd Propagandy Kultury przy Wojsku brał więc Atramenta pod swoje opiekuńcze skrzydła i miał zamiar opiekować się nim nadal pod warunkiem, że zgodzi się on na ich plany, z których jeden przewidywał napisanie książki o Faszystowskiej Bestii, Adamie Grudzie. Atrament celował w panegryfikach ale nie był pewien czy uda mu się równie dobrze zastosować technikę pisarską wręcz odwrotną. Co jednak zniechęcało go najbardziej do zrobionej mu propozycji to zła wena jaka zaczęła utożsamiać z nazwiskiem Grudy. Ilekroć wyszedł aby wziąć taksówkę do wolności, przed oczyma jego stawał symbol Grudy i tarasował mu drogę: historia jego ucieczki przyniosła Atramentowi tylko zawód i opóźniła jego plany. Nie, stanowczo nie mógł wybierać wolności myśląc ciągle o Grudzie.

I list więc i młody przyjezdny, były dla niego jak dwa ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem. Musiał od nich uciec jak najszybciej.

Zadzwoił telefon i szef Poleksportu zaryczał po drugiej stronie linii. Niech Atrament zaopiekuje się „naszym młodym gościem z Warszawy” i przyjmie go do siebie na parę nocy. „Osiemnastolatek” — mówił szef — „a już taki rozgarnięty. Podobają mu się wasze dzieła, Towarzyszu, a jak wszyscy młodzi, lubi także psy. Przypadniecie sobie do gustu, jestem tego pewien. Ja muszę wyjechać na wieś, Towarzyszu rozumie. I dziękuję Towarzyszowi za wybawienie mnie z kłopotu”.



Kiedy szef oddzwonił, Atrament obrzucił słuchawkę stekiem wywisk. Te cholerne weekendy! To była pierwsza rzecz jaką przejęli już po dwutygodniowym pobycie w Anglii, pierwszy kapitalistyczny zwyczaj, zdolny zdeprawować każdego proletariackiego posta. O tak, szef nie różnił się w niczym od reszty.

Atrament zerknął na Bernarda, potem na zegarek. Pies spał położywszy ogon na jego bucie, a zegarek pokazywał wpół do dziesiątej. Na kominku stało pudełko z lepszymi papierosami, dla gości. Gdy wyciągnął po nie rękę Filomena rzuciła mu z fotografii jedno z tych swoich pełnych wyższości spojrzeń. O angielski snobizmie, jakżeż kobiecy jesteś w swej wyzywającej rezerwie, jak bardzo pragniesz by cię szokowano i łechtano! Filomena dawała wyraz swym erotycznym popędom poprzez próby zaimponowania — jak go nazywała — jej Mister Polskiemu i patrzyła na niego z taką pociągającą wyższością że wystarczała sama jej fotografia by wzburzyć w nim krew.

Wybranie wolności nabrało w tej chwili dla Atramenta posmaku zaspokojenia instynktu płciowego. Wolność i Filomena: obie podniecały go spojzeniami pełnymi wyższości. Musiał zdobyć się na odwagę.

Ale najpierw musi zrobić niespodziankę Filci. Przygotuje ją na ten szok jakimś hojnym prezentem. Zrobił się niecierpliwy, zapragnął usłyszeć natychmiast jej zdziwiony głos, pozbawiony wszelkiej pretensjonalności, zachciał przekupić wolność pośrednio, złożeniem ofiary Filomenie. Ale nie ona odpowiedziała na jego telefon.

— Kąpie się — wyjaśnił męski głos.

— O tej porze? — Atrament znał jej zwyczaje, a kąpiel o 11-tej wieczór nie była jednym z nich. Przyjemności higieny odkładała zwykle na rano.

— Uhm.

— Ależ dlaczego? — Atrament odezwał się zupełnie zбитy z tropu.

— Dobranoc panu — odpowiedział głos.

— Hallo! — krzyknął Atrament. — Kim pan jesteś?

— Zaden pański interes. Nie mówiąc o tym, że to ja chciałbym wpięć wiedzieć, kim *pan* jesteś?

— Ja jestem Julian. Julian. Narzeczony Filomeny.

— Czyżby? Bo ja też!

— Co?

— Rzekłem, ciemniaku.

— Ale ja muszę się z nią rozmówić! — Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Potem odezwały się jakieś szepty, aby znowu zamrzeć. Wreszcie ten sam męski głos dał się słyszeć z pewnej odległości:

— To ten twój Komunistka. Mówię ci, że on. Odbierz, wytrę ci plecy.

Atrament zakaszłał i miało to natychmiastowy efekt.

— To ty, miluchny?

— Ja.

— Czujesz się dobrze, malutki?

— Czuję się dobrze, Filomeno. A kto to tam jest z tobą?

— To cię może troszkę zadziwić, Juleczku, ale ten pan właśnie mi się oświadczył i wiesz, to takie dziwne uczucie. Proszę cię, nie mów mi nic przyjemnego, bo się rozplaczę. To te nerwy, wiesz, niedospane noce, i Bob chce się ze mną żenić akurat w Święto Bankowe i wiesz...

— Nie pozwalam ci za niego wyjść za mąż, Filomeno. Nie możesz mi wyrządzać takiej krzywdy. I to teraz, kiedy chcę się ustatkować, osiąść tu na stałe. Zadzwoniłem żeby ci powiedzieć, że chcę ci dać jakiś piękny prezent.

— Jeszcze jeden prezent, Juleczku? Ty jesteś naprawdę mój najstarszy.

— Jak to, jeszcze jeden?

— No, myślałam o tych pieniądzech, co to... wiesz.

— Moich pieniądzech?

— Widzisz, ja wiedziałam, że ty zechcesz mi dać jakiś piękny prezent ślubny, wiesz — taki porządny prezent, więc pomyślałam sobie, że chyba mogę zatrzymać te twoje pieniądze, które masz na moim koncie bankowym, żeby — wiesz, czuć się niezależną i Bob ma trochę pieniędzy uskładanych i w ogóle, przecież ty rozumiesz Juleczku, że dziewczyna w dzisiejszych czasach musi się jakoś zabezpieczyć...

— Filomeno! Przecież masz sześćset czterdzieści funtów szterlingów moich pieniędzy! Nie pozwolę się okraść. Filomeno, jestem...

— Uważaj na swój język, Juleczku. Bob mówi, że ty nie pójdziesz na policję bo ty jesteś wstrętny szpieg i że cię niedługo i tak zamkną. Muszę przyznać, że byłam naprawdę zszokowana i kiedy to usłyszałam pierwszy raz. Jak ci nie wstyd, Mister Polski? Pewnie złożyłeś te pieniądze na moje konto, żeby mi zatkać buzię? Dobrze, będę trzymała zamkniętą z uwagi na te piękne dzionki któreśmy razem spędzili, pamiętasz, jak ty wozileś mnie swoim autem i kupileś mi prawdziwe futro i jeszcze posłałeś £ 50 mojej mamie na Boże Narodzenie. Wszystkie te miłe rzeczy, które robiłeś dla twojej Filci, wszystkie pamiętam, a widzisz, kochanie. No to dowiedzenia Mister Polski i naprawdę strasznie, strasznie ci dziękuję za ten ślubny prezent!

— Filomeno, ja jestem teraz wolnym Polakiem!

— Ależ pewnie, że jesteś wolny, mój dzióbku. Poszukaj sobie jakiejś ładnej pieśczołki i wszystko będzie dobrze. Żegnaaaaj... i uważaj na siebie. Przyślę ci może kartkę na Boże Narodzenie. Bye-bye.

Atrament dyszał ciężko w słuchawkę. Potem położył ją i podszedł do okna. W dole ulica przycupnęła pod żółtymi światłami; kolejka podziemna ciemniała za kratami, uwięziona aż do rana.

Atrament podszedł na palcach do drzwi i obejrzał się. Bernard spał — włochaty pakunek falujący na dywanie. Teraz albo nigdy. Jeżeli to ma być skok, to niech już będzie błyskawiczny. Nie potrzebuje bagażu, nawet szczoteczki do zębów. Wszystko

można będzie zabrać później — kiedy? nie odgrywało teraz roli. Plan Atramenta był bardzo prosty: zjedzie na dół windą, zawoła taksówkę, i pojedzie prosto na posterunek policji na Malory Street na Earl's-Court'cie. Ani słowa o Grudzie, żadnych tajnych dokumentów, żadnej sensacji. Atrament odrzucił wszystkie te preteksty jako banalne i zamierzał oprzeć swoją prośbę o azyl na przesłankach czysto intelektualnych.

Zamiast jednak uczynić skok w przód, skoczył do tyłu. Przeraził się drzwiami: ktoś w nie pukał niezbyt natarczywie, ale stanowczo. Atrament wiedział, że musi otworzyć.

— Przyszedłem. — Osiemnastoletni młodzieniec wyszczerzył się w uśmiechu do Atramenta i wszedł nie czekając aż zostanie zaproszony. — Uciekło mi metro, spacerowałem się całą drogę na piechotę. Londyn jest wspaniały w nocy.

Stał w kręgu światła, które sam zapalił. Nad jego kanciastą szczęką trwał nieusuwalny uśmiech, równie stanowczy jak układ kości twarzy. Ale główny punkt siły skupiał się w czarnych brwiach, stanowiących jedną krechę połączoną jakby gwiazdą nad mostkiem nosa. Niemożliwością było przypatrzeć się jego oczom: cofały się w głąb pod naciskiem tej podłużnej granicy, dzieląc twarz na dwie części. Chłopak zdawał się patrzeć brwiami.

— Właśnie chciałem wyjść — odezwał się Atrament.

— A ja muszę z wami pomówić. Poza tym, mam zostać u was na noc. Czy zgadza się, Towarzyszu? — Mówił po polsku wolno i zbyt poprawnie, jakby nauczył się języka w późnym dzieciństwie. Atrament podchwycił lekki rosyjski akcent w tonie pytania.

— Tak, zgadza się. Szef dał mi znać przez telefon. Mam wolne łóżko. Proszę bardzo. — Atrament nie przypuszczał, że młodzieniec mu się przedstawi. Nie uczynił tego rano, było więc wątpliwe by zdradził swoje nazwisko teraz.

— Usiądźmy, Towarzyszu Atramencie. Mam trochę wódki w teczce. Czy mam wyjąć butelkę? Czy może wy nie pijecie z obcymi?

— Nie, dziękuję. Nie pijam. Kiedyś... tak. Ale mój organizm w rzeczy samej nie znosi alkoholu.

— Rozumiem. Ja nie piję w ogóle. Ale myślałem, że może będziecie spodziewali się poczęstunku od gościa. Nawiasem mówiąc: zowią mnie Aleksander.

— Aleksander? — Atrament powtórzył imię w nadziei, że dowie się nazwiska, ale chłopak nie poszedł mu na rękę.

— Po prostu Aleksander.

— Rozumiem.

— Niczego nie rozumiecie. Wychowałem się w Rosji; moi rodzice tam porzucili mnie. Nienawidzę przypominania sobie mego rodzinnego nazwiska. Dlaczego mam dbać o rzeczy, które dla mnie nic nie znaczą? Należę do siebie a Państwu wypuściłem w dożywotnią dzierżawę moje ciało. Co do mojej duszy, to nie może być ani nabyta ani sprzedana, dlatego po prostu, że jej nie posiadam, tak jak i wy Towarzyszu nie macie duszy.

Podczas tego wybuchu Atrament pozostawał w postawie stojącej. Teraz postanowił usiąść i zapalić papierosa. Aleksander oświadczył, że pali tylko raz dziennie, zaraz po obudzeniu się. To pomaga mu zapomnieć złe sny; miewa tylko złe sny, zwierzył się przez ten przyklejony uśmiech.

W liście, który otrzymałem od was dziś rano piszą mi, że mam z wami omówić pewną sprawę. Chciałbym zadać wam parę pytań.

— Zwracajcie się do mnie per Aleksander.

— Tak jest, Aleksandrze.

— Wasze pytania mogą natomiast poczekać. Chciałbym w pierw usłyszeć od was parę odpowiedzi. Proszę, bądźcie ze mną szczerzy. Możecie mówić wszystko co myślicie, na przykład o waszym szefie. Tylko otwarcie.

Od tego momentu Atrament nie miał najmniejszej wątpliwości, że był przesłuchiwany. Nie odezwał się ani słowa.

— Co wiecie o Grudzie? — zapytał nagle chłopak.

— O Grudzie? Masz na myśli Grudę w ogólności?

— Nie bądźcie tępi. O człowieku nie można wiedzieć nic w ogólności. Chodzi mi o szczegóły. Byliście na miejscu kiedy się to zdarzyło.

— Jego ucieczka?

— Ucieczka? Towarzyszu Atramencie, musieliście włożyć końskie okulary. A może po prostu chcecie zakpić sobie ze swego gościa?

— Ależ nie, nic podobnego. — Atrament pociągnął papierosa i dym zaszedł mu do oczu. Przetarł je czując że krew napływa mu do uszu. — Mogę ci Aleksandrze od razu powiedzieć, że nie dawano mi zbyt wiele pola do popisu w Poleksporcie. Od samego początku, Aleksandrze, od samego początku.

— Znacie Doktora Bliskiego?

— Nie. — Atrament wpatrywał się w brwi błyszczące nad ciemnymi oczodołami.

— On przywiózł Grudę do Anglii. Nie było żadnej ucieczki.

— Rozumiem — rzekł Atrament, chociaż nie wyglądał jakby rozumiał.

— Gruda może wciąż naprawić to co zepsuł na rozprawie. Widzicie, Towarzyszu, jego sława jako nieugiętego bohatera chłopskiego musi być zniszczona na zawsze. A kto to uczyni, Towarzyszu? No kto? Sam-że Gruda, Towarzyszu. Widziałem jak go doktorzy preparowali w Ministerstwie Bezpieczeństwa, a Bliski — najlepszy z nich — zaokrąglił eksperyment już tu, w Poleksporcie. Szef nie miał do was pewnie zaufania, to i nie nie wiecie, Towarzyszu.

— Wiem jedno: Gruda wypoczywa w sanatorium w Kenzie. Zawiódł nadzieje emigrantów, kiedy zrobili go swoim premierem.

— W jaki sposób?

— No bo nie chce otworzyć ust.

— Otworzy, i to już wkrótce. Musimy tylko dać starcowi lekkiego szturchańca.

— Nie rozumiem, Aleksandrze.

— To bardzo proste. Wygłosi przemówienie, bardzo patriotyczne, w którym zwinnie cały rząd na wygnaniu i każe wszystkim wracać do kraju. Nie możemy przecież tolerować opozycji nie będącej na żołdzie Państwa. Nie ważne, czy emigranci rzeczywiście wrócą. Grunt, że wróci Gruda. A że wróci, to już nasza w tym głowa.

Atrament gapił się na swego złowieszczego gościa. Jego gęste brwi wydały mu się naraz rozpadliną, przez którą musi wykonać ten swój skok. Nic już teraz nie mogło zmienić jego decyzji. Im bardziej bał się, tym odważniejszym wydawał się sobie. I chociaż Republika Ludowa kusila go ponownie uśmiechem, który dopuszczał do wielu tajemnic, nie miał zaufania do ust co uśmiechały się i pluły na przemian. Tylko ta intelektualna czkawka męczyła nadal jego umysł, odbijając się jednym po drugim niestrawionym „dlaczego?” Julian Atrament zdrzał próbując zaspokoić swój intelekt pytaniem:

— Ale dlaczego mówicie mi o tym wszystkim, dlaczego?

— Ponieważ powinniście być bardziej zaangażowani, Towarzyszu. Ponieważ człowiek intelektu taki jak wy nie powinien zastanawiać się nad alternatywami. Musi być tylko jedna wersja sprawy Grudy, zaangażowana wersja.

— Ale dlaczego mnie? Dlaczego wybierać mnie na tym etapie, tak późno?

Uśmiech Aleksandra stał się straszliwie wyrozumiały. Przemówił prawie dobrotliwie:

— Ci, którzy są cierpliwi i wierni dostępują w końcu szansy. I wy, Towarzyszu Atramentcie, dostąpicie swojej szansy już niedługo.

— Ja? Jakiej szansy?

— Zawieziecie Grudę do Polski.

— Ale jak? Kiedy? — Atrament był teraz bardziej ciekaw niż przestraszony. — Musi się przecież najpierw skompromitować, a kiedy to się stanie? Przypuśćmy, że będzie dalej milczał.

— Co to no nie. Trzeba mu tylko dać lekkiego szturchańca. My to zrobimy. Doktor Bliski obawia się, że jeden skok mógł nie wystarczyć, że trzeba zaaplikować jeszcze jeden.

— Czy i do mnie ma należeć zaaplikowanie tego szoku? — Nos Atramenta zakrzywił się jak pytajnik.

— No nie. To wyłącznie moje zadanie, Towarzyszu. — Twarz Aleksandra rozmazała się w jednym ogromnym uśmiechu. — Mogę być za młody do wielu poruczeń, ale nie do tego jednego. Zastosuję odpowiedni skok pośrednio, przez kogoś innego.

— No, przez kogo? — Atrament chwycił oddech i odezwał się odrobinę głośniejszy: — Kto to ma być?

— Córka Grudy. Ona zaaplikuje skok, a wy Towarzyszu, odstawicie nadmuchanego bohatera do Polski.

— Ależ dlaczego ja?

— Chodzi pewnie i o to, żeby wam także zaaplikować jakiś malutki skok, bardzo malutki, oczywiście. Mnie się to już trochę udało, bo powtarzacie ciągle to samo pytanie: „dlaczego?” I słusznie, dlaczego? Tylko osiemnaście latek — oto mój wiek! A w tym wieku musi się ludzi szokować, żeby narzucić im swoją osobowość.

Atrament zagasił papierosa. Intelektualna czkawka przestała go męczyć. Już ani ciekaw, ani odważny, poddał się chętnie zbawiennej kapaninie otumanienia, którą, wiedział, trwać będzie przez cały czas snu. Gość także czuł się zmęczony i z zazdrością spojrzął na psa leżącego na dywanie bez ruchu, z ogromnym łbem ułożonym między łapami.



Julian Atrament zbudził się o wpół do ósmej. Poczucie niebezpieczeństwa terkotało jak alarmowy sygnał w jego rozpraszających się snach. Musiał natychmiast opuścić mieszkanie, niezauważony przez nich obu. Pies mocniej wyczuł jego nastrój niż człowiek, który przyniósł niebezpieczeństwo. Atrament uspokoił psa jedzeniem i zamknął go w mieszkaniu. Zbiegł na dół po schodach, nie mogąc doczekać się windy, i znalazł się przed wejściem do kolejki podziemnej, które rozpostarło swą nazwę jak zaproszenie, zwiększając jeszcze jego zdenerwowanie. Szybko rzucił okiem na mieszkanie; nie było powodu do paniki, story na oknach były nadal zasłonięte.

Przeszedł ulicę i zdecydował, że nie pojedzie kolejką podziemną. Byłoby poniżające oszczędzać pieniądze podczas samego skoku. Zwykle sześć pensów za przejazd na wolność? Pojedzie na Malory Street w wielkim stylu, taksówką, dając szoferowi królewski napiwek. Niestety, taksówki jak na złość nie było. Próbował zatrzymać kilka dużych aut nadjeżdżających do stacji, ale mu się przewidziało, że były to taksówki. Zaczął więc iść, zdziwiony dużym ruchem ulicznym o tak wczesnej porze. Kiedy rozpoczął krocić wstydlivy deszczyk, najpierw na rondo kapelusza, potem na buty, Atrament przypomniał sobie, że to przecież Święto Bankowe. A może policja uzna za nieprzemysłane z jego strony składać deklarację polityczną w takim dniu? A może właśnie odwrotnie, może wyda jej się to typowo po angielsku.

Atrament zwolnił kroku. Nie wypadło jakoś spieszyć się podczas Święta Bankowego. Wolność była przecież wokół niego, nie musiał wlatywać w nią z pośpiechem. Wolność w Święto Bankowe: filiżanka herbaty była tylko logicznym następstwem tej myśli. Wypił ją w budce otoczony dziewczętami w szortach. Jedna po drugiej, dziewczęta odjeżdżały na rowerach w kierunku wilgotnych rozkoszy odległej wsi. W tej chwili załował, że nie miał choćby własnego roweru. Z jaką przyjemnością podążyłby za parą wypiętych pośladków, podskakujących na siodelku roweru i tak kuszących go na swobodę otwartych przestrzeni.

Filicia nie nosiła nigdy szortów. Okradła go na więcej sposobów, niż jeden. O tak, pozbawiła go szansy wybrania wolności wraz z prostotą wiejskich rozkoszy.

Budka znajdowała się tuż przy wejściu do parku. Tu było miejsce ich schadzek. Tutaj Atrament anglicyzował się podczas pierwszych tygodni ich miłości, pieszcząc Filomenę pod zielonym jaworem jakby na pokaz włączającym się przechodniom. Takie pokazy pomagały w rozpowszechnianiu uświadomienia płciowego. Atrament aprobował je jako praktykant soc-realizmu, podpatrując i naśladując owe prawie zastygłe pozy leżących par, wyciskających z siebie ostatki namiętności na przejmującej ziąbem trawie.

Ale tego ranka nie było jeszcze kochanków w parku. Atrament przechadzał się tam i z powrotem, niepamiętny na czas i kierunek, oddany rozpamiętywaniu namiętnych pieszczot i chłodnej, surowej wolności. Deszcz przestał padać, ale on tego nie zauważył. Park się zapelniał. Zza chmur wyjrzało słońce. Było to przecież Święto Bankowe... a Atrament chodził i chodził, siadał i znowu chodził, pełen wahań i niejasnych przeczuć, pragnąc być może, choćby w ten sposób i przynajmniej dla siebie tylko stworzyć pozory, że jego podróz na wolność zajmuje czas i wymaga pokonania przestrzeni.

Nagle, zdziwił się niepomiernie gdy jego dłoń dotknęła czegoś miękkiego. Cofnął ją natychmiast gdy nastąpiło pierwsze, mgliste jeszcze rozpoznanie kształtu. A potem wszystkie jego zmysły stanęły dęba i po jeszcze jednym wstrząsie — rozszczępiły się w przerażeniu. Tu, u jego stóp, okropnie blisko, stał Bernard, patrząc na niego tęsknie z wywieszonym ozorem.

— Jakżeś ty się tu znalazł? — odezwał się głośno. Pies odpowiedział ziajaniem jak biegacz po zwycięskim maratonie. — Jesteś sam? — szepnął Atrament, zniżając twarz prawie do uszu Bernarda. Nie zauważył, że przechodnie przystają aby pogłaskać psa. Nie zauważył nawet, że wszystko to odbywa się na kamiennym mostku ponad mizernym jeziorkiem na którym cienie drzew kotływały się jak tratwy.

— Czy jesteś sam? — Atrament powtórzył, a uszy zaczęły mu się czerwienić pod pogrzebowym kapeluszem. Pies zdawał się pojmować znaczenie pytania z tonu głosu i chociaż uwagę jego rozpraszały już teraz dziesiątki głośzących go dźwięków, zwrócił się w prawo i wywiesił jęzor w kierunku głosu raczej niż rzeczy. Auto jakieś trąbiło w pobliżu, próbując przedostać się na mostek.

W trakcie gdy ludzie otaczający Atramenta i Bernarda zaczęli się trącać i spychać pod kamienną balustradę, jakiś mężczyzna wysiadł z auta i znikł na chwilę w tłumie. Chwila, i zjawił się przed maską auta, krocząc jak paź przed księżęcym powozem. Długa czarna gąsienica pełzała po jego czole. Atrament rozpoznał te brwi i ten nieusuwalny uśmiech. Osiemnaście lat skoncentrowanej wściekłości maszerowało ku niemu przez tłum. Atrament wiedział, że od przechodniów nie może spodziewać

się ratunku: Aleksander parł jak czołg, który rozpruży każdy tłum wzdłuż jakichś niewidocznych szwów.

Julian Atrament skoczył! Po raz pierwszy w tym dniu skoczył naprawdę, w procesję tłum posuwającego się wolno po moście w kierunku kępki drzew po drugiej stronie jeziora. Musi się skryć w tym zielonym tle, stać się częścią chociażby jakiegoś żywopłotu, jakiegoś gąszczu. Ale skok był fizyczny, nie duchowy czy symboliczny, i nie zaprowadził go daleko. Na szczęście auto zaszpurowało się naprzeciw grupki dzieci przy wjeździe na mostek. Aleksander postępował naprzód, rozpychając się łokciami, zdecydowany na wszystko, ale coraz więcej ludzi wchodziło mu w drogę.

Julian Atrament oparł się o balustradę na końcu mostka, podczas gdy pies z rozpaczą wpakował mu łeb między nogi. Atrament przeraził się, że za chwilę zacznie galopować na zwierzęciu w dzikie ostępy parku. Ale obawa była płonna. Święteczny ruch odbywał się w dwie strony naraz i nieunikniony zator na mostku dosięgał już punktu szczytowego. Atrament czuł się jak zgruchotane koło w mechanizmie ruchu: osadzono go w miejscu.

Stracił już z oczu Aleksandra, ale co pewien czas słyszał trąbienie auta. Czy tego samego auta? Kto siedział za kierownicą? Odpowiedź przyszła szybciej niż się spodziewał. Auto zjawilo się naraz po innej stronie mostu, po jego stronie, tak blisko że gdyby uczynił jeszcze jeden skok mógłby z łatwością wyładować na siedzeniu obok kierowcy. Co się stało? Czy to jakiś złośliwy bożek Święta Bankowego obrócił mostek o 180 stopni? Czy też auto cofnęło się i zatoczyło koło po linii brzegów wody, aby odciąć mu odwrót z tej strony?

Drzwiczki auta otworzyły się i głowa bez nakrycia wychyliła się potrąsana gniewem czy też zdziwieniem. Julian Atrament zobaczył swego szefa, samego szefa Poleksportu, zapraszającego go do środka. A jeszcze chwila i stanie twarzą w twarz z większym niebezpieczeństwem, z chłopcem Aleksandrem, postępującym naprzód ze środka mostu, rozpychającym tłum jak powolny, ciężki czołg. Ciepłe i spokojne cielsko psa ocierało się o jego nogi, jakby chciało go zapewnić, że to przeznaczenie uknuło dla nich takie spotkanie, że instynkt psa nie może być nieczuły na przeznaczenie.

— Bernard, wynoś się stąd! — szepnął Atrament i wykręcił szyję by zobaczyć czy nie było w pobliżu jakiegoś policjanta. Ale nie dojrzał nawet skrawka przedstawiciela prawa nad cisnącym się tłumem, ani śladu wolności zapiętej w przyjazny mundur. Ratunek przyszedł wraz z niespodziewaną myślą, która zdumiała go nie mniej niż widok Aleksandra tuż obok. Bernard był jego bronią, a broń ważyła dosyć dużo, szczególnie gdy pazury psa wparły się w jego pierś. Zobaczywszy Bernarda stającego naraz na tylnych łapach aby go polizać, Atrament pojął w mgnieniu oka jak wykorzystać ten objaw przywiązania. Przysiadł, chwycił psa za tylne nogi i uniół cały

ten dyszący ciężar ku górze balustrady. Z mocą podwojoną strachem pchnął Bernarda przez kamienną krawędź i olbrzymi zwier upadł na plecy do wody.

Potężny plusk z dołu zagłuszyły okrzyki na górze. Tłum ogarnęło przerażenie. Oto znajdował się wśród nich ludzki potwór, ktoś kto chciał skrzywdzić, a może nawet zabić niewinnego psa, kto popełnił największe przestępstwo przeciw społeczeństwu i ludzkiej przyzwoitości. A co gorsza, wybrał jeszcze do tego Święto Bankowe, aby skazić wesołą atmosferę ludności!

— To cudzoziemiec! — wrzasnęła jakaś kobieta.

— Oczywiście, że cudzoziemiec! — zawtórował jej męski głos, zadowolony, że tak było.

Atrament włożył papierosa do ust. Czuł że zasłużył na to odprężenie: nareszcie zostanie aresztowany.

Kiedy zjawił się policjant, Atrament usłyszał czyjś głos obwieszczący, że pies żyje, jest mokry i pogodny. Spojrzał jeszcze przez ramię mężczyzny, który zaciągnął przy nim straż, ale nie mógł nigdzie zauważyć ani auta, ani szefa Poleksportu. Obaj, szef i Aleksander, odjechali w pośpiechu kiedy otoczyły go tłumy. A więc nikt już nie będzie hypnotyzował brwiami Juliana Atramenta: przynajmniej jedna ulga od koszmarów.

Policjant zaprowadził go na posterunek. Szli piechotą przez park i zielona dróżka na wolność wydawała się długa i wykrzywiona. Zamiast do sielankowego zakątka na Earl's Court'cie, Atrament wszedł do ogromnego, chłodnego gmachu, gdzie na samą myśl o wolności twarz Atramenta zaczynała się rumienić. A jednak nie tylko pomyślał, ale i wypowiedział to słowo.

Zarumienił się znowu następnego ranka gdy pokazano mu gazetę, na której olbrzymimi literami wypisany był tytuł: *Okruczeństwo Polaka wobec Psa psuje Święto Setkom Londyńczyków.*

Jerzy PETERKIEWICZ

(Powyższe dwa rozdziały z książki „Future to let”, zamieszczone z upoważnienia wydawcy, firmy William Heinemann, Ltd., London, przełożył Bogdan CZAYKOWSKI).

W Londynie zatrzymaj się  
w Polsko-Szkockim Hotelu

”STRATHCONA COURT”

(wł. C.C. Słeziakowie).



Restauracja — w pokojach ciepła i zimna woda, radio i telefon. —

198, Cromwell rd. London S.W.5; tel. FREmantle 7878-9

st. kolejki Earls Court — Autobusy 31, 74 —

300 m. od West London Air Terminal.

## Archiwum polityczne

### “Rewizjoniści”, których popiera Moskwa

PAX jest jednym z największych i najlepiej zorganizowanych koncernów przemysłowo-handlowych w Europie wschodniej. Stanowi również najciekawszą organizację polityczno-społeczną będącą unikatem w tzw. obozie państw socjalistycznych. Program polityczny PAX'u i jego ideologia — nie mają precedensu ani w europejskich ruchach politycznych ani w historii polskich doktryn polityczno-społecznych.

Na emigracji krążą o PAX'ie legendy. Owe legendy nieźmiernie trudno jest zweryfikować. W niniejszym artykule pominiemy „legendarny” aspekt sprawy, ograniczając się wyłącznie do analizy źródeł, tj. autentycznych „wytycznych ideowych” PAX'u z najświeższej daty 1958 roku. Dokumenty powyższe zarówno z roku bieżącego jak i z lat poprzednich — pozwalają zorientować się nie tylko w głoszonej na zewnątrz propagandzie, lecz również w celach politycznych do których PAX zmierza.

Ideolodzy PAX'u są de facto podwójnymi „rewizjonistami”. Dążą bowiem zarówno do rewizji polskiego komunizmu jak i do rewizji tradycyjnych norm katolicyzmu. Zastanawiający jest natomiast fakt, że o ile Watykan potępił paxowskich „rewizjonistów” katolickich — o tyle Kreml nie potępił paxowskich „rewizjonistów” komunistycznych. Należy jeszcze dodać, że PAX jest jedyną organizacją, która uznając przywódczą rolę partii komunistycznej — programowo dąży do zmiany jej taktyki ideologicznej. W tym zasadniczym punkcie organizacja p. Piaseckiego różni się zarówno od ludowców jak i od Stronnictwa Demokratycznego. Oba powyższe ugrupowania uznają również przywódczą rolę partii komunistycznej, ale nie dążą do zmiany jej ideologicznej polityki. Zadawałają się — zależnie od koniunktury — rolą „transmisji” albo młodszego partnera. Współpraca w tych wypadkach oparta jest nie na kompromisie, lecz na kapitulacji. Przywódcy Zjedn. Stron. Ludowego zrezygnowali z politycznych ambicji, gdyż wiedzą doskonale, że w Polsce

Ludowej nigdy nie będą rządili ludowcy tylko KC partii komunistycznej. Stronnictwo Ludowe może istnieć tylko jako partia koncesjonowana — a więc w całości zależna od rządu komunistycznego i w stosunku do niego służebna.

Współpraca na zasadzie kapitulacji do doskonałości doprowadzona jest w Chinach. Rząd Chin komunistycznych udzielił bowiem koncesji tylko tym partiom burżuazyjnym, które w pełni zaakceptowały wytyczne „pokojowej rewolucji społecznej”. Innymi słowy, udzielono koncesji tylko tym ugrupowaniom burżuazyjnym, które zgodziły się wziąć czynny udział w swojej własnej likwidacji.

Komuś może się wydawać, że stanowisko chińskiej burżuazji jest absurdalne. W gruncie rzeczy jednak likwidacyjna polityka burżuazji chińskiej jest znacznie mniej absurdalna niż ideologiczne postulaty PAX'u. Burżuazja chińska uznała swoją całkowitą klęskę. Miała przed sobą tylko dwie alternatywy: likwidację poprzez terror typu stalinowskiego — albo likwidację pokojową. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, burżuazja chińska wybrała likwidację pokojową.

Jeżeli powiedziałem powyżej, że PAX stanowi zjawisko bez precedensu w świecie komunistycznym — miałem na myśli przede wszystkim fakt — że przywódcy tej organizacji szukają nowych form współpracy z komunistami. Jako zasadę ogólnie obowiązującą we wszelkiej współpracy z komunistami należy przyjąć kapitulację. Treścią aktu kapitulacji jest uznanie przywódczej roli partii komunistycznej w danym państwie. Uznanie przywódczej roli komunistów jest równoznaczne z akceptacją systemu „dyktatury proletariatu” oraz monopolu ideologicznego.

PAX uznaje również przywódczą rolę partii komunistycznej. Ale „obóz społecznie postępowy” — jak paxowcy zwykli oficjalnie się określać — dąży do kompromisu taktycznego. Paxowcy chcieliby być w ramach polskiego modelu równouprawnionym partnerem politycznym a nie kolaborantem.

Założenie fundamentalne „obozu społecznie postępowego” jest w równej mierze proste jak i absurdalne: trzeba uczynić komunizm strawnym dla katolików, a katolicyzm strawnym dla komunistów. W wyniku powstałby „katolicki komunizm” oderwany od Rzymu. Na reformację — podobnie jak na rewolucję, nigdy nie jest za późno. I niewątpliwie tu należy szukać przyczyny dlaczego „rewizjonizm” paxowski nie spotkał się nigdy z potępieniem ze strony Moskwy.

Reformacja katolicyzmu byłaby tylko wówczas możliwa, gdyby poprzedzona została reformacją polskiego modelu komunistycznego. Piasecki zapewnia jednak pospiesznie, że proponowana „reformacja” komunizmu mieściłaby się bez reszty w ramach „polskiej drogi do socjalizmu”. Natomiast nie ulega wątpliwości, że „postępowa” reformacja katolicyzmu nie mieściłaby się w ramach Rzymskiego Kościoła. I to jest atrakcyjny punkt tej sprawy w oczach Moskwy.

W wewnętrznych i poufnych „Wytycznych Ideologicznych” opracowanych w bieżącym roku, które otrzymaliśmy z kraju, czytamy m.in.:

„Młody obóz komunistyczny uznał jedynie materializm za światopogląd naukowy i w trosce o jedność swych szeregów ogłosił zaasadę wyłączenia materializmu jako światopoglądu dla mas wyzwalających się z ucisku klasowego. Nie wszystko jednak co jest historycznie przekonania ruchu społecznie to samo trwale obowiązujące. Obecnie według przekonania ruchu społecznie postępowego monizm światopoglądowy obozu socjalizmu przestał być narzędem jego jedności, a stać się może powodem zwężania jego dynamiki rozwojowej.”

Można by w tym miejscu postawić pytanie dlaczego paxowcy sami nie powołają do życia ruchu socjalistycznego. Można by również zauważyć, że monizm ideologiczny obowiązuje nie tyle socjalistów ile komunistów. Paxowcy chcą być partnerem i sojusznikiem nie socjalistów lecz komunistów. Komuniści — jak wiadomo — nie uważają za socjalistów zwolenników poglądu niematerialistycznego. Na to by paxowcy mogli być uznani za „socjalistycznego partnera” przez komunistów — polski komunizm musiałby odstąpić od monizmu światopoglądowego. Innymi słowy, polski model musiałby w pełni tolerować i uznawać zarówno komunistów marksistów jak i „komunistów” niematerialistów. W dokumentach paxowskich powyższy problem jest jasno przedstawiony:

„Obiektywne rozeznanie rzeczywistości społeczno-politycznej w rozumieniu ruchu społecznie postępowego — nakazuje w oparciu o doświadczenie historyczne Polski Ludowej, teoretyczne i faktyczne uznanie wpływu na bieg rzeczy w kraju sił socjalistycznych o światopoglądzie niematerialistycznym. Inaczej następuje poważne zwężenie zakresu rzeczywistej aktywności socjalistycznej społeczności i partia nie jest w stanie budować socjalizmu utrzymując pełną więź z narodem.

Ruch społecznie postępowy jest skryzalizowany ideologicznie, doświadczony w pracy i ostrej walce socjalistycznym sojusznikiem partii. Sytuacja ruchu społecznie postępowego, jako sojusznika partii jest jednak dotychczas tylko faktyczna i nie znalazła dotąd dostatecznego wyrazu ani w teoretycznej wypowiedzi partii, ani w praktyce oficjalnego życia politycznego w skali państwowej. W oparciu o potrzeby mas budujących socjalizm, ruch społecznie postępowy będzie konsekwentnie dążył do osiągnięcia pełnoprawnej pozycji sojusznika partii klasy robotniczej, będzie dążył do wykonania wszystkich obowiązków wynikających z tej pozycji: i wszystkich związanych z nią uprawnień. Ruch społecznie postępowy jest przekonany, że jego oficjalna rola w życiu państwowym Polski Ludowej będzie obiektywnym wyrazem narodowej odrębności warunków budowy socjalizmu w naszym kraju.”

Paxowcy nie domagają się liberalizacji — są jak najdalej od ewolucji w kierunku socjalizmu demokratycznego — akceptują „dyktaturę proletariatu” i wszystkie związane z nią konsekwencje ustrojowe — a domagają się jedynie taktycznej zmiany w polityce ideologicznej partii — co w ich przekonaniu umożliwi-

łoby czynne zaangażowanie mas katolickich w procesie skomunizowania Polski.

Postulaty PAX'u są absurdalne zarówno z punktu widzenia komunistycznego jak i z punktu widzenia katolickiego. W układni komunistycznej socjaldemokracji nie są socjalistami. By partia komunistyczna mogła uznać ruch paxowski za „socjalistycznego sojusznika i partnera” — musiałaby dopuścić możliwość istnienia ruchu komunistycznego odrzucającego poglądy materialistyczne. Partia w żadnym wypadku nie może uznać za swego sojusznika socjalistów demokratycznych. Z tekstu paxowskich dokumentów wynika jasno, że różnica między ruchem „społecznie postępowym” a partią komunistyczną dotyczy wyłącznie poglądu filozoficznego. Zarówno z wypowiedzi samego Piaseckiego, jak i z tekstu dokumentów jest jasne, że PAX jest przeciwnikiem autentycznego rewizjonizmu. W okresie październikowym paxowcy zajmowali stanowisko stalinowsko-natolińskie. Analogiczne stanowisko zajmują i dzisiaj.

Obrońcy PAX'u twierdzą, że jest to najbardziej śmiała i rozsądna w naszych warunkach polityka akomodacji. Zwolennicy Piaseckiego argumentują, że postulaty PAX'u zmierzają de facto do „odpoganizowania” komunizmu a tym samym wskazują jedyną drogę do harmonijnego i twórczego współżycia socjalizmu (komunizmu) z katolicyzmem.

Nie podzielamy tych opinii. Jeżeli założymy, że postulaty PAX'u zostałyby zrealizowane — oznaczałoby to, że partia komunistyczna w Polsce — ze względów taktycznych — uznałaby za „socjalistycznego” sojusznika paxowski ruch „społecznie postępowy”. Tak jak w sprawie ustroju rolnego odstąpiono częściowo ze względów taktycznych od klasycznych wskazań marksizmu-leninizmu — tak i w tej sprawie biorąc pod uwagę specjalne warunki — uznano by taktycznie i czasowo za sojusznika ruch paxowski. Niewątpliwie polska partia komunistyczna różniłaby się wówczas od innych partii komunistycznych tym — że dopuszczałaby na swoim terenie istnienie ruchu komunistycznego niemarksistowskiego. Ale w tym wypadku nie chodzi ani o prawdziwą reformę ani o prawdziwy rewizjonizm. Rewizjoniści zarówno w Polsce jak i w Niemczech dążyli do reformy marksizmu jako ideologicznej bazy światowego komunizmu. Nie domagali się dla siebie statusu uznawanej przez partię sekty lecz planami reformy obejmowali całość teorii i praktyki doktryny komunistycznej.

Paxowcy nie dążą do reformy doktryny światowego komunizmu. Przeciwnie, reprezentują w tej sprawie najbardziej konserwatywny kierunek. Ruch „społecznie postępowy” jest z zasady przeciwny wszelkiemu liberalizmowi, ponieważ każdy krok ku demokracji obniżałby wartość PAX'u jako sojusznika i partnera. W warunkach demokracji problem PAX'u przestałby w ogóle istnieć.

Paxowcy nie tylko proponują ale i grożą. W cytowanych „Wytocznych” czytamy między innymi:

„Dlatego, dla rzeczywistej reprezentatywności ogólnonarodowego aktywu budującego socjalizm, pod kierownictwem partii klasy robotniczej, niezbędna jest politycznie zorganizowana droga dopływu aktywistów reprezentujących szerokie w Polsce zjawisko obywateli u których rozwój świadomości socjalistycznej nie spowoduje wyzbycia się światopoglądu niematerialistycznego. W tych warunkach ruch społecznie postępowy dając wyraz patriotycznym i postępowym potrzebom społeczeństwa stwierdza jasno, że partia klasy robotniczej nie może zbudować socjalizmu w Polsce bez sojusznicznych sił socjalistycznych o światopoglądzie niematerialistycznym”.

Jak widzimy Piasecki mówi wyraźnie pod adresem partii: Będziecie musieli uznać mnie za pełno-prawnego sojusznika i partnera albowiem w przeciwnym wypadku nie skomunizujecie Polski.

Jeszcze raz należy podkreślić z naciskiem moment, który w tej sprawie jest najistotniejszy. PAX nie dąży do ewolucyjnej przebudowy komunizmu. Domaga się natomiast od polskiej partii komunistycznej by uznała „ruch społecznie postępowy” za politycznego partnera. Gdyby partia uwzględniła postulaty Piaseckiego — to polski model wzbogaciłby się niewątpliwie o absurdalny dziwolak, ale w świecie komunistycznym nie zmieniłoby się absolutnie nic. Uznanie PAX'u za partnera nie oznaczałoby, że komunizm światowy odstąpił na żądanie Piaseckiego od zasady monizmu ideologicznego. Komunizm pozostałby nadal antyreligijny i materialistyczny. Natomiast Piasecki zyskałby taktyczny argument, że w ramach polskiego modelu jest rzeczą możliwą być katolikiem i komunistą równocześnie. Wystarczy po prostu zaciągnąć się pod sztandary PAX'u.

Osobiście uważam niemal za wykluczone by Gomułka spełnił kiedykolwiek polityczne żądania PAX'u. Byłaby to bezprzykładna kompromitacja, którą przełknąć mogłyby tylko Komitet Centralny opanowany przez natolińczyków gotowych spełnić każde polecenie Moskwy. Gdyby kiedyś Kreml zdecydował się zagrać kartę paxowską oznaczałoby to przyznanie się do kompletnego bankructwa. Oznaczałoby to, że komunizm w Polsce budować trzeba rękami komunistów, którzy nie są komunistami i rękami katolików, którzy nie są katolikami.

Paxowcy i ich sympatycy usiłują problematykę swojego ruchu przedstawić jako praktyczną próbę rozwiązania konfliktu między religią a postępem.

Jeżeli przez „postęp” rozumieć będziemy komunizm a przez religię rzymski katolicyzm — to trzeba obiektywnie stwierdzić, iż pomiędzy tymi dwoma poglądami istnieje konflikt antagonistyczny. Ale trzeba dodać, że katolicyzm nie jest w tej sytuacji odosobniony. Istnieje bowiem konflikt antagonistyczny pomiędzy komunizmem a wszystkim co komunizmem nie jest. Dotyczy to wszystkich religii — wszystkich niematerialistycznych kierunków filozoficznych — wszystkich doktryn i teorii naukowych nie opartych o dogmaty marksizmu. Katolicyzm nie stanowi w tym frontie konfliktów fenomenu odosobnionego.

Do czego zmierza próba „zabrukowania” konfliktu pomiędzy religią a „postępem” proponowana przez paxowców? Ruch „społecznie postępowy” byłby komunistyczną partią odrzucającą monizm ideologiczny. Celem ruchu byłaby sojusznicza współpraca z partią komunistyczną w budowie ustroju komunistycznego w Polsce. Innymi słowy współpraca w utwierdzaniu owego monizmu ideologicznego, który PAX odrzuca. Dla katolików „postęp” sprowadzałby się w tym wypadku do przywilejów wzięcia udziału, w charakterze uznanych partnerów, w akcji zmierzającej w swych ostatecznych celach do likwidacji wszelkich przejawów życia religijnego. Marksistowskie sojusznicy PAX’u nigdy tego nie taili i dopóki będą marksistami nigdy od tych tez nie odstąpią.

Można sobie wyobrazić dwie partie socjalistyczne — jedną chrześcijańską, drugą laicką — biorące udział w rządzie koalicyjnym. Ale tego typu współpraca byłaby możliwa tylko w ramach ustroju demokratycznego. Natomiast w systemie „dyktatury proletariatu” każdy ruch czy organizacja społeczno-polityczna pełni funkcję służebną w stosunku do partii rządzącej, tj. komunistów. Organizacja której taki układ nie odpowiada zostaje zlikwidowana i zakazana. Polityczny sojusz z komunistami — czy to w Chinach czy w Polsce, czy gdziekolwiek partia znajduje się przy władzy — możliwy jest tylko i wyłącznie za cenę kapitulacji. Wynika to z istoty systemu „dyktatury proletariatu”, której podstawą i uzasadnieniem jest monizm ideologiczny.

W ramach państwa komunistycznego nie może być mowy o sojuszu pomiędzy jakimkolwiek autentycznym ruchem religijnym a partią komunistyczną. Możliwa natomiast jest koegzystencja i współpraca na określonych polach na podstawie jasno i wyraźnie sprecyzowanego porozumienia. Ale od współpracy na ściśle określonych polach do sojuszu i totalnego zaangażowania jest droga bardzo daleka.

Katolicy mają prawo domagać się od władz swego Kościoła by nie stawiał przeszkód w angażowaniu się ludzi wierzących, po stronie postępu i socjalizmu. Z drugiej jednak strony, nikt nie może oczekiwać od Kościoła poparcia dla programu, który zmierza do budowy nie tylko bezklasowego ale i bezwyznaniowego społeczeństwa. Nikomu nie można proponować, by był swoim własnym grabarzem. Tylko socjalizm demokratyczny, głoszący zasadę tolerancji i wielopoglądowości filozoficznej — socjalizm bez pretensji do „dyktatury proletariatu” — miałby możliwość zjednoczenia dla sprawy postępu tak ludzi wierzących jak niewierzących.

Dla kogoś spoza „zaczarowanego kręgu” — dla kogoś przebywającego od 20 lat poza Krajem — z każdym dniem staje się coraz bardziej oczywiste, że PAX jest albo tworem agentury albo patologicznym przejawem socjalnej neurozy. Jeżeli PAX nie jest tworem agenturalnym to przyszli historycy zaliczą go do chorobliwych wynaturzeń spotykanych w tzw. środowiskach zamkniętych. W łagrach, w obozach koncentracyjnych, w obozach jenieckich itp. — w wyniku zagrożenia, izolacji i długotrwa-

tego anormalnego układu sytuacji zbiorowej — notowano powstawanie szeregu absurdalnych sekt, stowarzyszeń, sprzysiężeń, związków ideologicznych itp. Zakładając, że PAX nie jest agenturą sowiecką — należałoby przyjąć, że jest patologiczną próbą rozwiązania nierozwiązalnego konfliktu. Ponieważ zdrowe i normalne rozwiązanie nie jest możliwe — neuroza wywołana znużeniem i kompleksem „sytuacji bez wyjścia” podsuwa rozwiązanie chore i bez sensu. PAX nie jest pierwszy z tej serii. „Polska Chrystusem Narodów”, liczne warianty wallenrodyzmu — to wszystko były przejawy neuroz wywołanych kompleksem „sytuacji bez wyjścia”.

Jeżeli podkreślałem agenturalny charakter paxowskiej organizacji — to nie opierałem się na bezpośrednich dowodach, które jeżeli nawet istnieją są oczywiście niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Opierałem się na analizie, z której wynika raczej bezspornie — że PAX jest w zgodzie z sensem i z logiką tylko jeżeli rozpatrywać go pod kątem widzenia interesów Moskwy. Wówczas przestaje być anomalią i przemienia się w niepozbowiony wyobraźni instrument politycznego działania.

Katolicyzmowi nie rozbijają komuniści. Rozczłonkowanie katolicyzmu na zwalczające się obozy może być dokonane tylko rękami katolików. PAX jako kolumna dywersyjna wewnątrz polskiego świata katolickiego musi skupiać na sobie zyczliwą uwagę Moskwy. Dylemat PAX’u sprowadza się w gruncie rzeczy do następującej kwestii: Fakt, że postulaty paxowskie są nie do pogodzenia z marksizmem — Moskwa w pewnym momencie ocenić może za mniej istotny od faktu, że postulaty i ideologia PAX’u są również nie do pogodzenia z katolicyzmem. Gdyby na pewnym etapie „polskiej drogi do socjalizmu” komuniści zostali zmuszeni do uznania paxowców za niematerialistycznych „towarzyszy-socjalistów” — perspektywy rozłamu w obozie katolickim wyrównywałyby w ocenie Moskwy z nawiązką utratę twarzy i tak skompromitowanych polskich komunistów. Oznaczałoby to, że Rosja ocenia iż „Gomułkizm” jest eksperymentem chybionym. Oznaczałoby to również, że Moskwa doszła do przekonania, iż nad Wisłą trzeba zacząć od podstaw a więc od rozbicia zachodniego fundamentu kulturalnego Polski, którym jest niewątpliwie rzymskie chrześcijaństwo.

Juliusz MIEROSZEWSKI



## Józef Lipski

Okragły; różowy; pulchny; już łysy; prawie zawsze w czarnej marynarce i sztuczkowych spodniach — takim go pamiętam już lat temu trzydzieści na korytarzach starego pałacu Bruehlowskiego. Daleko mu było wówczas do czterdziestki — a nie robił wrażenia młodzika, nawet młodego: był zawsze człowiekiem dojrzałym. Zadarty nos, akcent poznański, postać już wówczas jakby z lekka zgarbiona, sposób bycia nieco sztywny: tylko oczy dziwnie blade, bez wyrazu, ale badawcze, przenikliwe, zdradzały wybitną inteligencję. Kariera Lipskiego — *si licet parva...* — przypominała w miniaturze karierę Eugeniusza Pacelliego: ta sama łatwość, ten sam jakby automatyzm, ten sam brak pozorowego wysiłku, który idzie w parze z dobrym urodzeniem, wielkimi zdolnościami i ogromną pracowitością. Na korytarzach Wierzbowej wielu urzędników jakby się ciągle z niepokojem rozglądało za możliwościami protekcji: Lipski jakby jej nigdy nie potrzebował. Inni się puszyli: Lipski robił zawsze wrażenie naturalne. Był to idealny urzędnik. Znał *dossiers*, znał sprawy. Pamiętał wszystko. Nigdy nie zwał na podwładnych tego, co mógł sam załatwić: sam pisał noty, memoriały, sprawozdania. Wszystko przychodziło mu bez trudności: władał wybornie francuskim, niemieckim, angielskim, znajomość języków podpierał bezbłędnym akcentem; miał takt wrodzony, miał łatwość w obejściu z ludźmi; umiał utrzymać dystans, nie będąc napuszonym; umiał unikać poufalości, nie będąc aroganckim; umiał się przypodobać wielkim i możnym, nie wpadając w brak godności czy pochlebstwo. Urodził się w czepku; i było mu z tym do twarzy.

Kariera Lipskiego, która, nie tylko jak na Polskę, ale jak i na każde państwo zachodnie, była bardzo szybka i bardzo wielka, jest ilustracją granic, które natura wyznacza roli i znaczeniu zawodowych dyplomatów. Właśnie na przykładzie Lipskiego uwidatnia się ta przepaść, która dzieli — i dzielić powinna — najwybitniejszego nawet ambasadora od najśłabszego choćby ministra spraw zagranicznych, względnie szefa rządu. Nie rozumiejąc tej fundamentalnej różnicy, stronnictwa nasze przed majem, a koterie sanacyjne po maju, kłóciły się i walczyły już nie tylko o stanowiska ambasadorów, ale również o posady radców, attaché wojskowych, konsulów czy sekretarzy, jakby te mogły mieć jakiegokolwiek, choćby najskromniejsze znaczenie. Minister, względnie premier, ustala politykę: zadaniem dyplomatów jest tę politykę wykonywać możliwie zgrabnie, możliwie wiernie: ambasador, który prowadzi „swoją” politykę, który wykracza poza instrukcje, jest tylko niełojalny wobec swego rządu: szkodzi również krajowi, przy którym jest akredytowany. Jeżeli prze-

strzeżać, musi to robić dyskretnie; jeżeli ma sympatie, musi na nie nałożyć tłumik; jeżeli ma urazy, musi o nich zapomnieć. Stosunki polsko-niemieckie zależały w 90% od Hitlera i Niemców, w 10% od Polski i Piłsudskiego naprzód, od Becka później; ale właśnie od Becka, wcale nie od Lipskiego. Wielu ludzi miało mu za złe, że na placówce berlińskiej był tylko wykonawcą instrukcji: osobiście sędzę, że taki właśnie był jego obowiązek, że gdyby postępował inaczej doprowadziłby do tego, że już cienia polityki polskiej nie byłoby i wszystko byłoby przegrane zanim by w ogóle doszło do choćby tylko dyplomatycznej rozgrywki. Taktowi Lipskiego można przypisać, że w okresie względnie poprawnych stosunków między Berlinem a Warszawą, cały szereg drugorzędnych spraw, takich, jak opłaty za tranzyt niemiecki przez korytarz, czy jakieś gdańskie zatargi, czy spory o sekwestr Wspólnoty Interesów na Śląsku, czy wycofanie się Niemiec z finansowania terrorystów ukraińskich zostało załatwionych dość gładko, na pewno gładziej, niż gdyby siedział w Berlinie człowiek mniej doświadczony, mniej zgrabny, korzystający z mniejszego osobistego kredytu. Ale było zawsze i od początku niemożliwe, by Polska mogła wpłynąć na politykę Hitlera: przecież i Anglii to się nie udało, a nawet o ileż bardziej od Anglików przebiegłemu Stalinowi udało się to zaledwie na dwa lata.

Lipskiemu nie można zarzucać, że nie wpłynął na bieg historii: zarzut taki byłby bez sensu. Można się tylko zastanawiać, czy sam orientował się w niebezpieczeństwie, które reprezentował sam Hitler, pomijając niebezpieczeństwo, wynikające z niewspółmierności sił między Polską a Niemcami. Można dalej zadawać sobie pytanie, czy Lipski dostatecznie wcześniej, dostatecznie stanowczo przestrzegał Becka przed zdradliwym i patologicznym charakterem Hitlera, czy dostatecznie jasno mu uprzytomnił, że Hitler nie widzi w nim partnera, lecz tylko ewentualnego wasala.

Lipski nie był „człowiekiem” Becka, tak jak później nie był „człowiekiem” Sikorskiego: miał naturalne reakcje urzędnika, który stara się być wobec każdorazowego szefa lojalny, oddany nawet, a w każdym razie pragnie dostrajać się do jego myśli, do jego poglądów. Znowuż są to rzeczy elementarne. Jedno: myślność, brak opozycji, brak krytyki — są zgubne; ale tej opozycji nie mają uprawiać ambasady czy naczelnicy wydziałów — od tego jest prasa, od tego są parlamentarzyści, od tego jest opinia. W tej dziwacznej Polsce sanacyjnej, każdy głos niezależny był tłumiony, często artykuł krytyczny wobec Becka był konfiskowany, a jego autor stawał się przedmiotem szykan, ale na intrygi wewnątrz służby zagranicznej patrzano przez palce. Za zasługę należy poczytywać Lipskiemu, że od wszelkiego intryganctwa trzymał się z dala. Biurokracja nie powinna być wszechmocna, nie powinna mieć głosu decydującego, powinna podlegać krytyce, choćby nawet brutalnej, ale powinna mieć zapewnioną trwałość posad, niezależnie od zmian ministrów i reżymów, po-

winna być apartyjna, apolityczna. Lipski te zalety w wielkiej mierze posiadał.

Lipski nie był germanofilem. Przeciwnie, jego poznańskie pochodzenie usposabiało go podejrzliwie wobec Niemców. W gruncie rzeczy, jak całe nasze społeczeństwo, jak cały przedwojenny MSZ, chciał on znaleźć na Zachodzie, przede wszystkim we Francji oparcie, które by nam pozwoliło uniknąć związania się czy to z Niemcami, czy z Rosją. Te dwie ostatnie ewentualności, pociągały za sobą konieczność ustępstw i strat tak wielkich, że naród polski się od obu odwracał; odwracał się od nich dalej w czasie wojny; odwraca się od nich i dzisiaj. Lipski ulegał tym nastrojom. Też wierzył, jak zresztą i Zaleski, i Stroński, i Rataj, i Niedziałkowski, że może jakoś uda się od wyboru wymigać, że może uda się z rosyjsko-niemieckiej pułapki, stworzonej przez geografę, wysliznąć. O tyle był trzeźwiejszy od wielu innych, że rozumiał, iż w tej sytuacji trzeba unikać zaostreżenia przeciwieństw z sąsiadami, że, przeciwnie, trzeba starać się o możliwie poprawne z nimi stosunki. Rezygnował z wielkich ambicji i planów, które roili sobie liczni jego koledzy i przełożeni; ale nic nie wskazuje, by był gotów na poważne ustępstwa dla trwałego wyrównania stosunków z Niemcami. Jak wszyscy przeceniał możliwości mocarstw zachodnich kształtowania rzeczywistości w Środkowej Europie; i mógł być powiedzieć na swoją obronę, że łatwo być mądrym po fakcie. A' zresztą, czy teraz, już nie po jednym fakcie, ale po setkach faktów, które jednako wykazują, iż Polska, iż Środkowa Europa w ogóle nie mogą liczyć na Zachód, tak bardzo zmądrzeliśmy? Czy mało jest dzisiaj wśród nas publicystów, polityków i działaczy, którzy oddają się tym samym mirażom, tym samym iluzjom, tym samym złudzeniom, które stały u źródeł tragicznych decyzji Becka, co gorsza tragicznych decyzji narodu polskiego?

Lipski rozumiał, że obowiązkiem ambasadora jest pracować nad polepszeniem a nie zaostreżaniem stosunków z krajem, przy którym jest akredytowany. Truizm, *l'enfance de l'art*, ale przez iluż polskich dyplomatów zapoznawany! Porównajmy Lipskiego z Łukasiewiczem. Ten ostatni szczerze nienawidził i Rosji i Francji, widział w Rosji śmiertelnego i wiecznego wroga, w czym może i miał rację; widział we Francji złośliwą staruchę, która Polskę stale „zdradza” i chce z niej zrobić protektorat francuski: miał niestety rację, jeżeli chodziło o słabość Francji, mylił się katastrofalnie, jeżeli chodziło o ocenę sił Polski. Jeżeli się podzielało jego poglądy, można było Łukasiewicza zrobić ministrem spraw zagranicznych, choć jestem przekonany, że byłby gorszym sternikiem naszej polityki od Becka, jeszcze bardziej kanciastym, jeszcze bardziej nieostrożnym w stosunku do Czech, jeszcze bardziej oderwanym od rzeczywistości. Ale zrobienie go ambasadorem, i to akurat w Moskwie, a potem w Paryżu, było tragicznym błędem. Swoją agresywnością Łukasiewicz stworzył wrażenie naprzód u Rosjan, potem u Francuzów, że mamy jakiś tajny traktat z Hitlerem, bo inaczej nie umiano sobie wytłumaczyć

ani w Paryżu, ani w Moskwie, że Polska pozwala sobie na tak daleko posuniętą dezinwolturę, na tak ryzykowną politykę. W rzeczywistości, jak dzisiaj wszyscy wiemy, pakt Piłsudski-Hitler był tylko bardzo typowym *tour de valse*, w ujęciu polskim — staromodnym traktatem reasekuracyjnym, w ujęciu Hitlera — posunięciem taktycznym. Obie strony nie chciały i nie mogły zrobić żadnych poważnych kroków w kierunku przymierza, czy choćby porozumienia wykraczającego poza kancelarie dyplomatyczne; z odmiennych względów obie strony były do tego niezdolne: Hitler, bo nigdy nie nadawał się do jakiegokolwiek współpracy, Piłsudski, a później Beck, bo mieli refleksy strony słabej, zawierającej spółkę z partnerem silniejszym i ciągle drżącej, że ją wspólnik wykiwa. Tu można by Lipskiego krytykować: on sam był do tego stopnie *un homme de chancellerie*, że nie dostrzegał całej błahości tych mostów i tych nitek; przypisywał zbyt wielkie znaczenie swoim własnym rozmowom, zaproszeniom, kontaktom, uprzejmościom, duserom. Lipski nie zdawał sobie dość jasno sprawy, że te oficjalności mogły starczyć w XIX wieku (choć i wówczas skończyły się tragedią Wielkiej Wojny); nie rozumiał, że w wieku XX-ym narody muszą się porozumieć, nie tylko ich rządy. Ależ iluż dyplomatów jeszcze dzisiaj tego nie rozumie, wciąż tkwi w pojęciach i gestach zeszłego stulecia? O Lipskim można powtórzyć: *il avait les défauts de ses qualités*. Wyborny urzędnik dyplomatyczny, miał zawodowe deformacje: był człowiekiem gabinetu, nie trybuny, równowagi, nie ryzyka, rozsądku, nie wizji. Lipski był człowiekiem idealnym dla utrzymania POPRAWNYCH stosunków; wytrzymał doskonale, z brawurą, najgorsze naciski; ale nie był to człowiek na miarę tego, co było konieczne, co Polska mieć by musiała, gdyby się zdecydowała (i gdyby zachodziła po temu obiektywna możliwość) rozładować sekularny konflikt polsko-niemiecki, tak jak to dzisiaj robi Adenauer w stosunku do Francji.

Czy Lipski orientował się w potwornym charakterze Hitlera, w jego szatańskiej przewrotności? Myślę, że nie. Intuicja nie była jego fortą: konformistyczny z natury, *bien pensant*, skłonny do optymizmu, do uważania ludzi za gentlemenów, pozbawiony wyobraźni, nie zdawał sobie sprawy, z jakim potworem ma do czynienia. Nawet co do mniejszych, mniej skomplikowanych ludzi Lipski nieraz się mylił: pamiętam, jak już w Londynie, w czasie wojny, mówił mi parokrotnie, że dużo wolał Coulondres'a od François-Poncet'a, że z Coulondres'em miał dużo lepsze „stosunki”, chwalił jego dyskrecję, przeciwstawiając ją gadulstwu Poncet'a. Poncet nie był Talleyrand'em, ale to klasa, wspinały pisarz, człowiek z gruntu przyzwoity, choć z pewnymi śmiesznościami; tymczasem pamiętniki Coulondres'a są nieopisanym skandalem, są jedną z rzadkich, naprawdę antypolskich publikacji, które wyszły spod pióra Francuza; są pełne naiwności i wulgarnych pod naszym adresem napaści; są przede wszystkim pomnikiem zupełnego zamroczenia na punkcie Sowietów: Coulondres wywodzi, że dobre Sowiety chciały się z Francją

związać, chciały jej bronić przed Hitlerem, a tylko Polska temu zbawiennemu sojuszowi przeszkodziła. I te banialuki wypisywał ambasador, który w czasie swej paroletniej misji w Moskwie ani razu nie był przyjęty przez Stalina, który nawet nie znał ani Berii, ani Mołotowa, i jako główne źródło swych informacji cytuje inspiracje jakiegoś łapsa z NKWD.

Podobnie jak prawie cały MSZ, Lipski się zasugestionował teorią, że Hitler jest dla Polski znacznie mniej niebezpieczny od pruskich generałów: upatrywał w nim Austriaka, wolnego od przesądów antypolskich. Na niebezpieczeństwa faszyzmu był mało wrażliwy: nacjonalizm do wojny uchodził za rzecz dość niewinną — tak jak dzisiaj wielu ludzi twierdzi, że bomba atomowa i wodorowa jest tylko niewinną odmianą „artylerii”. Ale Lipski doskonale wyczuwał każdy niuans w oficjalnych rozmowach: i gdy po Monachium, w końcu października czy listopada 1938 roku Ribbentrop po raz pierwszy wspomniął mu o konieczności „ostatecznego” załatwienia sprawy Gdańska i o „autostradzie” przez korytarz, Lipski od razu zaalarmował Becka: sprawa jest poważna, z punktu podkreślił — ton Niemiec wobec nas diametralnie się zmienił. Beck łudził się dłużej. I być może Lipski też się łudził, że Hitler reprezentuje inną linię, niż Ribbentrop, że Göring ma jakieś wpływy. Nie zdawał on sobie sprawy, że poza Hitlerem w Trzeciej Rzeszy nie było w ogóle nikogo.

Lipski na pewno, tak jak całe nasze społeczeństwo, przeceniał nasze siły wojskowe. *Der Wunsch is der Vater des Gedankens*. Znowuż na naszych losach odbiła się najfatalniej mania tajemnicy wojskowej. Pocięliśmy się wówczas nadzieją, że „sfery wtajemniczone”, „sfery miarodajne” wiedzą coś więcej, niż tłum szarych ludzi. Nic nie wiedzieli. Nie tylko Lipski nic nie wiedział: także dla Becka, który ciągle wyjeżdżał ze swą wiedzą wojskową, ze swymi pułkownikowskimi gwiazdkami, klęska polska była zupełną siurprizą. W Kutach miał on powiedzieć: „Zachowywałem się, jakbym miał sto dywizji, a miałem g....”. Lipski też by zapewne inaczej zachowywał się w Berlinie, gdyby zdawał sobie sprawę z beznadziejności naszego wojskowego położenia.

Nie ukrywam więc niedociągnięć Lipskiego. A jednak na tle naszego personelu dyplomatycznego, jakżeż wybitny był to człowiek! Pracowity, sumienny, wyrobiony, wytrawny. Jakżeż żyć należało Polsce, by takich Lipskich miała jak najwięcej.

Po świetnej karierze, po latach, gdy rzeczywiście odgrywał aktywną i pierwszoplanową rolę na arenie wielkiego świata, przyszedł długi zmierzch, który trwał lat prawie dwadzieścia: Ani w Rubensie przy boku Sikorskiego czy Sosnkowskiego, ani później, jako przedstawiciel nieistniejących władz polskich w

Waszyngtonie, nie mógł on już nic zdziałać, choć zapalem, oddaniem sprawie; czujnością, wreszcie nienaganną szlachetnością własnej postawy zasłużył sobie na nasze i świata uznanie. Dla niego, który był kiedyś prawdziwym aktorem, ten teatr cieniów musiał być szczególnie męczący, przykry: że wytrwał wśród tylu upokorzeń, wśród tylu trosk, wśród obojętności, czy niechęci, która jest nowoczesną formą *vae victis*, tylko dodaje mu zasługi i blasku. W Lipskim do końca coś się paliło. Do końca zasługiwał na nasz szacunek, na naszą przyjaźń, na nasze zaufanie. Ceniliśmy w nim nie tylko *a great civil servant*, jak mówią Anglicy, czy *un grand commis*, jak mówią Francuzi: ceniliśmy w nim również człowieka dobrego, prawego, człowieka, który nam wszystkim przynosił zaszczyt. Jak my wszyscy umrzemy, tak i on umarł z dala od kraju, od ziem rodzinnych, z żalem i goryczą w sercu. Długa noc smutków i zawodów czarnym całunem osłoniła jego ostatnie lata, niepokój, troska towarzyszyły mu niezmiennie do zgonu. I choć znałem go tak mało, chciałbym uczcić jego grób ubogi, wygnańczy, wkrótce zapomniany: niech mi więc wolno będzie, zamiast kwiatów, złożyć na nim piękny werset z Baudelaire'a:

*Car c'est vraiment, Seigneur, le meilleur témoignage  
Que nous puissions donner de notre dignité  
Que cet ardent sanglot qui roule d'âge en âge  
Et vient mourir au bord de Votre Eternité.*

W. A. ZBYSZEWSKI

## Kronika angielska

### LIST (2) DO LUDMIŁY

Gdy przed kilku dniami usłyszałem w radio, że Pasternakowi przyznano nagrodę Nobla — wiadomość ta skojarzyła mi się natychmiast z Tobą. Nie oznacza to bym Cię uważał za kandydatkę do nagrody Nobla. Jeszcze nie, Ludmiłko! Ale słysząc o Pasternaku automatycznie zadałem sobie pytanie: jaki wpływ przyznanie tej nagrody wywrze na sytuację pisarzy w Kraju? Tak to już jest. Gdyby jutro nadeszła wiadomość, że Marsjanie wyładowali na Kamczatce — w tej samej sekundzie każdy z nas pomyślałby: no dobrze, a co z Gomulką?

Powiem Ci szczerze, że nagrodę Pasternaka przyjąłem jako złą wiadomość. Pomijam fakt, że ci pechowcy, którzy tłumaczą jego książki w

Kraju — będą teraz mogli swoje przekłady schować spokojnie do szuflady a z honorariami pożegnać się na zawsze. Sprawa Pasternaka spowoduje zaostrenie kursu w stosunku do pisarzy w całej Europie wschodniej.

Było również dla mnie oczywiste, że Pasternak nie będzie mógł przyjąć ofiarowanej mu nagrody. Pisarze na Zachodzie nie rozumieją sytuacji swych kolegów po tamtej stronie. Partia dysponuje takim zespołem środków nacisku, że swoboda indywidualnego wyboru zredukowana jest do zera. Wydalenie ze związku zawodowego, utrata mieszkania, utrata honorariów autorskich — cywilna śmierć w zapomnieniu na jakiejś posiadce, 2000 mil od Moskwy. Co komu z nagrody Nobla za taką cenę?

Sprawa Pasternaka stawia również kropkę nad „i” w naszej dyskusji o „wybieraniu wolności” przez pisarzy. Pamiętasz mój artykuł napisany bezpośrednio po zjawieniu się Hłaski w Paryżu? Okrzyczano mnie za zdrajcę, ponieważ doradzałem pisarzom, by skonfiskowane przez cenzurę książki wydawali zagranicą. Nawet Hłasko, nim zmuszono go do przyjęcia papierów emigracyjnych, deklamował z patosem, że pisarz bez ojczyzny jest niczym. A jeżeli we własnej ojczyźnie jest niczym — to wtedy co?

Może to w twoich krakowskich uszach zabrzmia heretycko, ale nie wiem czy ojczyzna stanowić winna ostateczne określenie granic literaturze. Wydaje mi się, że prawdziwa literatura ma jeszcze inną lojalność wyższego rzędu w stosunku do zagadnień ogólnoludzkich. Czy wolno być patriotą kosztem zdrady ludzkości — czy pisarzowi wolno jest być bardziej Rosjaninem niż człowiekiem? Jeżeli pisarz nie może pogodzić swojej lojalności w stosunku do wartości ogólnoludzkich z nakazami patriotyzmu — gdzie ma wówczas iść?

Wówczas gdy patriotyzm jest sagą pokrzywdzonego narodu — jak u nas bywało — nie ma problemu. Jeżeli jednak patriotyzm jest imperiaлизmem i totalną doktryną — konflikt jest nieuchronny.

Sytuacja w pewnej mierze jest beznadziejna bo strategią zimnej wojny upolityczniliśmy wszystko. Dziś pisarz nie może wyjechać — tylko musi uciekać. Nie lądje jak w dziewiętnastym wieku — w wolnej Francji czy w wolnej Ameryce — tylko przechodzi do wrogiego obozu. Nie wybiera — jak dawniej — między więzieniem a wolnością, tylko między obozem państw socjalistycznych a obozem państw kapitalistycznych.

Nie ulega wątpliwości, że przyznanie nagrody Nobla autorowi „Doktora Żiwago” było w znacznym stopniu dyktowane motywami politycznymi. Uderzono w Rosjan ich własną bronią. Wszystkie nagrody stalinowskie przyznawane zachodnim pisarzom miały przecież wyłącznie polityczny charakter.

We wschodniej Europie zachwiana jest harmonia między patriotycznym zaangażowaniem pisarzy a ich humanizmem, uniwersalizmem, ludzkością. Weź dla przykładu innego laureata Nobla, Camusa. W czym jest on francuski? Jest francuski w tym, że poprzez med. um kultury i języka francuskiego wyrósł ponad francuskość. Jest francuski w tym, że jako pisarz jest czymś niepomiernie więcej niż Francuzem. Pasternak usiłował również być czymś więcej niż rosyjskim soc-realistycznym patriotą. Okrzyczano go zdrajcą, bo przekroczył granice zakreślone tabu narodowej imperialistycznej ideologii. Uniwersalna jest tylko sowiecka Rosja. Nie ma żadnego innego uniwersalizmu.

Los pisarzy rosyjskich w porównaniu z pisarzami francuskimi jest tragiczny. Camus jest wielki i europejski poprzez francuskość. Pisarz rosyjski może być europejski i humanistyczny tylko przeciw współczesnej rosyjskości.

Zdumiewającym widowiskiem jest związek pisarzy sowieckich, funkcjonujący jako państwowy trybunał inkwizycyjny. W konflikcie jednostka versus totalistyczna państwowa organizacja — związek wypowiedział się w całości po stronie totalistycznej organizacji. Nie ma dla Rosjanina zbawienia indywidualnego. Droga rosyjskiego zbawienia wiedzie poprzez ubóstwienie zbiorowości, której jedynym i nieomylnym wyrazicielem jest partia. Dramat Pasternaka sprowadza się do prostego, choć podstawowego błędu. Jako pisarz, Pasternak chciał być człowiekiem prywatnym. W ustroju komunistycznym można być anonimowym zerem lecz nigdy prywatnym pisarzem. Z listu jego skierowanego do Chruszczowa bije przerażenie. W Anglii czy we Francji pisarz może wystąpić z wszystkich związków, plunąć na wszystkie nagrody i akademie i zaszyć się na pustkowiu ze swoimi książkami i maszyną do pisania. Może prowadzić walkę samotnie, w swoim własnym imieniu i do samego końca... *stick to his gun*. To nigdy i nigdzie nie jest droga łatwa, ale na Zachodzie jeszcze ciągle można być samotnym i swoim własnym. W Rosji można być kimś tylko poprzez zbiorowość — bo tak zasługa jak i wina są określane kryteriami partyjno-państwowymi. Wyrzucenie poza nawias zorganizowanej zbiorowości jest równoznaczne z nicością. Wykłęty staje się orwellowską „no-person” w dosłownym tego słowa znaczeniu. Poza orbitą rosyjskiego kosmosu jest wroga pustynia, której Pasternak się przeraził. Co komu z wolności na pustyni?

Zgodny chór oskarżeń, w którym nie zabrakło i Szolochowa — upuklił z krystaliczną jasnością podstawowy fakt życia sowieckiego. Nie może być konfliktu między jednostką a zorganizowaną zbiorowością, którą symbolizuje partia. Nie może być ani w dziele literackim — („Nie samym chlebem” Dudincewa) — ani w realnym życiu — (sprawa Pasternaka). Nie może być konfliktu — może być tylko herezja i odstępstwo. Tak jak nie może być konfliktu pomiędzy katolikiem a rzymskim kościołem, bo każdy konflikt byłby herezją.

Jakże to wszystko jest dalekie i egzotyczne dla Krystyny, która po dziesięciu latach pobytu w Ameryce wyładowała tutaj jako świeżo upieczony B. A. Przyjechała odetchnąć Europą. Była w Paryżu, Brukseli, w Monachium a od trzech tygodni spaceruje po Londynie. Ze zrozumiałych względów patrzę z ogromnym zainteresowaniem na młode pokolenie emigracyjne i korzystam z każdej okazji, by pogłębić moją wiedzę w tej materii.

Ty od trzydziestu lat siedzisz kamieniem w Krakowie i wyda ci się dziwne gdy powiem, że problem młodego pokolenia emigracyjnego jest poniekąd funkcjonalnie związany z typem studiów. Sprawy te inaczej kształtują się w grupie młodzieży technicznej a inaczej wśród humanistów. W Kraju — polskość jest identycznym zagadnieniem tak dla młodego matematyka jak dla młodego historyka. Na emigracji nie.

Jest frazesem i truizmem podkreślać „międzynarodowość” fachu inżyniera, chemika czy matematyka. Ale dopiero na emigracji zdałem sobie sprawę na czym — w sensie socjologicznym — polega ów „internacjonalizm” techniki. Młody Polak kończący studia techniczne w Nowym Jorku

czy w Londynie może w całości zaadoptować technologiczno-naukową mentalność swojej uczelni. Będąc z pochodzenia Polakiem nasz młodzieniec jest w stu procentach inżynierem angielskim względnie amerykańskim. W odniesieniu do swego zawodu jest w pełni naturalizowanym obywatelem kraju osiedlenia. Nie zna innej technologii poza tą, którą opanował na jednym z uniwersytetów swojej przybranej ojczyzny.

Dla każdego z nas słowo „kultura” oznacza coś innego. Dla inżyniera, dla fizyka atomowego, dla technologa nowoczesnych skomplikowanych procesów produkcji — kultura to przede wszystkim zasób wiedzy i doświadczenia zdobywanych na uniwersytecie, w pracowniach i w laboratoriach wielkich centrów zachodniej technologii.

Kulturę techniczną zdobywa się od „a” — od podstaw. Murzyn, Polak czy Hindus rozpoczynają na londyńskich politechnikach swoje studia specjalne jako techniczni analfabeci — bez tradycji, bez zaplecza. Jakąż tradycją dysponuje fizyka atomowa? Po pięciu latach ów Murzyn, Polak i Hindus — stają się bez względu na swe pochodzenie inżynierami brytyjskimi — ludźmi rozumującymi wyłącznie kategoriami brytyjskiej kultury technologicznej. Ponieważ studia, kariera i powołanie zawodowe angażują 80 a może 90 procent potencjału sił psychicznych każdego młodego człowieka — powierzchnia naturalizacji — jeżeli wolno się tak wyrazić — obejmuje niemal całość osobowości. Proces naturalizacji tego typu odbywa się bez konfliktów bo wszyscy zaczynają od punktu zerowego.

Sytuacja młodzieży humanistycznej kształtuje się zupełnie odmiennie. W przeciwieństwie bowiem do kultury technicznej — kultura humanistyczna to nie tylko zdobyta wiedza ale i dziedziczona tradycja. Humanistyka to jest nawiązanie a nie start od zera. Wiedzę można zdobyć — w tradycji danej kultury trzeba wzrósć.

Pisząc w tej chwili do ciebie mam na myśli nie tylko Krystynę ale również wielu innych młodych humanistów, z którymi zetknąłem się tu, w Londynie. Wiem jednak, że przede wszystkim interesuje Cię Krystyna, którą po raz ostatni widziałeś w sierpniu 1939 roku w Mogilanach. Owego słonecznego podkrakowskiego lata Krystyna była trzyletnią dziewczynką. Dziś jest magistrem anglistyki i — jak sama to określa — przedstawicielką *1st generation*. To brzmi młodzieńczo i patetycznie ale coś może prawdy w tym tkwi.

Krystynę interesuje krytyka literacka. Ogłosiła już kilka rzeczy drukiem. Ale krytyk, literat, pisarz — musi być skądś, musi być gdzieś zakorzeniony. Musi mieć nie tylko wiedzę i odczytanie ale i intuicyjne wyczuwanie, które zapewnia własne zaplecze kulturalne. Problematykę własnej społeczności przynosi się ze sobą na świat — dziedziczy się po korowodzie swoich przodków — wynosi się z rodzinnego domu — ze szkoły — z uniwersytetu. Owa problematyka wbudowuje się w psychikę poprzez język. Pisarz nie może nauczyć się języka polskiego w Ameryce. Dla mnie i dla Ciebie każde polskie słowo jest akumulatorem tysięcy skojarzeń, wzruszeń, znaczeń i odcieni nawarstwiających się latami od najwcześniejszego dzieciństwa. Cóż powie słowo „chłop” komuś, który nigdy nie widział polskiej wsi? Cóż powie słowo „góral” komuś, który nigdy nie był na Podhalu. Cóż powie słowo „bieda” komuś, który nigdy nie posmakował na przednówku niekraszonych kartofli?

Krystyna mówi płynnie po polsku. Jej akcent zwłaszcza w zdaniach pytajnych wykazuje nieznaczne obce naleciałości. Ale polszczyzna nie jest językiem jej pióra. Nie spędziła ani jednego dnia w polskiej szkole i, poza listami do najbliższej rodziny, nigdy niczego po polsku nie pisała. Cały jej rozwój kształtował się w kręgu i w atmosferze języka angielskiego. Od szkolnych wypracowań poprzez pensjonarskie wierszyki aż po udane próby prozy literackiej, z którymi wiąże tyle nadziei i niepokoju.

Więc gdzie leży problem — zapytasz. Problemem nie jest język. Pisanie po angielsku nie jest dla Krystyny dramatem — gdyż to jest jej własny język i jedyny, którym w pełni włada. Nie ma w niej cienia poczucia zdrady w stosunku do polszczyzny. Nie jest jej winą, że chodziła do szkół angielskich i amerykańskich. Język angielski nie jest dla niej językiem wyboru tylko językiem, w którym uczono ją czytać i pisać. Pisanie po angielsku wydaje się jej równie oczywiste, jak dla mnie pisanie po polsku.

Problem leży gdzie indziej. Krystyna opowiadała mi, że jeszcze na uniwersytecie każda z jej koleżanek, czy każdy z jej kolegów, który poznał ją bliżej — w pewnym momencie wyznawał: *you are not a true American girl* dla jednych było to zaletą, dla innych — wadą, ale tak jedni jak i drudzy wyczuwali w niej coś obcego.

Stosując pewne uproszczenie można by powiedzieć, że w wypadku Krystyny, która dla swej socjologicznej kategorii stanowi „case” typowy — tradycja polska i kulturalne zaplecze były zbyt wąskie, by mogła się na nich oprzeć — równocześnie jednak elementy te okazały się dostatecznie żywotne, by wywołać konflikt. W rezultacie im jej wykształcenie postępowało naprzód — im przybywało istotnych płaszczyzn styku z kulturą amerykańską — tym wyraźniej pogłębiała się w niej świadomość jej odrębności.

Młody człowiek, który wychował się w Polsce i ukończył w Kraju studia humanistyczne, jeżeli otrzyma stypendium na jeden u uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych — studiuje humanistykę amerykańską jako uformowany humanista polski. Jest humanistą wprzęgniętym w proces rozwoju swojej ojczystej kultury, z którą związany jest urodzeniem, wychowaniem, tradycją, wykształceniem, językiem i co najważniejsze — uczuciowym zaangażowaniem.

Młodzi humaniści typu Krystyny są *de facto* bez korzeni. Nie wzrosli w tradycji kultury amerykańskiej i są humanistami amerykańskimi tylko z wykształcenia. Nie można być pisarzem, krytykiem czy historykiem nie czując się prawdziwie u siebie w domu ani w kulturze i tradycji kraju pochodzenia, ani w kulturze i tradycji kraju osiedlenia.

Na to by Krystyna mogła w pełni odbudować swoje polskie kulturalne zaplecze — musiałaby — w moim przekonaniu spędzić co najmniej pięć lat na jednym z krajowych uniwersytetów. To nie jest możliwe z wielu przyczyn. Jedną z tych przyczyn jest fakt, że Krystyna, w konsekwencji wieloletniego pobytu w Stanach, „amerykańskości” nie przeciwstawia „polskości” — lecz pojęcie szersze tj. „europejskość”. Nie czuje się związana z amerykańską Polonią bo nie jest urodzona w Ameryce. Czuje się natomiast związana z liczną i różnorodną grupą społeczną Amerykanów-Europejczyków.

Wierz mi Ludmiło — słuchałem relacji Krystyny z zazdrością. Spędziła cztery miesiące w Europie. Dla Krystyny to były odwiedziny „stranego kraju”. To była dosłownie „wizyta w ojczyźnie”. Odnalazła punkt

swego startu. Jej radości nie przysłaniała nostalgia za Polską, której nie pamięta. Europa wydała się jej bliska, ojczysta, domowa.

Co za szczęście, że Polacy są Europejczykami. Gdyby Krystyna urodziła się w Irkucku chodziłaby po Genewie, Brukseli i Paryżu — obca i samotna.

LONDYŃCZYK

## Papież Roncalli

Tak mówią Rzymianie: Papież Sarto, Papież Pacelli, Papież Roncalli. Jan XXIII miał być wybrany w jedenastym głosowaniu; miał być wysunięty od początku przez kardynałów francuskich, niezadowolonych z centralizmu i autokracji Piusa XII; w pierwszych głosowaniach najwięcej głosów mieli zdobyć 68-letni kardynał Kurii, Alfredo Ottaviani, uchodzący za przedstawiciela tak zwanej prawicy św. Collegium, oraz 63-letni ormiański patriarcha Agagianian, który od dawna uchodził za jedyne nie-Włocha, mającego poważne szanse na wybór, jako że od dziesiątego roku życia zamieszkał w Rzymie, tam odbył studia, tam spędził ogromną większość życia, był kardynałem Kurii, mówił po włosku jak Włoch, nawet z mocnym rzymskim akcentem. Agagianian uchodził za faworyta kardynałów amerykańskich — tym ostatnim, zwłaszcza ambitnemu, aktywnemu Spellmanowi, miało chodzić o stworzenie precedensu dla elekcji nie-Włocha. Tych nadziei, czy tych złudzeń francuscy kardynałowie, bardziej doświadczeni, widocznie nie dzielili: i od początku, stawiając na wybór Włocha, faworyzowali byłego nuncjusza w Paryżu. W tychże pierwszych głosowaniach po kilka głosów paść miało na kardynałów Wyszyńskiego, Mindszentyego, oraz Cerejeira, patriarchę Lizbony, który był w czasie wojny wyznaczony tajnym *breve* Piusa XII na szefa administracji kościelnej na wypadek gdyby Papież został uwięziony lub wywieziony przez Hitlera czy Mussoliniego. W drugim dniu Conclave, kardynał Ottaviani miał prosić, by na niego nie głosowano, motywując tę prośbę słabym wzrokiem: istotnie ma być on niemal ślepy. Jego zwolennicy oddali przeto głosy na 79-letniego kardynała — Camerlengo Masellę, ale na skutek tej zmiany Agagianian miał wyskoczyć na czoło. Wszelako już po południu tegoż drugiego dnia Conclave, to znaczy w poniedziałek, liczba głosów oddanych na Patriarchę Wenecji zaczęła wzrastać: dla wszystkich ksiąząt Kościoła zaczynało być jasne, że wybór nie-Włocha byłby przedwczesny, choć statystycznie możliwy: na 51 głosujących Włochów było tylko 17. W tym miejscu warto zauważyć, jak wielkie było poczucie obowiązku wśród purpuratów, którzy nie zważając na odległość, wiek, choroby ze wszystkich stron samolotami pośpieszyli do Rzymu: zacy arcybiskup Detroit, Irlandczyk, 76-letni kardynał Mooney, skromny i cichy dawny delegat apostolski w Japonii, przypłacił tę podróż udarem serca i życiem. Członek akademii francuskiej, kardynał Grente, ledwo wyżył; na noszach wniesiono do Watykanu Chińczyka, kardynała Tsien, niedawno poranionego straszliwie w wypadku samochodowym w Niemczech Zachodnich, gdzie schronił się po wygnaniu z Pekinu. Kanonicznie można mieć pewne wątpliwości co do stanowiska

kardynała Stepinacza: podczas gdy Mindszenty chciał się udać do Rzymu, ale nie mógł tego uczynić, bo komuniści odmówili mu gęlitu, Stepinacz odmówił wyjazdu, bo obawiał się, zapewne słusznie, że go Tito z powrotem do Jugosławii nie wpuści. Otóż konstytucje papieskie nie przewidują, poza absolutną niemożnością fizyczną (jak np. obłożna choroba albo uwięzienie), żadnej ewentualności, w której kardynałowi wolno zrezygnować z wyjazdu na Conclave w celu spełnienia swego obowiązku elektora. Kardynał jest w pierwszym rzędzie członkiem Senatu Kościoła, wyborcą Papieża: dopiero potem jest prymasem, arcybiskupem itd. Kard. Stepinacz miał prawo odmawiać przyjazdu do Rzymu po odbiór Kapelusza, skoro obawiał się, że nie będzie mógł powrócić do swej diecezji; ale nie miał prawa z tego powodu nie przybyć na Conclave. Odbiór Kapelusza jest ceremonią: udział w Conclave jest obowiązkiem, który góruje nad wszystkimi innymi.

Ale wracając do niedyskrecyj o Conclave: w trzecim dniu już rano liczba głosów, oddanych na kardynała Roncalli, zaczęła wzrastać, dochodząc do 30-tu: jego kontr-kandydatem w tych ostatnich głosowaniach miał być arcybiskup Palermo, 70-letni kardynał Ruffini. Szeręg kandydatów, uważanych za papabłów, a więc arcybiskup Bolonii Lercaro, arcybiskup Genui Siri i arcybiskup Mediolanu, Montini, który nawet nie jest kardynałem, nie byli, zdaje się, ani razu poważnie brani pod uwagę. Z porównania dat urodzenia wygląda na to, że św. Collegium było od pierwszej chwili zdecydowane wybrać Papieża wiekowego. Dwa ostatnie pontyfikaty, z których każdy trwał prawie 20 lat, skłoniły Conclave do odrzucenia z góry kandydatów, którzy by nie przekroczyli siedemdziesiątki. W jedenastym głosowaniu kard. Roncalli miał otrzymać 40 głosów (przeciw kard. Ruffini), i przyjąć wybór. Wybór ten nie był całkowitą niespodzianką, tak jak w 1903 wybór kard. Sarto (Piusa X) czy w 1922 kard. Ratti (Piusa XI), ale oczywiście nie był on tak „murowany”, jak wybór kard. Pacelli w ale oczywiście nie był on tak „murowany”, jak wybór kard. Pacelli w przeddzień wybuchu wojny. Niespodzianką był tylko wybór imienia przez nowego Papieża: i to odstępstwo od prawie dwudziestoletniej serii Piusów zostało przyjęte z uznaniem przez opinię katolicką i światową, upatrującą w tym zapowiedź zmian i reform. Definicja amerykańska współczesnego świata, jako *a changing world*, co dzień coraz bardziej podmurowana zdumiewającym postępem technicznym, sprawia, że odczuwamy niezmienną, jak objaw reakcji, jako coś przeciwnego naturze: i pragniemy, by i Watykan szedł „z duchem czasu”.

Tak się złożyło, że słyszałem osobiście, jak własną mszę koronacyjną śpiewał Pius XII: głos jego, nie muzyczny, był starczy, słaby, choć Pius miał wówczas tylko lat 63. Teraz słuchałem przez radio, jak o 14 lat starszy Jan XXIII odprawiał toż nabożeństwo: i głos jego, piękny, silny, donośny, rozlegał się o ileż bardziej młodzieńczo i śpiewnie. Ostatni Papież, wybrany na Stolicę Piotrową w wieku również podeszłym, co obecny Ojciec św., Klemens XI, panował mimo tego lat 10; a od roku 1730 wiecza medyczna wielkie zrobiła postępy. Kardynał Roncalli zawsze miał się cieszyć doskonałym zdrowiem, wybornie też wytrzymał nieprawdopodobnie długie i męczące obrzędy, związane z Koronacją: nie byłoby więc dziwne, gdyby dane mu było dożyć wieku Leona XIII, a w tym wypadku jego pontyfikat trwałby lat 15 z nawiązką. W tych warunkach mówienie o „Papieżu przejściowym” może okazać się wielką pomyłką.

Przebieg Conclave najlepiej może ujął arcybiskup Paryża, Kard. Feltrin, gdy zwracał uwagę dziennikarzy francuskich, że cudem nazwać można tak szybką elekcję Kardynała Roncalli. Po raz pierwszy, mówił, zebrał się św. Collegium, złożone z przedstawicieli tyłu narodowości, z ludźmi, którzy się między sobą mało, a nieraz wcale nie znali, których opinie w wielu zagadnieniach politycznych, dyscypliny kościelnej, organizacji Koś-

ciola wydawały się niemożliwe do pogodzenia. A jednak Conclave już w trzecim dniu potrafiło dokonać wyboru, który wszystkich napelnił wiarą i otuchą, że był najlepszy z możliwych. Rzeczywiście, świat katolicki przyjął wybór Jana XXIII z głęboką i powszechną radością. Skromne pochodzenie nowego Papieża, jego prostota, pogoda, omalże jowialność, jego dobroć i ludzkość zjednały mu od razu serca: miliony wiernych instynktownie wyczuły, że w interesie Kościoła leży, by Papież reprezentował odmienne typy ludzkie, odmienne usposobienia, odmienne podejście do wielkich problemów życia duchownego i świeckiego. Papież Roncalli jest omalże pod każdym względem antytezą Papieża Pacelli: i może właśnie ten kontrast gwarantuje, że oba te pontyfikaty razem zapewnią łącznie najpomyślniejszy rozwój Kościoła: to co jeden zaniedbał, drugi zabezpieczy; to na co pierwszy zbyt niemiłosiernie naciskał, drugi po cichu, bez hałasu nieco w cień usunie.

Kościół jest większy od papieżstwa; papieżstwo jest większe od każdego papieża. Wiele reform zbawiennych i niezapomnianych odbyło się poza papieżstwem, lub przy jego tylko nieznacznym współdziałaniu. W pewnym sensie kontreformacja była okresem wielkiego zrywu katolickiego, wydała ona wielkich świętych, stworzyła zastępy gorących wiernych, mężów i kobiet o wielkich cnotach i zasługach. Ta kontreformacja była dziełem dwóch przede wszystkim zakonów: jezuitów i kapucynów; była dziełem paru znakomitych świętych: św. Karola Boromeusza (któremu obecny Papież tak piękny oddał hold w kazaniu koronacyjnym, cennej innowacji w prastarej tradycji), św. Franciszka Salezego, św. Wincentego à Paulo, męczenników angielskich, naszego własnego Boboła, i wielu innych; wreszcie epoka ta wybudowała ogromną większość świątyń, które krajobraz wielu krajów katolickich, Austrii zwłaszcza, ale także Polski, Bawarii, Hiszpanii, Włoch ukształtowały po wszystkie czasy. Ale Stolica Apostolska w tym wielkim ruchu odrodzenia katolickiego odegrała rolę podrzędną. Wiek XVII był najgorszym wiekiem nepotyzmu, wiekiem gdy powstały olbrzymie i, nie owijając prawdy w bawełnę, skandaliczne fortuny Borghesów, Barberinich, Pamphili-Landch. W XVIII wieku Papieży byli już ludźmi o dużo większych cnotach osobistych, nepotyzm zanikł — a mimo tego wzrostu powołań kapłańskich w Kurii okres ten był na ogół schyłkowym i smutnym w życiu Kościoła: nigdy indyferentyzm nie objął tak ogromnej części kół wykształconych, warstw uprzywilejowanych, i, co najgorsze, wyższego duchowieństwa. Te czasy są od nas już na szczęście odległe — i próżno byłoby w nich szukać choćby cienia analogii z epoką dzisiejszą. Jeżeli o tym warto wspomnieć, to tylko po to, by zilustrować tezę, że ewolucja Kościoła w dużej mierze odbywa się poza kręgiem bezpośredniego oddziaływania Stolicy Apostolskiej, tym bardziej poszczególnych Papieży.

Jedna rzecz wydaje się już dzisiaj pewna: obecny Papież będzie sprzyjał ponownej DECENTRALIZACJI Kościoła. Proces ten wydaje się konieczny: dla samego Kościoła skoncentrowanie wszystkich decyzji w Watykanie było połączone z wielkimi niebezpieczeństwami. Głos Papieża rozlegał się za często, i zbyt wyłączenie. Czas najwyższy, by wierni mieli więcej okazji wsłuchania się w głosy nie tylko Papieża, ale także biskupów, episkopatów, zakonów, poszczególnych teologów, być może nawet osób świeckich. Dawno już nie słyszeliśmy o żadnej św. Katarzynie Sienneńskiej: a przecież i święte o męskim hartie woli i ducha, o męskich zdol-

nościach i jasności myślenia są równie Kościołowi potrzebne, jak jasniejące skromnością i pokorą święte Bernadette i Tereska od Dzieciątka Jezus. Cieszyliśmy się wszyscy, że Kościół przez lat blisko 20 opromieniał Papież niezwykłego rozumu, wiedzy, ascezy, potęgi myśli i intelektu; niemniej potrzebujemy Papieża, który by przypomniał światu, że następca św. Piotra jest przede wszystkim „Dobrym Pasterzem”, wspierającym Kościół modlitwą, skromnością i radą raczej niż surowym nakazem. Wydaje się, że będzie z korzyścią dla Kościoła, gdy sprawy takie, jak księży robotników we Francji będą załatwiane przez episkopat francuski bez interwencji Watykanu; gdy prymasi i biskupi krajów za Żelazną Kurtyną uzyskają maksimum samodzielności w ustalaniu warunków współżycia z reżymami komunistycznymi; gdy podobna samodzielność zostanie pozostawiona miejscowym biskupom, duchownym i świeckim w ustalaniu stosunków z innymi wyznaniem. Są czasy gdy jest lepiej by wielka armia maszerowała w zwartej falandze; są inne gdy tyralierka wydaje się bardziej wskazana. Są czasy, gdy nacisk kładzie się na dyscyplinę, na posłuszeństwo; są inne, gdy żąda się od poszczególnych biskupów, kapłanów, wiernych samodzielności, inicjatywy. Zdaje się, że cały świat katolicki odczuwa potrzebę tej drugiej ewentualności.

W.A.Z.

## AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe  
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*


Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiąt, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

*Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych  
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.  
Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.*

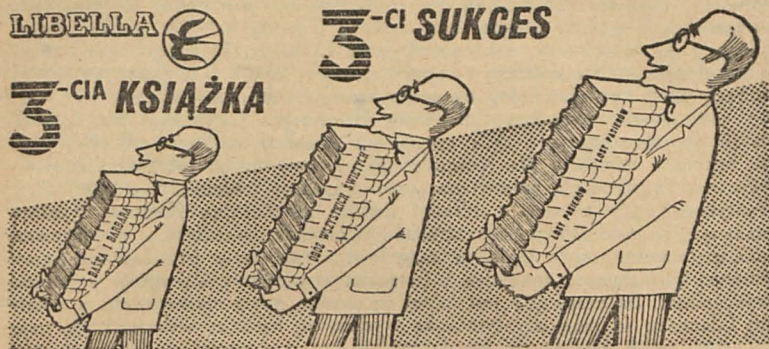
Po informację pisać:  
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue  
Toledo 7, Ohio  
U. S. A.

LIBELLA 

3-CIA KSIĄŻKA

3-CI SUKCES



Kraj

## Notatnik polityczny (1)

Wielu z nas zadaje sobie pytanie, ile pozostało dziś z owego narodowego entuzjazmu, który przed dwoma zaledwie laty poruszył serca i umysły milionów Polaków. Niezależnie od punktu widzenia dyktowanego przez takie lub inne poglądy polityczne, na pytanie to jest tylko jedna uczciwa odpowiedź: mało albo prawie nic.

Wystarczy przejść się po warszawskiej ulicy, spojrzeć w twarz przechodniów, wsłuchiwać się w prowadzone rozmowy, aby dojść do tego wniosku. Społeczeństwo jest wyraźnie apatyczne, znużenie i obojętność biją w oczy. Dlaczego? Co jest przyczyną katastrofalnego odpływu nadziei i dobrej woli, zalewającej niedawno jeszcze wysoką falą kraj? Czy obecny stan jest konsekwencją tylokrotnie wyklinanego charakteru narodowego Polaków, czy ma też inne, bardziej konkretne i racjonalne przyczyny. Czy mamy tu do czynienia z chronicznym malkontentstwem i brakiem politycznego umiaru, czy może jest to rozczarowanie uzasadnione *rzeczywiście* niezadowolającym biegiem wydarzeń.

Problem jest raczej trudny. Po pierwsze poruszamy się w kręgu kategorii nieprecyzyjnych, po drugie brak nam wielu elementów niezbędnych do rzeczowej odpowiedzi, wreszcie całe zagadnienie sprowadza się do kwestii wartości i ocen, a więc praw rozstrzygalnych tylko na grząskim gruncie rozważań moralnych i politycznych. A wiadomo, że ani polityka, ani moralność wbrew zapewnieniom marksistów nie dają się zredukować do rzeczy prostych i jednoznacznych. Życie spleta w nierozwalny węzeł obiektywne fakty historii z najbardziej subiektywnymi elementami rzeczywistości społecznej. Dla oceny sytuacji jedne są równie ważne jak drugie; produkcja stali i cementu oraz to w co ludzie wierzą i czego chcą. Zwielokrotnione w masie narodu sympatie i antypatie są równie konkretnym składnikiem świata, w którym żyjemy, jak ilość wołowiny, przypada-

*Nowe wydawnictwo "Libelli"*

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

**LOSY PASIERBOW**

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena: franków 850. — sh. 17/.— — dolarów 2.50.

*Warunki sprzedaży:*

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

*Zamówienia wraz z należnością przesyłać do:*

**“LIBELLA”**

**12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV**

**France**



jąca na głowę ludności. Mówiono kiedyś, że kaprysy królów nie są obojętne dla historii. Czyżby były dla historii obojętne kaprysy narodów?



Naród polski jest kapryśny: nie lubi zaimportowanego z Rosji Sowieckiej totalitarnego komunizmu *pomimo* rozwoju przemysłu i odbudowy Warszawy. Przez dwanaście lat ten oczywisty fakt nie znajdował żadnego odbicia w oficjalnych wypowiedziach. Plan sześcioletni, który, wbrew elementarnym interesom Polski, zamienił w sowiecką zbrojownię olbrzymią część gospodarki wyczerpanego wojną i zniszczonego kraju, cieszył się, w myśl zapewnień propagandy, „jednogłośnym poparciem całego narodu”. Cały naród „kochał i czcił towarzysza Bieruta” osobiście odpowiedzialnego za wywiezienie do Rosji w okresie 1944-1945 tysięcy Polaków. „Masy pracujące” „aprobowały”, „popierały”, „wrażały entuzjazm i zapał” we wszystkich możliwych przypadkach, nawet wtedy, kiedy wielkorządca gospodarczy, Minc, jednym pociągnięciem pióra dokonywał z dnia na dzień niezwykle drastycznego i bezprzykładnego w nowocześniejszej historii obniżenia płac realnych.

Po krwawych wydarzeniach poznańskich kontynuacja totalnego zakłamania stała się rzeczą trudną, jeśli nie wręcz niemożliwą. W obliczu katastrofy, której skala przerastałaby zapewne wielokrotnie tragedię Budapesztu, trzeba było szukać dróg wyjścia. Znaleziono Gomułkę, którego — na całe szczęście — nie zdążyła zlikwidować Bezpieka. Gomułka, długoletni więzień Bieruta, *polaki* komunista, który nie ugiął się przed wszechwładną wolą Stalina, człowiek, który nie chciał przymusowych kolchozów i nie potępił Jugosławii — zyskał olbrzymią popularność. Kiedy pogłoski o odprawie, jakiej udzielił Chruszczowowi w czasie październikowej wizyty obiegły Warszawę, popularność urosła do rozmiarów legendy: olbrzymi wiec przed Pałacem Kultury i Nauki był przede wszystkim manifestacją żywotności nastrojów antysowieckich, których symbolem stał się w ciągu kilku dni Gomułka.

Październik 1956 r. karmił się nadzieją: ludzie spotykający się na ulicy padali sobie w ramiona w uniesieniu radości: narreszcie koniec koszmaru. Przemówienie Gomułki na VIII Plenum było zapowiedzią radykalnych zmian na lepsze w dziedzinie politycznej i gospodarczej. Szereg z tych zapowiedzi zrealizowano w dziedzinie politycznej. Najistotniejszą pozycją październikowych aktywów było ukrócenie tajnej policji i terroru oraz przywrócenie pewnej swobody kontaktów z zagranicą. Wiele oczekiwano także po Radach Robotniczych, które w warunkach monopartyjnego uwiądu parlamentaryzmu mogły się stać instytucjonalnym gwarantem demokracji w Polsce. W dziedzinie gospodarczej najważniejszym osiągnięciem był nowy program rolny.

Wiadomo dziś, że wybujałe październikowe nadzieje były zawodne: reformy były w większości połowiczne, spraw nie doprowadzono do końca, jawni przestępcy nie zostali ukarani; wreszcie z biegiem czasu monopartyjna dyktatura zaczęła domagać się restytucji swych praw; siłą inercji rzeczy wracają na dawne, totalitarne tory. „Ta sama spółka plus Gomułka” — taką ocenę bieżącego układu sił zawiera się w zwięzłym powiedzonku warszawskim. Niektórzy oceniają stan rzeczy jeszcze bardziej pesymistycznie powtarzając tradycyjny już dziś w Warszawie skrót perspektywy politycznej: „tak czy owak będzie Nowak”. Nieszczęsny Zenon Nowak, powolne narzędzie wysuwających go sił politycznych, stał się symbolem (z lekka humorystycznym) niebezpieczeństwa reaktywizacji bierutyzmu.



Żyjemy w czasach skomplikowanych. Fakt ten jest dotkliwie oczywisty w przypadku kraju wciśniętego pomiędzy Niemcy i Rosję, leżącego na skraju potencjalnego konfliktu między Wschodem i Zachodem. Z tej chociażby tylko przyczyny jednostronnie negatywna ocena popaździernikowej działalności Gomułki byłaby niesprawiedliwa. Wiadomo, że musi on kluczyć pomiędzy Scyllą i Charybdą sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej, balansując na krawędzi starcia z potęgą Rosji i całkowitej utraty twarzy wobec opinii publicznej w kraju. Z drugiej jednak strony niezmiernie płytka byłaby aprobata Gomułkowej polityki, opierająca się na jego słynnym, choć dziś już coraz rzadziej powtarzanym argumencie, wszystko tłumaczącej „racji stanu”.

Z każdej sytuacji są dwa wyjścia, albo nawet co najmniej dwa wyjścia. Tej znakomitej zasady można nauczyć się u Jakobowskiego, ze sztuki Werfla, jeśli kogokolwiek nie nauczyło jej jeszcze własne życie. Istnieje wiele przesłanek na to, że Gomułka w ciągu ostatnich dwu lat wybierał często wyjścia nie najlepsze, a czasem wręcz najgorsze. Po znakomitym, hetmańskim gambicie października 1956 r. nastąpiło szereg posunięć, które nie dają się zakwalifikować inaczej niż jako kompletne pudło. I to z każdego punktu widzenia: czy to patrząc na sprawę w aspekcie międzynarodowym, czy też w aspekcie sytuacji wewnętrznej a nawet i w aspekcie tak drogich Gomułce spraw „rozwoju socjalizmu”. Rzecz wymagałaby sporego traktatu i bardziej kompetentnego pióra, ale warto podkreślić kilka momentów, które dowodzą, że powszechna prawie dezaprobatą tak popularnego niedawno przywódcy ma swoje racjonalne uzasadnienie. Nie kaprysy wiecznych niezadowolonych, ani tym bardziej „wrogie podszepty reakcji” są źródłem niezadowolenia i przyczyną powszechnej apatii. Gomułka utracił popularność z własnej winy i wbrew najlepiej pojętym interesom reprezentowanej przez siebie sprawy „polskiego socjalizmu”. Do tych największych błędów Gomułki zaliczyć chyba należy: a) zgnie-

cenie liberalnego skrzydła postępowej inteligencji, b) faktyczną likwidację Rad Robotniczych, c) rezygnację z samodzielności na terenie międzynarodowym. Wszystkie te grzechy popełniono zupełnie niepotrzebnie. Polsce nie groziła już bowiem ani sowiecka interwencja, ani też restauracja wewnętrznych sił partyjnej reakcji. Gdyby Gomułka nie przekreślił własnymi pociągnięciami swego kontaktu z masami narodu, ustanowionego w pierwszych miesiącach po październiku 1956 — nie potrzebowałby obawiać się ani „Natolina”, ani też represji ze strony sąsiadów. Przy zręczności jaką wykazał w czasie walki o władzę nie byłoby to dla niego zapewne rzeczą zbyt trudną. Jeśli tego nie zrobił, to z powodów bliżej niewyjaśnionych: może po prostu nie zdawał sobie sprawy z perspektywy jaka otworzyła się przed Polską i nową odmianą socjalizmu, jaka zdawała się wykluczać z październikowych przemian.

Dogmatyzm jest najgorszym grzechem męża stanu. Gomułka, mimo, że wyróżniający się empiryzmem wśród większości „kadry starych partyjniaków” nie potrafił wyzwolić się z okowów dziewiętnastowiecznego dogmatu. Jego paniczny strach przed „rewizjonizmem” jest nie tylko wynikiem obawy przed niebezpiecznymi reperkusjami śmielszych myśli w stosunkach polsko-sowieckich. Gomułka szczerze boi się „rewizjonistów”, to jest ludzi, którzy przykładają miarkę racjonalności do wszystkich przejawów ideologicznej i praktycznej działalności partii. Jego stosunek do młodych ludzi z „Po prostu” był głęboko emocjonalny, przypominał on w pewnej mierze stosunek poczciwego wiejskiego proboszcza do heretyków, kalwinów i lutrów oraz wszystkich innych, którzy godzą w święty kościół katolicki. Dla takich nie ma przebaczenia, gdyby nawet mieli rację. Bardzo charakterystyczne pod tym względem są fragmenty przemówienia na ostatnim, XII Plenum KC PZPR. Gromy, jakie sypią się na głowy odszczepieńców nie pozwalają nawet wątpić, że dni ich w partii są policzone: „...jeśli jeszcze znajdują się (oni) w szeregach partii — choćby nawet nie przejawili rewizjonistycznej działalności — wcześniej czy później znajdą się poza partią. Inaczej być nie może”.

Zapomina Gomułka, że „wolność — cytuję tu Różę Luxemburg — jest zawsze wolnością dla tych, co myślą inaczej”. W roku 1949 Gomułka wyklęty został przez grono swych współtowarzyszy jako rewizjonista i zdrajca sprawy socjalizmu. Czyżby doświadczenie to nie pozostawiło w jego umyśle wątpliwości co do intelektualnych i moralnych podstaw instytucjonalnych egzorcyzmów?

XII Plenum KC PZPR odbyło się prawie dokładnie w drugą rocznicę tamtego października. Widocznie biuro polityczne postanowiło „nawiązać”, „podsumować” i „zbilansować wyniki” ale nie na kalendarzu rzecz polega i głęboki zawód spotka tych, którzy usiłują zbić propagandowy kapitał na zbieżności dat: październik październikowi nie równy. Łatwo się o tym przekonać porównując opublikowane dokumenty, przemówienia, wytyczne itp.

Życie w Polsce biegnie od plenum do plenum. Nigdy przecież nie wiadomo jakie decyzje zapadną w sali ogromnego gmazyska KC odgradzającego obrady od gwaru (i wpływów) ulicy. Wieloletnie doświadczenie przyzwyczyło Polaków do najdziwniejszych niespodzianek „plenumowych” (jak się mówi dziś w kraju), do wszelkiego rodzaju polityczno-ideologicznych wygibasów. XII plenum nie przyniosło żadnych rewelacji: stanowi ono raczej zapowiedź utrzymania obecnego układu sił w kraju z pewną tendencją do wzmocnienia pozycji totalitarnych, bardzo nadwątlnych od czasu października.

Najbardziej charakterystyczną cechą XII plenum jest obfitujące w pustosłowie nawoływanie do „konsolidacji i stabilizacji” na gruncie unikania kontrowersyjnych, to jest prawdziwych, dyskusji. Całe plenum jest zręcznym unikiem ideologiczno-taktycznym, próbą zakłajstrowania wewnętrznych sprzeczności i rozbieżności, jakie szarpią dziś polską partią. Wskazuje ono, że i na III zjeździe partii owa zasadnicza dyskusja, na którą społeczeństwo polskie czeka bezskutecznie od dwóch lat, nie odbędzie się. Zamiast tego obrady skierowane zostaną w bezpieczne kanały szczegółowych, technicznych dyskusji na tematy gospodarcze. Może to i rozsądne w obecnej sytuacji, ale czy zadawałające? Czy „czyn zjazdowy”, do którego tak przekonywująco, w bierutowskim prawie stylu, nawołuje Gomułka, przełamie inercję i apatię społeczeństwa? Bardzo to wątpliwe. Do tego potrzebna jest wielka rozprawa z przeszłością. Konieczna jest śmielsza ocena możliwości kraju w dziedzinie gospodarczej i politycznej, wyzwolona z przesądów wszechwiedzącej doktryny partii — a więc to właśnie, czego Gomułka, zaplątany w swoje zobowiązania międzynarodowe i wewnętrzno-partyjne chce uniknąć za wszelką cenę.

Program polityki gospodarczej, przedstawiony na XII Plenum jest wbrew masie technicznych szczegółów pełen niejasności co do spraw zasadniczych. Z powodzi zapewnień o sukcesach wyłania się niewesoły obraz niepowodzeń w rozbudowie przemysłu, przy jednoczesnym niewykonaniu zadań w dziedzinie wzrostu stopy życiowej i stałym napięciu bilansu płatniczego. Jędrzychowski, obecny szef Komisji Planowania i dyktator gospodarczy Polski, robi co może, aby łątać deficyty i popychać naprzód gospodarkę. Wszystkie te wysiłki, o których mowa

w referatach i wytycznych XII Plenum nie wykraczają poza ramy tradycyjnego modelu administracyjnego planowania. Sprawa modelu gospodarczego, nad którą tak gorąco debatowano w ciągu ostatnich dwu lat, zupełnie utonęła w gąszczu wskaźników i zaleceń. Nie wiele też słyhać o dalszym rozwoju drobnego, prywatnego przemysłu i rzemiosła. Wstrzeźliwość dokumentów w tym punkcie nie wydaje się rzeczą przypadku. Wynika ona zapewne z tradycyjnego w socjalistycznej Polsce braku koncepcji w tej dziedzinie i może nawet z jakichś niezbyt przyjaznych zamysłów wobec kapitalistycznych rekinów naszej prywatnej inicjatywy.

Zamierzenia gospodarcze na następne pięciolecie oraz ocena dotychczasowej sytuacji ekonomicznej kraju, zawarta w dokumentach plenum, godne są szczegółowej oceny. Wróćmy do tych spraw w najbliższym numerze.

OBSERWATOR

## Przerosty zatrudnienia w Polsce

W ciągu całego roku bieżącego toczyła się na łamach prasy w Polsce gorąca dyskusja na temat tzw. przerostów zatrudnienia. Mówiono o niezmiernych stratach dla gospodarki narodowej, wynikających z nadmiaru ludzi w zakładach przemysłowych, o znacznym przeroście personelu administracyjnego, o dezorganizacji produkcji, demoralizacji robotników i znacznym obniżeniu wydajności ich pracy. Dla ilustracji sięgano nawet nieraz do drastycznych porównań obecnego stanu produkcji z okresem przedwojennym.

Oto w kopalni „Mysłowice” — według „Trybuny Ludu” — wydobyte wynosiło w 1938 r. 3.820 ton węgla na dobę, a obecnie 3.980, a więc prawie to samo. Istotna różnica polega jednak na tym, że w 1938 r. kopalnia ta zatrudniała tylko 2.325 pracowników, w tym 88 urzędników, a obecnie pracowników jest 4.181, a więc niemal dwa razy więcej, a liczba urzędników wzrosła przeszło czterokrotnie i wynosi 393 osoby.

W Poznańskich Zakładach Nawozów Fosforowych w Luboniu (przed wojną własność dr Romana Maya) — według „Życia Gospodarczego” — ogólna produkcja wzrosła wprawdzie w stosunku do przedwojennej, ale porównanie jej kosztów wypada „wręcz kompromitująco” dla obecnych zakładów. Wydajność pracy spadła w nich znacznie i wynosi np. w jednym z pod-

stawowych oddziałów produkcji zaledwie 30 procent przedwojennej, podczas gdy liczba zatrudnionych w nim osób wzrosła czterokrotnie. Jeszcze bardziej rażąco wypada porównanie ilości urzędników w całej fabryce. Jest ich 10 razy więcej niż dawniej, gdy tymczasem — uwzględniając już wzrost powojennej produkcji — zakłady te powinnyby zatrudniać dzisiaj co najwyżej trzykrotną liczbę.

Obaj autorzy porównań podkreślają, że zakłady te nie należą bynajmniej do wyjątków, są to przedsiębiorstwa przeciętne, jak setki innych w kraju.

Niemniej rażąca jest sytuacja w hutnictwie. „Nowa Huta” — ta duma obecnych rządów — zatrudnia blisko 17.000 pracowników, w tym aż 21 procent pracowników umysłowych, tzn. ponad 3 i pół tysiąca. Na jednego robotnika przypada tu 5,2 ton produkcji stali miesięcznie, podczas gdy — jak podaje „Życie Gospodarcze” — tego typu zakłady w St. Zjednoczonych i ZSSR zatrudniają dwukrotnie mniej ludzi (od 8 do 9 tysięcy), a produkcja jest w nich niemal trzykrotnie wyższa: na jednego robotnika wypada w St. Zj. 13, a w ZSSR, 12,5 ton stali miesięcznie.

Próbuje się obliczać przerosty zatrudnienia w poszczególnych województwach. Tak np. w zakładach przemysłowych województwa lubelskiego — gdyby posługiwać się kryteriami ekonomicznymi — należałoby, według „Trybuny Ludu” — zwolnić 30 procent załóg. W wielu zakładach włókienniczych województwa łódzkiego ponad 50 procent zatrudnionych pracuje w administracji lub w działach pomocniczych, przy tym ci ostatni zarabiają znacznie lepiej, niż fachowcy z bezpośredniej produkcji. Analogiczne przykłady można by cytować bez końca.

Nie podobna natomiast ustalić ilości zbędnych ludzi w całej produkcji ani w poszczególnych jej gałęziach. Nikt bowiem dotychczas nie badał problemów zatrudnienia, które w państwach „obozu socjalistycznego” — jak stwierdza „Życie Gospodarcze” — stanowią wielką niewiadomą: brak jest faktów, liczb, publikacji. Na ogół jednak ocenia się, że przerosty zatrudnienia wahają się w granicach od 10 do 40 procent, zależnie od terenu, przemysłu czy zakładu pracy, najczęściej zaś mówi się o 30 procentach.

Nie ulega wątpliwości, że nadmiar zatrudnionych w zakładach pracy równoznaczny jest z „utajonym” bezrobociem. Tak zresztą niektórzy śmielsi ekonomiści nie wahają się dziś nazwać tego zjawiska. Przez długie lata jednak przerosty zatrudnienia były świadomie tolerowane; niektórzy ekonomiści poprzedniego okresu twierdzili nawet, że z punktu widzenia państwowego jest to zjawisko korzystne. Chociaż bowiem dezorganizuje ono produkcję, to jednak lepiej jest ukryć bezrobocie przez nadmiar zatrudnionych, niż je ujawnić.

W myśl bowiem zasady, że w państwie „socjalistycznym” — w przeciwieństwie do ustroju kapitalistycznego — istnieje

pełne zatrudnienie, że nie trzeba w nim przewidywać zasiłków dla bezrobotnych, nie wolno było przedtem w Polsce mówić ani o jawnym, ani o utajonym bezrobociu.

Dziś jednak sytuacja się zmieniła. Wprawdzie w dalszym ciągu próbuje się udowodnić, że istnieje pełne zatrudnienie, bo bezrobocie jest niewielkie i tylko lokalne, a ilość wolnych miejsc pracy jest większa, niż ilość zarejestrowanych bezrobotnych (1), ale przeprowadza się już ich rejestrację, a pewnej kategorii bezrobotnych wypłaca się zasiłki.

Po wielu latach wstydliwego milczenia, nie ukrywa się zbędnych nadwyżek sił roboczych w zakładach pracy — XI Plenum KC. PZPR., w końcu lutego br. nie tylko oficjalnie stwierdziło przerosty zatrudnienia, ale i zapowiedziało walkę z tym zjawiskiem.

Aby jednak walka była skuteczna, trzeba znać dokładnie przyczyny, które doprowadziły do tak jaskrawej sytuacji.

I ta sprawa wywołuje w Polsce żywą dyskusję, przy tym trzeba przyznać, że niektórzy jej uczestnicy dają bardzo wnikliwą i krytyczną ocenę odnośnych zjawisk.

Gwałtownie rozbudowujący się przemysł wciągnął do produkcji masy surowych, niewykwalifikowanych robotników. Działal tu równocześnie nacisk poszukujących pracy, szczególnie z przeludnionej przed wojną wsi. Przy słabych kwalifikacjach i braku przygotowania, praca robotników była mało wydajna i stąd powstała początkowo potrzeba zatrudniania większej ich ilości. Sprzyjała temu również i taniość siły roboczej. I dziś płace są niedostateczne, ale głodowy ich poziom przed październikiem, przesądzał, że najtańszym elementem produkcji był robotnik.

Stopniowo jednak nowoprzyjęci robotnicy nabywali wprawy i doświadczenia — a obok nich pracowała przecież i stara kadra — można więc było z łatwością dostosować ilość zatrudnionych do normalnych potrzeb produkcji każdego przedsiębiorstwa.

Ale tu występowała zasadnicza przeszkoda. Przy systemie całkowicie scentralizowanego zarządzania produkcją, zadania produkcyjne były narzucane przedsiębiorstwom z góry, przy tym wzrastały one stale, szczególnie w pierwszym okresie planu 6-ioletniego.

Od zakładów pracy żądano, by produkowały jak najwięcej, jak najszybciej i za wszelką cenę, kosztów produkcji nikt bowiem nie obliczał; pojęcie rentowności przedsiębiorstwa i opłacalności produkcji w ogóle nie istniało.

Nie interesował się tym, oczywiście zakład pracy i nikt od niego tego nie wymagał. Przedsiębiorstwa nie posiadały żadnej

(1) Ale nawet urzędowy „Biuletyn Statystyczny” stwierdza, że nie wszyscy bezrobotni rejestrują się, a więc że dane o bezrobociu są niepełne. Na ogół oblicza się, że na 1 zarejestrowanego wypada 4 niezarejestrowanych bezrobotnych.

samodzielności, a za przekroczenie planów produkcji, zarówno część pracowników, jak i kierownictwo zakładu otrzymywało premię (premię otrzymywała zresztą i instancja nadrzędna).

W tych warunkach najwygodniej było utrzymywać stale nadmiar robotników. Najłatwiej bowiem było wówczas wykonywać i przekraczać często zmieniające się i coraz wyższe plany produkcyjne, bez konieczności uciekania się do znacznie trudniejszych zmian organizacyjnych wewnątrz przedsiębiorstwa.

Zresztą dobra gospodarka siłą roboczą, dobra organizacja pracy wymaga też odpowiednich kwalifikacji od kierownictwa przedsiębiorstw. A jak ta sprawa wygląda w Polsce, ilustrują jaskrawo dane Gł. Urz. Stat. na 1. X. 1956.

Kierownicze stanowiska w przedsiębiorstwach przemysłowych zajmowało ogółem 36 % ludzi z podstawowym lub niższym wykształceniem, 48 % ze średnim, a tylko 16 % z wyższym. Jeśli chodzi o naczelników dyrektorów przedsiębiorstw to zaledwie 15 % spośród nich posiadało wyższe wykształcenie, a 40 % — tylko podstawowe lub niższe. Wyższe wykształcenie posiadało zaledwie 13 % zastępców dyrektorów do spraw technicznych, 17 % szefów produkcji i głównych mechaników, 19 % kierowników działów planowania przedsiębiorstw. Trudno jest rzeczywiście spodziewać się, żeby przy takim poziomie kierownictwa zakładów pracy, potrafiło ono pokonać trudne zagadnienia organizacji i racjonalnego wykorzystania załogi.

Ale i inne niemniej istotne przyczyny powodują, że zakłady pracy zatrudniają nadmiar robotników. Weźmy choćby tak ważną dla normalnego toku produkcji sprawę zaopatrzenia przedsiębiorstw czy to w podstawowe materiały z przydziału centralnego, czy w półprodukty z tzw. kooperacji. Oto parę przykładów, ilustrujących tę wielką bolączkę niemal wszystkich przemysłowych zakładów w Polsce.

Dyrektor Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu mówi z ironią: „Czyż jest na świecie druga fabryka, w której byłaby taka wydajność pracy, jak w FSO? Plany miesięczne wykonywane są tu w 10 dni”. („Trybuna Ludu” 1/IV/58). Ten pozorny paradoks odtwarza jednak niemal ściśle stan faktyczny w tej fabryce. Wykonywane są tam w pierwszej dekadzie miesiąca 10 procent planu, a w ostatniej 60 procent. „Przez 20 dni panuje beczynność, łazikowanie i żółwie tempo pracy. Przez 10 dni — morderczy wyścig z czasem”. Przyczyną takiej rażącej nierytmiczności pracy są nieterminowe dostawy i nieodpowiednia ich jakość. Sprzyja to przerostom zatrudnienia, bo tylko odpowiednio liczna załoga może wykonać plan w krótkim najgorętszym okresie. Nic dziwnego więc, że w fabryce tej ilość pracowników osiągnęła już dziś 95 procent stanu ustalonego na przyszłość — kiedy nastąpi pełne uruchomienie produkcji, która obecnie wynosi zaledwie 50 procent przewidzianej.

Przykład drugi: Fabryka Urządzeń Mechanicznych w Porębie. („Trybuna Ludu” 2/II/58). Przerosty zatrudnienia nie są w niej tak duże, jak w wielu innych zakładach, ale oblicza

się, że można by zwolnić 10 procent załogi. Przeszkodą jest tu znów nierytmiczność pracy, wynikająca w dużej mierze z braków zaopatrzenia, które nie przychodzi na czas lub „kapie” w drobnych ilościach. W związku z tym zdarza się, iż w pierwszej dekadzie miesiąca nie oddaje się żadnej gotowej obrabiarki, w drugiej 8 sztuk, a w trzeciej aż 26. Przy tak nierównomiernym tempie pracy liczebność załogi, np. w dziale montażowym musi odpowiadać nie przeciętnemu, a największemu nasileniu robót, przystosowując się choć częściowo do okresu „szturmów”, koniecznych do wykonania planu.

I tu znów przykładów można by cytować bez liku. Jasne jest, że taka nierównomierna praca i związane z nią przerosty zatrudnienia wpływają demoralizująco na robotników. Demoralizująco działa nie tylko okres, kiedy pracy jest mało, kiedy robotnicy wążają się bez celu, lub pracują leniwie, bez pośpiechu, ale i okres „zrywu”, kiedy tempo pracy zmusza do niedokładności, nie liczenia się z technicznymi wskaźnikami i normami, powoduje brakorobstwo i marnowanie materiału. O marnotrawstwie w przemyśle pisało się i pisze wiele. Są fabryki (np. Zakłady im. Róży Luxemburg w Warszawie), gdzie piątą część produkcji stanowią braki.

Najczęściej jednak podkreśla się w prasie, że nadmiar ludzi w fabrykach powoduje rozluźnienie dyscypliny pracy i brak szacunku dla pracy. Wystarczy, aby w przedsiębiorstwie lub w jednym z jego oddziałów była niewielka grupa zbędnych pracowników, którzy nie mają co robić, lub są „poutykani” na przeróżnych zupełnie zbędnych funkcjach, aby wpływało to demoralizująco na resztę załogi, która zniechęca się do pracy i obniża jej ilość i jakość.

Nadmiar pracowników i nierównomierność pracy powoduje, oczywiście, straty czasu pracy i wzrost kosztów produkcji. W Państwowej Fabryce Wagonów („Pafawag”) we Wrocławiu oblicza się, że praktyczne wykorzystanie dnia roboczego wynosi zaledwie 6,5 godziny na dobę.

W skali krajowej doprowadza to do takich paradoksów, że chociaż obowiązuje ustawowo w Polsce 46 godzin pracy tygodniowo, robotnicy pracują przeciętnie tylko około 40 godzin na tydzień. Jeżeli zaś do normalnego czasu pracy dodać godziny nadliczbowe, które wynoszą dla całego przemysłu przeciętnie na robotnika 2,57 godzin tygodniowo, to średnia rzeczywistej pracowanego czasu pracy podniesie się zaledwie do około 43 godzin tygodniowo (dane za 1956 r.).

Różnica między nominalnym a faktycznym czasem pracy powstaje na skutek ogromnej ilości godzin nieprzepracowanych z różnych, nieusprawiedliwionych i usprawiedliwionych przyczyn; wyniosły one w 1956 r. średnio na robotnika aż 5,2 godzin tygodniowo („Głos Pracy” z 22/X/58).

Jeżeli zaś sięgnąć do porównań z innymi krajami, to zgodnie z raportem VIII Międzynarodowej Konferencji Pracy, w ubogiej Polsce faktyczny przeciętny czas pracy w ciągu tygod-

nia należy do najkrótszych na świecie. Krótszy faktycznie uzyskany czas pracy wykazały w 1956 r. tylko dwa tak wysoko uprzemysłowione i bogate kraje, jak St. Zjednoczone (40,5 godz. tygodniowo) i Kanada (41,1 godz. tygodniowo).

Jak bardzo sytuacja taka obciąża koszty produkcji ilustrują prowizoryczne obliczenia ekonomistów, którzy podają, że wypłaty z tytułu nieusprawiedliwionych godzin nadliczbowych, postojowych oraz wypłaty z tytułu nadmiernego zatrudnienia, będącego w dużej mierze skutkiem nierytmiczności pracy, wynoszą w samym tylko przemyśle uspołecznionym (bez budownictwa, transportu itp.) około 5 miliardów zł. rocznie („Trybuna Ludu” z 28/VII/58).

Zbyteczne nadwyżki siły roboczej w przedsiębiorstwach działają również hamująco na wprowadzenie mechanizacji i postępu technicznego, na co znów szereg przykładów można znaleźć w prasie krajowej. Nawet zakupione już i wstawione do fabryk automaty stoją od szeregu lat bezczynnie, bo wobec tak dużej ilości zbędnych ludzi, znaczyłoby to zwolnienie zbyt wielkiej liczby robotników.

Nikt już dziś w Polsce nie ma wątpliwości co do fatalnych skutków przerostów zatrudnienia, ale walka z tym zjawiskiem została oficjalnie podjęta dopiero z chwilą ogłoszenia uchwały XI Plenum KC. PZPR., a więc w końcu lutego br.

Uchwałą partii nadano wielki rozgłos. Pojawiły się dziesiątki artykułów w prasie, omawiających jej znaczenie, odbyto mnóstwo konferencji aktywu partyjnego, przedstawiciele KC partii wyruszyli w teren, zwoływano zebrania, podejmowano uchwały, słowem, zdawałoby się, że nastąpiła powszechna mobilizacja w tej sprawie.

Równocześnie zaś zaczęły się ukazywać kolejne zarządzenia rządu, które dawały szczegółowe dyrektywy i instrukcje, jak redukcje mają być przeprowadzone, (najważniejsze z nich: uchwała nr 42 i zarządzenie nr 44). Zarządy centralne otrzymały polecenie udzielania jak najdalej idącej pomocy poszczególnym przedsiębiorstwom; uruchomiono nawet 170 specjalnych zespołów, składających się z pracowników ministerstw, centralnych zarządów i instytutów naukowych, które miały objechać 270 ważniejszych zakładów, aby — w myśl dyrektyw uchwały 42 — dopomóc im w przeprowadzeniu gruntownego przeglądu stanu zatrudnienia, obsady poszczególnych oddziałów i stanowisk, dokładnej analizy organizacji pracy i wysunięcia wniosków co do jej usprawnienia.

Wydawało się też, że ogólna sytuacja na rynku pracy sprzyja podjętej akcji i że zamierzone redukcje nie zwiększą zbytnio ogólnego bezrobocia. Chociaż bowiem bezrobocie istnieje, odczuwa się jednak równocześnie duży brak rąk do pracy w niektórych przemysłach (górnictwo, budownictwo, przemysł włókienniczy itp.) na niektórych terenach (ziemie zachodnie, Bieszczady), a również i w niektórych zakładach pracy.

Wprawdzie brak jest głównie pracowników wykwalifiko-

wanych, a tych nie ma prawie wśród bezrobotnych, i nie zechcą się ich pozbywać zakłady pracy; wprawdzie jeśli chodzi o przesunięcia z jednego terenu na drugi, to działają tu tak ważne hamulce, jak brak mieszkań, powiązania rodzinne i inne powody (1), niemniej jednak pewne przesunięcia są możliwe.

Ponadto zmiana stosunków na wsi, większa opłacalność gospodarstw wiejskich, która spowodowała nawet pęd do zakupu ziemi, ułatwia — na razie — powrót na wieś tym, którzy pracując w fabrykach, posiadają niewielkie choćby gospodarstwa na wsi.

Ma tu też pewne znaczenie uregulowanie od 1 lipca sprawy rent i emerytur; bo choć są one jeszcze w wielu wypadkach niedostateczne, ułatwiają jednak redukcję emerytów.

A — co bardzo istotne — do roku 1960 włączają się na rynek pracy najniższe liczebnie powojenne roczniki.

Wiele więc przemawiało za tym, że likwidacja przerostów zatrudnienia została podjęta we właściwym czasie i powinna była dać szybkie efekty. Dotychczasowa jednak ocena wyników całej akcji wypada ujemnie. Podaje się wprawdzie w prasie szereg liczb zredukowanych pracowników na tym czy innym terenie, w takim czy innym zakładzie pracy, powołuje się na redukcje emerytów, wymienia się liczbę 20 tysięcy robotników-chłopów, którzy opuścili zakłady pracy i wrócili na wieś, ogólnie jednak stwierdza się, że dotychczasowe wyniki akcji są „niewielkie”, a w każdym razie „niewspółmierne do propagandy i włożonego w nią wysiłku organizacyjnego”.

Wśród zarzutów, wysuwanych co do metod przeprowadzania redukcji, podkreśla się dość powszechnie, że zakłady pracy potraktowały swe zadania formalnie i powierzchownie; że, nie docierając do źródeł przerostów zatrudnienia, nie opierały redukcji na analizie organizacji pracy, ale na przesłankach nieistotnych, a nieraz po prostu na „widzimisie”. Mówi się też o zwalnianiu ludzi ze względu na „osobiste porachunki”, o pozbywaniu się z zakładów pracy „niewygodnych ludzi”, lub też wytyka się odwrotne zjawisko: zakłady nie zwalniają zbędnych pracowników, żeby „nie mieć kłopotów i nie narażać się ludziom”.

W wielu zakładach pracy obserwuje się fakty przyjmowania nowych pracowników na miejsce zwalnianych, tak że powstaje „sytuacja paradoksalna: po likwidacji nadwyżek zatrudnienia okazuje się, że stan liczebny załogi jest większy, niż poprzednio” („Tygodnik Demokratyczny”, nr 26/58). A w każdym razie niewiele mniejszy. W Zakładach im. Waryńskiego w Warszawie, zwolniono do dn. 15 maja br. 35 pracowników, przyjęto zaś w tym czasie 30-tu. W Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego MDM zwolniono od 1 kwietnia br. 140 robotników,

(1) „Życie Gospodarcze” w nr 12/58 pisze: „Dawniej, przed kilkudziesięciu laty ludzie emigrowali do obcych krajów. Dzisiaj nie chcą emigrować na Śląsk”.

przyjmując w tym samym czasie 171. A na ogólną liczbę zatrudnionych tam 304 pracowników umysłowych, zwolniono 10 osób, a przyjęto 9. („Przeg. Zag. Soc.” nr 8-9/58).

Również krytycznie został oceniony przebieg zmniejszania nadmiernej liczby pracowników administracji centralnej. Wprawdzie zredukowano tu dość pokaźną ilość urzędników, ale ponieważ dość powszechnym zjawiskiem było przenoszenie pracowników z ministerstw do centralnych zarządów, a z centralnych zarządów do podległych im przedsiębiorstw, w rezultacie ogólna ilość pracowników administracji nie została zmniejszona, choć takie było przecież założenie redukcji.

Bo w ludowej Polsce stanowisko urzędnika jest oznaką kariery życiowej. Nikt nie chce z niego zrezygnować i pójść do fabryki, choć korzyść społeczna z tego byłaby z pewnością znacznie większa, niż z pracy „umysłowej” w urzędach do której tysiące zatrudnionych tam pracowników nie ma żadnych kwalifikacji.

I wreszcie na dowód, że zakłady pracy potraktowały likwidację przerostów zatrudnienia jako jednorazową i krótkotrwałą akcję, „Prz. Zag. Soc.” przytacza fakt, że bezpośrednio po jej rozpoczęciu, a więc w kwietniu, dał się zauważyć znaczny wzrost dyscypliny pracy w wielu zakładach: zmniejsza się absencja zarówno nieusprawiedliwiona jak i usprawiedliwiona, łącznie z chorobową, co łatwo daje się wytłumaczyć obawą przed zwolnieniami. Ale już w maju i czerwcu, kiedy pracownicy zorientowali się, że groźba redukcji nie jest taka straszna, obserwowane jest wyraźnie ponowne osłabienie dyscypliny pracy.

Jest rzeczą charakterystyczną dla stosunków w Polsce, że próbuje się szukać przyczyn tak słabych dotychczasowych wyników zmniejszania przerostów zatrudnienia w „złej woli” lub „nieudolności” kierowników przedsiębiorstw, w „braku uczuć patriotycznych”, „niskiej świadomości politycznej” czy też „braku poczucia odpowiedzialności za wyniki gospodarcze kraju”. Uważa się więc, że na takich uczuciowych czy politycznych przesłankach miałyby być oparte rozwiązanie jednego z podstawowych problemów ekonomicznych, jakim jest racjonalna gospodarka siłą roboczą w kraju. Już choćby z punktu widzenia marksistowskiego jest to dość dziwne stanowisko.

Takiemu pogładowi przeciwstawia się jednak zdecydowanie „Życie Gospodarcze”, które w szeregu artykułów (1) udowadnia, że przyczyny niepowodzeń trzeba szukać przede wszystkim w dziedzinie ekonomiki.

I to jest jedynie słuszne stanowisko. Zarówno bowiem w założeniach, jak i w przebiegu zmniejszania przerostów zatrudnienia odbijają się wyraźnie zasadnicze błędy dotychczasowego centralistycznego systemu zarządzania, który zamiast bodźców ekonomicznych stosuje nakazy.

(1) Mieczysław Kabaj: „Groźne zjawiska i konflikty” — nr 3/58. „Utajone bezrobocie” — nr 8/58, „Próba terapii” — nr 12/58, „Proces nie akcja” — nr 31/58.

Zacznijmy od sprawy narzuconych zakładom pracy terminów. Pierwsza uchwała (nr 42) Rady Ministrów ukazała się 26 lutego, podstawowe zarządzenie Prezesa Rady Ministrów (nr 44) — w dniu 11 marca, a termin przedłożenia przez przedsiębiorstwa do centralnych zarządów wniosków o zmniejszeniu zatrudnienia został wyznaczony na 31 marca, a więc w ciągu około miesiąca.

Ba, „Życie Gospodarcze” przytacza i bardziej jaskrawe fakty, jak np. Zakładów Metalowych w Skarżysku Kamiennej. Po naradzie w centralnym zarządzie w dn. 19 marca, powołano w zakładzie tym w dn. 22 marca komisję dla ustalenia przerostów zatrudnienia, ale termin przesłania wniosków do centralnego zarządu pozostał bez zmiany, tj. do 31 marca. Czyż można w ciągu kilku dni, czy nawet kilku tygodni dokonać tak poważnego zadania: przeprowadzić dokładną analizę zatrudnienia w przedsiębiorstwie, opracować wnioski o zmianach organizacyjnych i ustalić listę osób do zwolnienia zarówno według kryteriów słusznych z punktu widzenia interesów produkcji, jak i sprawiedliwych z punktu widzenia społecznego?

Nie lepiej przedstawiała się sprawa bodźców ekonomicznych. Poprzednio przedsiębiorstwa, które, mając nadmiar pracowników, redukowały pewną ich ilość, mogły część zaoszczędzonego w ten sposób funduszu płac przeznaczać na podwyżki dla pozostałych pracowników. Zasada zupełnie słuszna, wydajność bowiem pracy — przy zmniejszonym zespole — musiała przecież wzrastać.

Natomiast uchwała 42 zlecała cały zaoszczędzony przy redukcjach fundusz odprowadzać do instancji nadrzędnych. Rząd chciał w ten sposób — drogą zmniejszenia stanu zatrudnienia w całym kraju — zdobyć fundusze na podwyżki emerytur i rent, jakie miały obowiązywać od 1 lipca oraz na podwyżki płac niektórych kategorii pracowników (nauczyciele, służba zdrowia itp.). Cel bardzo szlachetny, ale metoda niewłaściwa i nierealna. Stąd zapewne ustalono tak paradoksalnie krótkie terminy tej akcji i stąd powstały antybodźce do przeprowadzania redukcji.

Jak bowiem wyglądało to w praktyce? Jaskrawą ilustrację daje „Życie Gospodarcze”, przytaczając anonimową wypowiedź jednego z dyrektorów. Mówi on: „Jesteśmy w stanie zwolnić w obecnych warunkach około 1000 osób. Jeżeli dokonamy pewnych zmian organizacyjnych, będziemy w stanie zmniejszyć zatrudnienie o dalsze 500 osób. W ramach „akcji 42” zwalniamy tylko 300 osób. Z resztą poczekamy, część zwolnimy poza „akcją 42”, po prostu po cichu”. Dlaczego? Wówczas bowiem nie będzie obowiązywała zasada odprowadzenia zaoszczędzonych funduszy do instancji nadrzędnej, pozostanie w przedsiębiorstwie fundusz płac, w ramach którego łatwiej będzie, po zwolnieniu części pracowników, przeprowadzić pewne podwyżki dla pozostałych. A ponieważ sprawa redukcji jest bardzo niepopularna, a poziom płac zbyt niski, jest to zrozumiałe bodziec do jej przeprowadzania.

Dla ilustracji — jeszcze jeden przykład niezyciowych nakazów. Zarządzenie 44 ustala, że oszczędności funduszu płac, uzyskane przez zwolnienie pracowników umysłowych i dniówkowych winny być całkowicie odprowadzane do instancji wyższych, natomiast przy zwalnianiu pracowników akordowych, część oszczędności zostaje w przedsiębiorstwie. W związku z tym dała się zauważyć tendencja do zwalniania raczej pracowników akordowych, a więc zatrudnionych bezpośrednio przy produkcji, niż pracowników pomocniczych, których właśnie jest w przemyśle za dużo. A więc znów paradoks.

Nie powiodły się dotychczasowe próby zmniejszenia stanu zatrudnienia, nie dały wyników wszystkie wydane w tej sprawie uchwały i zarządzenia; wobec tego ukazała się dn. 21 października br. jeszcze jedna uchwała Rady Ministrów, która przyznaje właściwie niepowodzenie całej akcji. Stwierdza ona, że dotychczasowy wysiłek w dziedzinie porządkowania spraw zatrudnienia ograniczał się do realizacji zadań doraźnych, należy więc teraz nakazać zakładom pracy stałe regulowanie spraw zatrudnienia. W obawie zaś, że i to nie da wyników, uchwała poleca wszystkim resortom ściśle ustalenie na rok 1959 stanu zatrudnienia w każdym dziale gospodarki, ze szczególnym uwzględnieniem zmniejszenia liczby pracowników administracyjno-biurowych.

Ale czy ta nowa uchwała może dać lepsze wyniki? Czy nie pozostanie ona jednym z wielu zarządzeń, sypiących się jak z rękawa przy dzisiejszym scentralizowanym i nakazowym systemie zarządzania gospodarką kraju?

Wszystkie dotychczasowe zarządzenia rządu zmierzały do ograniczenia samego tylko zjawiska przerostów zatrudnienia, nie próbowały natomiast likwidować jego źródeł.

A dla likwidacji nadmiaru pracowników, dla racjonalnej gospodarki siłą roboczą, muszą być stworzone realne warunki i zacząć działać właściwe bodźce ekonomiczne. Realne warunki, to przede wszystkim likwidacja bałaganu i nierównomierności w zaopatrzeniu, to oparcie tzw. kooperacji przedsiębiorstw na zdrowych gospodarczych podstawach. Bodźce i przesłanki ekonomiczne mogą działać tylko przy wzroście samodzielności przedsiębiorstw, przywróceniu pojęcia rentowności produkcji, zaniechaniu lub sprowadzeniu do minimum działania drogą nakazową, przy faktycznej, a nie pozornej tylko likwidacji centralnych zarządów, słowem dopiero wówczas, kiedy nastąpią zasadnicze zmiany modelu gospodarczego, o których mówi się bez przerwy od dwóch lat, a których, jak dotychczas nie realizuje się prawie wcale, lub z wielkimi oporami.

Przerosty zatrudnienia to jeden z objawów choroby, jaka toczy dziś gospodarkę w Polsce. Czy nie słuszniej jest leczyć samą chorobę, niż zwalczać tylko jej objawy?

## Wolna Trybuna

# Wody terytorialne „rewizjonizmu”

Celem ochrony wybrzeża państwa posiadające dostęp do morza zastrzegają sobie pas wodny, traktując przekroczenie go przez obce okręty za akt agresji, równy przekroczeniu granic. Jakkolwiek szerokość pasa bywa rzeczą sporną, zasada wód terytorialnych jest ogólnie przyjęta i przestrzegana.

Wyda mi się, że p. Juliusz Mieroszewski artykułem swoim „Emigracja „rewizjonistyczna” („Kultura” Nr 10/132) zasadę tę naruszył. Nie oznacza to bym temat „rewizjonizmu” uważał za tabu, sądząc jednak, iż ze względu na niemożność prowadzenia dialogu ze stroną zainteresowaną, zasada „fair play’u” musi być szczególnie ściśle przestrzegana.

Pierwszym i nieodzownym warunkiem „fair play’u” jest zajęcie jednej tylko pozycji, tak w celach zaczepnych jak i obronnych. Jest to zresztą i ostrożniejsze i wygodniejsze niż zajmowanie trzech „stołków” równocześnie, już to chociażby dlatego, iż wyklucza konieczność ustawicznego krążenia między nimi. Nieprzestrzeganie tej zasady oznacza więc niewygodę dla stron obu, gdyż równocześnie zmusza stronę przeciwną do słuchania na stojąco.

### DLACZEGO JA ?

Pytanie tak sformułowane, to rzecz do rozważenia piszącego, przedtem nim zasiądzie do maszyny. Stawiać je można (i trzeba) jak najczęściej, nie zawsze jednak rysuje się ono równie ostro, co w wypadku niniejszej polemiki. Siedząc w okopach „czystej literatury”, nie mam obowiązku wychylać z nich głowy, szczególnie zaś, gdy pociski lecą gęsto i celnie i to ze wszystkich stron. Doprawdy, rozumiem sytuację p. Mieroszewskiego gdy pisze, o atakach nań ze strony prasy komunistycznej i epitetach którymi równocześnie obrzuca go Emigracja. P. Mieroszewski jest jednak publicystą poli-

*Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

tycznym i tego typu akompaniament należy do niebezpieczeństw zawodowych. Lecz ja ?

Spróbuję odpowiedź na to pytanie ująć w punkty, sądząc, iż może się ona przyczynić do meritum sprawy :

a) Zjawisko „rewizjonizmu” uważam za rzecz niezmiernie ważną, przemilczaną, ze zrozumiałych względów, zarówno tu jak i w Kraju.

b) „Kultura” jest jedynym pismem sprawę tę poruszającym, dobrze by było, gdyby poruszała ją możliwie wszechstronnie, do czego każda polemika jest wkładem cennym.

c) Sprawa przyszłości Socjalizmu w Polsce jest mi bliska, chciałbym, w miarę moich skromnych możliwości, przyczynić się do jej ostatecznej wygranej. Uważając tendencje „rewizjonistyczne” za świadectwo żywotności myśli lewicowej i gwarancję jej dalszego rozwoju, bałbym się rozbrojenia jej przedstawicieli, poprzez wyizolowanie ich ze społeczeństwa, na które mogą oddziaływać.

### O TRZECH STOŁKACH, ZAJMOWANYCH RÓWNOCZEŚNIE

Czy można być antykomunistą, sprzyjając równocześnie siłom w ruchu komunistycznym najbardziej aktywnym, zdążającym do umocnienia doktryny raczej niż do jej obalenia ? Odpowiedź moja byłaby raczej negatywna. Sądząc, iż do wniosków podobnych dojść musiał w swoim czasie również i p. Mieroszewski, gdy w licznych artykułach drukowanych na łamach „Kultury”, zajął i określił stanowisko „racjonalistycznego sceptycyzmu”. Cechą wszelkiego sceptycyzmu jest nieufność, racjonalizmu zaś rozważa, pod którą podaje się napotkany problem. Stanowisko takie implikuje więc, w wypadku rozeznania sytuacji politycznej, duży stopień „detachment” zachowanie przywileju osądu stron obydwu, jak również i zachowanie prawa niezależnego wyboru na przyszłość. P. Mieroszewski złożył niejednokrotnie dowody konsekwencji w tej mierze; pozwolę sobie przypomnieć chociażby jego publicystykę z przelomu lat 56-57. Czyżby więc doszedł do wniosku, że rzecz na dłuższą metę jest niemożliwa ? Ze w sytuacji dzisiejszej wyboru dokonuje się raz jeden, wybór zaś dalszy dotyczy jedynie odcinka walki ? Sądząc iż mechanizm jest inny, doszukiwałbym się go w niezgodzie na akceptację własnej porażki. Tym właśnie zamierzam wyjaśnić zaanektowanie przez p. Mieroszewskiego dwu innych „stołków politycznych” — antykomunizmu i rewizjonizmu równocześnie.

Antykomunistycznemu nastawieniu, daje p. Mieroszewski wyraz w omawianym artykule niejednokrotnie, jakkolwiek odróżnia go, i słusznie, od antykomunizmu „zawodowych aparatczyków”. „Zlikwidować komunizm można tylko siłą” — pisze — „tzn. na drodze zwycięskiej wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Jeżeli odrzucamy to rozwiązanie ze względów strategicznych, biologicznych, humanitarnych czy jakichkolwiek innych — pozostaje nam tylko nadzieja na powolną ewolucję komunizmu” (str. 86). Wreszcie cytat drugi „Najgroźniejszymi dla komunizmu nie są pravicowcy à la Bolesław Piasecki lecz lewicowi rewizjonści” (85), co najmniej podaje w wątpliwość stopień „detachment” autora.

Nie tu jednak jest główne źródło moich obiekcji. P. Mieroszewski prze-



nosi własne nadzieje na „rewizjonistów”, przypisując im wallenrodyzm, charakter klina rozszczepiającego ruch komunistyczny. Własną hipotezę traktuje on jako pewnik, co z kolei dopomaga mu do bezbolesnego przejścia na pozycje rewizjonistyczne. Dokonawszy tak ryzykownego kroku, odrzuca niepotrzebny mu już argument, ugruntowując się silniej na nowo zdobytej pozycji. Jakkolwiek explicite nigdy nie określa siebie jako „rewizjonisty”, pozwala sprowadzić się z nimi do wspólnego mianownika, cytując słowa „pewnego młodego człowieka”: „Dziwne i charakterystyczne dla czasów, w których wypadło nam żyć jest przede wszystkim to, że tacy ludzie jak ja i pan należymy do nieorganizowanego podziemia”.

O ile argument, stanowiący punkt wyjścia, staje się po przekroczeniu granicy nieważny, świadczy fakt, iż w dalszym ciągu artykułu p. Mieroszewski sam przyznaje, że „rewizjonizm” z antykomunizmem nie wiele ma wspólnego. Przedstawiając trudności na jakie natknąłby się „rewizjonista” pragnący kontynuować swoją działalność na Zachodzie, mówi on: „praktycznie rzecz biorąc stoi przed nim otworem tylko droga odstępcy a nie reformatora”. Pomijając już fakt, iż o nazwie Komunista decyduje również i działalność w ramach Partii Komunistycznej, człowiek, który boi się „odstępstwa” nie może być uważany za wroga. Tak tedy rzekomy wallenrodyzm „rewizjonistów” wyczerpuje się tuż po przekroczeniu granicy.

Zaiste, jedynie przy dającym się odczuć braku sprecyzowania pojęć takich jak „komunizm”, „socjalizm” etc., można sobie pozwolić na podobną gimnastykę dialektyczną. Z tym jednak, wkraczamy w inny już aspekt zagadnienia.

## O KRAŻENIU MIĘDZY TRZEMA STOŁKAMI

Brak sprecyzowania pojęć jest dziś zjawiskiem nagminnym, utrudniającym i tak już wątpliwą możliwość porozumienia. Procesy zachodzące w świecie współczesnym postępują szybciej niż rozwój słownictwa, tradycyjne definicje nie podlegają rewizji, nawyki zaś ludzi kształtujących swoją terminologię na rzeczywistości wczorajszej dopełniają miary chaosu.

Sądzę iż wielką pomocą i usunięciem wielu nieporozumień stałby się artykuł p. Mieroszewskiego wyjaśniający i ustalający granice terminów którymi posługuje się on w swojej publicystyce na codzień. Być może zniknęłyby wtedy z jego artykułów niejasności, w rodzaju przytoczonych poniżej:

„Niemniej faktem jest, że walka i dyskusja dotycząca **l o s ó w s o c j a l i z m u** toczy się po tamtej stronie barykady”. „...po tamtej stronie i dziś w zmienionych warunkach — w klubach i w czterech ścianach prywatnych pokojów toczą się dyskusje na tematy związane z **p r z e b u d o w ą k o m u n i z m u w s o c j a l i z m**”. (podkreślenia moje J. S. S.).

Zakres pojęć „socjalizm” i „komunizm” jest w przytoczonym fragmencie tak obszerny, iż dopuszcza możliwość dowolnej nieomal interpretacji. Żadna z nich nie obali jednak faktu, iż państwa „obozu socjalistycznego” poza fazę socjalizmu nie wyszły jeszcze, nie byłaby to więc kwestia „przebudowy komunizmu w socjalizm”, lecz zatrzymania się na obecnym etapie.

Rzecz jasna, nie o to p. Mieroszewskiemu chodziło. Klucza do własnej interpretacji słowa „komunizm” dostarcza p. Mieroszewski na str. 88 pisząc: „Jeżeli Karol Marks mógł w Londynie pracować spokojnie nad swoimi pismami, dlaczego w tym samym Londynie nie mogliby pracować ci, którzy dążą do naprawy jego systemu, zniekształconego przez sowieckich imperialistów”. Cóż stąd, gdy klucz jest zepsuty? Na str. 83 bowiem, p. Mieroszewski stwierdził: „Komunizm jest niewątpliwie instrumentem imperializmu sowieckiego, ale jest również czymś więcej”.

Jaki jest cel, do realizacji którego miałyby zdążyć nowa „emigracja rewizjonistyczna”? Nie jest nim walka z komunizmem, określonym nawet jako „instrument imperializmu sowieckiego”, przede wszystkim dlatego, iż komunizm to również i „coś więcej”. Nie może nim być walka również i z tego względu, że, w myśl określenia p. Mieroszewskiego, ludzie ci „dążą do naprawy jego (Marksa) systemu”. Reformator zaś, zdąża do wzmocnienia i ugruntowania ruchu, raczej niż do pokonania go, każda zaś walka ma na celu zwycięstwo. Reformator, dalej, pozostając wewnątrz ruchu, bojący się „odstępstwa”, za cel swojego działania uważa oczyszczenie go z elementów dla ruchu szkodliwych, nie wyrzekając się przy tym jego zdobyczy i osiągnięć. Zdarzyć się może co prawda, iż działalność wroga i reformatora pokrywają się na pewnym odcinku, zbieżność ta jest jednakże, na dłuższą metę nie do utrzymania. Jeżeli polityka jest również sztuką przewidywań, trudno byłoby oczekiwać od państw antykomunistycznych ułatwień dla ludzi, których działalność jest dla państw tych, na dłuższą metę, większym zagrożeniem aniżeli działalność „aparatchków”.

Tylko w wypadku, gdyby antykomunistyczni politycy Zachodni doszli do wniosku, iż akcja „rewizjonistów” rozkłada i paraliżuje ruch komunistyczny, byłiby oni skłonni do udzielenia „rewizjonistom” daleko idącej pomocy, od prawa ażylu począwszy, na niezależności materialnej skończywszy. Zbyt dobrze bowiem orientuje się p. Mieroszewski zarówno w nastrojach, jak i w niezależności finansowej instytucji emigracyjnych, bym mógł poważnie brać jego apel o pomoc dla „rewizjonistów” ze strony „niezależnej, polskiej emigracyjnej instytucji”.

Załóżmy jednak, iż korzyści taktyczne i bliskowzrocność antykomunistycznych polityków Zachodnich umożliwiłyby powstanie takowej emigracji. Czyż w takim wypadku „rewizjoniści” mogliby liczyć na oddźwięk i wpływy wśród aparatu partyjnego, jedynej instancji zdolnej do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian? Czyż aktywność partyjny nie straciłby zainteresowania ich działalnością, podobnie jak nie interesuje go, z punktu widzenia ideologicznego, działalność „zawodowych antykomunistów”? Obawiam się, iż nie antykomunści Zachodni, a same reguły gry rzuciłyby ową emigrację w ramiona „najczarniejszej reakcji”.

Nie sądzę jednak, by tego rodzaju obawy były realne. Nieliczne rządy Zachodnie, które tolerują własne partie komunistyczne, nie kwapią się do ułatwiania działalności ludziom, których cele nie pokrywają się z ich własnymi. Myślę, iż nie docenia p. Mieroszewski „prawicy” pisząc, iż interesują ją tylko „aspekt polityczny konfliktu, a ideologia tylko o tyle, o ile może być wygrana w sensie propagandowym”. Dwie ścierające się koncepcje życia, produkcji i dystrybucji, nie mogą pozwolić sobie na rekrutowanie taktycznych sprzymierzeńców spośród najgorętszych przeciwników ideowych.

## O STOJĄCYCH UCZESTNIKACH DISKUSJI

Używając, świadomie i wielokrotnie, w niniejszej polemice terminu „rewizjonisci”, robiłem to z myślą o zakończeniu artykułu, w którym spróbuję ścisłość tego terminu podać w wątpliwość. Przyznaję, iż zdołałem się doń przyzwyczaić, i rozstaję się z nim z żalem, niemniej gwoli ścisłości wyznaczyć muszę, iż termin ów przywodzi mi na myśl, w pierwszym rzędzie, opowiadanie Thurbera — o jednorożcu, który jest bestią mitologiczną.

Objęcie szeregu ludzi wspólną nazwą „rewizjonisci”, implikuje bowiem połączenie ich w grupę o charakterze politycznym, to zaś wydaje mi się niesłuszne. Grupa bowiem, posiadająca określony charakter polityczny, musi posiadać mniej lub bardziej opracowany program, zrąb organizacyjny, czy chociażby jądro, wokół którego mogłyby się skupiać. Same tendencje, wspólne zresztą wielu ludziom we wszystkich krajach „obozu socjalistycznego”, do takiego grupowania nie upoważniają. Jeśli nawet na terenie Polski istniały do niedawna załączki podobnych ośrodków, zostały one dość dokładnie rozproszone, całe zaś ożywienie powróciło znowu do okresu „tendencji rewizjonistycznych”. W najlepszym więc wypadku można mówić o poszczególnych ludziach, którym nie pozwolono zorganizować się w grupę, oraz o tendencjach którym nie dane było rozwinąć się w program. Część ich inicjatywy przejęła Partia, resztę uznano za robotę „na obecnym etapie szkodliwą”.

Sytuacja ich, w chwili obecnej, na pewno nie jest godna zazdrości. Część z nich wycofała się z życia politycznego całkowicie, niektórzy powracają do „równowagi”, niedostrzegalnie niemal bijąc się przy tym w piersi. Większość, wnosząc z odbytych rozmów i wypowiedzi w prasie, przynosi swoją działalność na teren zawodowy. Nie sądzę, by był to kamufaż. Zdają sobie oni sprawę dość dokładnie z faktu, iż zmiany nastąpić mogą jedynie przy współdziałaniu aparatu partyjnego, skoro ów zaś protestuje przeciwko „gwałtowi przez uszy”, zaczekać należy aż słuchać zechce i... będzie mógł. Myślę, iż w sytuacji obecnej, jest to krok ze wszystkich możliwych najrozsądniejszy.

Jerzy S. SITO

## Dwa rozłamy

W swym artykule „Materiały do refleksji” p. Mieroszewski napisał:

„Trzeba powiedzieć, że Chruszczow jak dotąd — wykazał dużo zrzeczności w rozgrywce „z narodowym komunizmem”. Całość tego zagadnienia rozpatrywana z perspektywy Warszawy oznacza, że Gomułka otrzymał koncesję na swój model pod warunkiem dokonania pewnych dość istotnych korektur”.

Czyżby tak było naprawdę? — Myślę że głębsze uzasadnienie tego stwierdzenia byłoby dość trudne. Jest to niestety wyraz dalszego ciągu tych poglądów które mówią, że o wszystkich ważnych procesach i zmianach w Kraju decyduje tylko i wyłącznie Moskwa.

Skoro tak jest istotnie, to nie mielibyśmy już potrzeby dalszego i dłuższego zatrzymywania się nad artykułem, w którym autor rozwija swe słuszne poglądy i wskazuje na konieczność bliższego związania się emigracji z określonymi siłami polityczno-społecznymi w Kraju, gdyż i tak zadecyduje tam o wszystkim sam Chruszczow — bez udziału tych sił polityczno-społecznych — o których pisze p. Mieroszewski, i bez nas. Dla mnie znające zakurzynową rzeczywistość nie tylko z pozycji emigranta jest to zupełnie nieściste. To samo — choć innymi słowami — potwierdza „pierwszy” październikowy przybyśz do Kraju Henryk Rozpędowski i daje temu wyraz w tym samym numerze „Kultury”. Można przyjąć, że Rozpędowski, który był redaktorem zlikwidowanego przez reżym pisma „Ziemia i morze” był w wielu sprawach zorientowany niezłe i wie co pisze. Posłuchajmy jednak co pisze Rozpędowski:

„Wydaje się, że wielu obserwatorów zagranicznych, w swych rozważaniach na temat sytuacji w Polsce, nadbyt duże znaczenie przywiązuje do dyktatu sytuacji z e w n ę t r z e j. (podkr. moje). Taki dyktat rzecz oczywista istnieje. Jednak nie decyduje. Nie mógłby mieć znaczenia, gdyby napotykał na rozważny opór w Kraju. Opór ten maleje, od góry, celowo i świadomie, zmniejsza się napięcie psychiczne społeczeństwa i wszystko co mogłoby ten opór podsycać. Władysław Gomułka reprezentuje starą bolszewicką szkołę komunistów.

Jak więc widzimy, już pierwszy człowiek, któremu dano możność swobodnej wypowiedzi obala to z punktu. A nie mam żadnych wątpliwości, że te możliwości oporu i wyłamania się spod prób moskiewskiego dyktatu są znacznie większe niż się na ogół zdaje.

Tu więc twierdzenie Juliusza Mieroszewskiego, który mówi, „że demokratyczna rewolucja październikowa zawiodła w 80% z przyczyn zewnętrznych” jest — o tyleż procent chybione.

De facto, z rewolucji październikowej, której byliśmy świadkami mogła się wykroić swoboda i niezależność znacznie większa — niż ta, która jest — i maleje. J. Mieroszewski miesza tu na wyrost sprawy zewnętrzne z wewnętrznymi i niemal wszystko przypisuje wpływom zewnętrznym, gdy tak nie jest. Jest to rezultat fałszywego, powiedziałbym literackiego rozeznania tła wydarzeń październikowych.

Mieroszewski występując z bardzo cenną inicjatywą, która niewątpliwie jest rezultatem jego głębokich przemyśleń powinien również dokonać rewizji i tego swego poglądu i dopiero wtedy, jego obraz rzeczywistości rzeczywistej nabierze barwy właściwej. Ma on jednak niewątpliwie rację, gdy pisze:

„Śmiem twierdzić, że poza zespołem „Kultury” nikt na emigracji nie brał udziału w dyskusjach rewizjonistów, ani nikt nie angażował się po ich stronie”.

To twierdzenie jest częściowo niecisłe. Bo w dniu 5 maja 1957 roku — ukazał się chyba przez przeoczenie redaktora londyńskiego „Tygodnika” mój artykuł pt. „Z INNEJ POZYCJI”, w którym pisałem właśnie o tym, o czym dopiero dziś pisze p. J. Mieroszewski. Ale mój artykuł pozostał przez publicystów niezauważony. Ile też moich artykułów w ciągu trzech lat zostało odrzuconych przez różne redakcje emigracyjne nie warto tu pisać. Niestety, ludzie przybywający na emigrację nie mają żadnego organu by mogli powiedzieć coś innego — niż to — czego emigracja pragnie, i czemu zawsze jest gotowa dać miejsce, na łamach swoich pism. I istotnie, jedynym pismem, w którym kilku uchodźcom udało się wypowiedzieć była paryska „Kultura”.

Fetowaliśmy na emigracji Zawieyskiego i Kisiele, i innych, ale młodych nikt tu nie zapraszał. Uznanie literaci i pisarze zawężili wiele rzeczy i widzieli je wyłącznie przez pryzmat zagadnień wyłącznie pisarskich i wydawniczych (nie wszyscy) ale to było. Zagadnienie wolności w sztuce jest znacznie szersze i nie może być traktowane jako cel sam w sobie i w oderwaniu od wielkich zagadnień społecznych. Kto tego nie rozumie może zabrać swoje lary i penaty i odejść. Obejdźmy się bez niego. Zagadnienie jednak potraktowano wyłącznie z małego podwórka i wskutek tego powstał mały konik trojański bardzo zręcznie wykorzystany przez reżym. Na przykład słynnej uchwały londyńskiego Związku Pisarzy z którą rzeczywiście trudno się solidaryzować, drukuje się w Kraju kilku co nieszkodliwszych pisarzy, i co z tego? — Co dalej...? Mamy tu teraz wielu krajowych komiwojażerów kultury na wynos, gdy w Kraju zdołano już zamrozić wszystkie co szlachetniejsze pióra. Myślę, że Zawieyski i Kisiel nie mogliby nam dziś powtórzyć tego co nam przedtem z taką wiarą głosili. Ich rozpoznanie Października było również i jest jeszcze w dalszym ciągu fałszywe. A i ostatni gest tej grupy o niczym jeszcze nie świadczy. W sytuacji gdy: Jastrun, Ważyk, Kott, Andrzejewski i inni odrzucają z trzaskiem legitymacje PZPR dalszy udział tej grupy w pracach martwego parlamentu Gomułki jest co najmniej niezrozumiałe. Grupa ta uchodząca za par excellence katolicką ponosi również odpowiedzialność moralną za likwidację Października jak i też za likwidację ruchu młodzieżowych rewizjonistów. Czyżby o tym co należy czynić trzeba było — i w dalszym ciągu należy — pouczać...?

Grupa ta tak samo fałszywie — jak i część emigracji — postawiła na Październik KC i Gomułki, a nie na Październik młodych. Odrabianie tych błędów będzie bardzo ciężkie. Wszystkie twierdzenia, że zmiany nastąpiły na skutek silnych nacisków Moskwy są wyssane z palca. Patrzcie! — jak wiele Gomułka mógł przedtem — a dziś już nic nie może. Gomułka, ciasny doktryner, miast oprzeć się na dynamicznym ruchu młodych zdolnym do rzeczywistej przebudowy i naprawy chorego organu państwa wybrał drogę która w konsekwencji prowadzi go prosto na skraj przepaści.

Przegrany Październik ma jednak to do siebie, że zdarł łuski i zasłony i, że wykrystalizował otwarte linie politycznego podziału, i odsłonił przed społeczeństwem i jego klasą pracującą wszystkie przysze i zarysowujące się już teraz możliwości i nowe drogi, które kiedyś — we właściwym czasie — będą wykorzystane należycie. Zaslugą Października jest również to, że pękły

wszystkie mity. I otrząśnięto się w końcu z czadu marksizmu, któremu ulegają nawet niektórzy zachodni socjaliści. Jest pewne, że prawdziwy socjalizm nie będzie już nigdy sięgał do marksizmu. Epoka zmierzchu marksizmu rozpoczęła się już dawno a jej rzekome wartości podtrzymywane są jedynie siłą. I jeżeli kiedykolwiek będziemy świadkami wyzwolenia Kraju i budowy socjalizmu to będzie to socjalizm bez Marksa. Jego budowniczymi będą dzisiejsi rewizjoniści, którym jak słusznie pisał Juliusz Mieroszewski młoda emigracja polska winna wyjść na spotkanie.

O sprawach tych pisałem szerzej dnia 5 maja 1957 roku w londyńskim „Tygodniku”. Cytuję tu co ważniejsze wypowiedzi:

„Tych publicystów fakty zaistniałe w Kraju i zarysowujące się tam linie podziału i fronty walki obchodzą nie wiele. Bowiem je z wyzyna swych rozwiązań problemów światowych — zaledwie zauważają i rejestrują. Te fakty, które tak wymownie świadczą o możliwości przerzucenia się emigracyjnej publicystyki na krajowy front walki, który jest w tej chwili jedyny, również dla nich nic nie znaczą. Bo jedni, tkwią nadal w iluzjach i fantazji, drudzy, zamykają oczy na wszelkie groźne zjawiska i fakty.

Zdaje sobie z tego sprawę polski „Walter Lippmann”, który dla jakiegoś takiego ustosunkowania się do ostatnich wydarzeń w Kraju potrzebował blisko czterech miesięcy czasu by o właściwych tam liniach podziału wyrobić sobie jakiś dokładniejszy obraz.

Z obecnych jego oświadczeń, nie wynika jednak, by udało mu się wychwycić istotny sens, który by — po dokładniejszym rozeznaniu rzeczy istotnych i faktów — pozwolił mu na postawienie właściwej diagnozy politycznej. A fakty mówią. — Wobec bankructwa wszelkich dotychczasowych założeń i wobec braku założeń dalszych i również konkretnych faktów — zaistniałych po tej stronie — diagnoza winna brzmieć: Zaistniałe w Kraju wydarzenia, o dużym dla emigracji znaczeniu politycznym winny spowodować przerzucenie punktu ciężkości emigracyjnej publicystyki politycznej na linie walki przebiegające w Kraju. Usługi jakie w walce o demokrację można oddać krajowi z tej pozycji mogą się okazać niezwykle cenne.

W owym czasie pisanie jaśniej tego o czym dziś można już pisać otwarcie byłoby po prostu naiwnością, bo któżby to wydrukował? Z tego artykułu cytuję jedynie wyjątki, które jednak dają możliwość zorientowania się czytelnikowi, iż chodziło właśnie o to, o czym już dziś, można i należy pisać całkiem otwarcie. Mówiłem wówczas również i o możliwościach nacisków i interwencji i pisałem:

— Interwencja?... Owszem, może być ale tylko ze strony Rosji. Ale, nie jest to już sprawa tak prosta — jak była w Październiku. A co jest obecnie wysuwane przez wszystkich na wyrost. To ten sam straszak, który niegdyś zmęczał Zachód przed Stalinem. To tylko częściowa racja — która ma pozwolić komunistom polskim uszytnienie swego stanowiska i umocnienie pozycji przed napierającym ruchem wolnościowo rewolucyjnym i społecznym, w Kraju. Teraz emigracja musi się nauczyć rozróżniać pomiędzy tym co niegdyś bez-

ceremonialnie pakowała do jednego worka: Komunista, socjalista, rewolucjonista itd... To już nie jest jednoznaczne. Teraz wśród nich znajdują się i najłepsze.

Troska o praktyczny wyraz hasel październikowych, które stanowią możliwe obecne maksimum żądań winna narzucić nam obowiązek przetrwania się na te właśnie linie walki — skoro inne, są tylko wyimaginowane — i de facto nie istnieją. Walka emigracji z reżymem z pozycji ideologicznie skrajnie przeciwnych wyłącza z góry jakąkolwiek pomoc dla Kraju. Po tej stronie przekonywać nie ma kogo. Aktyw publicystyczno-społeczny nie wybrał w Kraju jako swej drogi negacji wszystkiego. Taka postawa przesądza zawsze o przegranej. Droga jaką wybrał zapewnia mu możliwość szerokiego oddziaływania na opinię i zapewnia możliwość jakichś sukcesów.

W walce poglądów o nową strukturę polityczno-gospodarczą Polski odgrywa on już dziś dużą rolę, podczas gdy publicystyka emigracyjna szermuje w starych opłotkach i rozprasza się w elukubratywnych rozmyślaniach. Akceptując Październik — co zresztą niektórzy uczynili dostatecznie głośno i słusznie, winniśmy być konsekwentnymi i wziąć w nim pełny udział o ile nie chcemy by owoce tego sukcesu, w którym niestety nie mamy żadnego udziału nie poszły na marne. A co się już groźnie zarysowuje.

Nie jestem Pytią i nie było to żadne prorocstwo, ale to mógł sobie każdy myślący polityk łatwo wydedukować. I pisałem:

Czyż nie lepiej stanąć w krajowym froncie walki obok takich niewątpliwie uczciwych ludzi, jak: prof. Kotarbiński, Kisielewski, Godek, Ehrlich, Lasota i wielu innych? Cena za ten udział w walce jest bardzo niska. Chodzi po prostu o zajęcie tej samej ideologicznej postawy jaką oni wszyscy w Kraju zajmują od dawna. Na emigracji jest to szczególnie łatwe.

W czasie gdy pisałem te słowa sytuacja była zupełnie inna i nie podobna do dzisiejszej i do mego artykułu wówczas dodać mogłem nie wiele, zarówno z obawy o jego druk, jak też i niemożności wyciągnięcia wniosków dalszych którym by przeczyła sytuacja i rozwój wydarzeń na które wówczas wszyscy stawiali. W tych warunkach mój apel byłby przysłówowym „rzucaniem grochu o ścianę”. Obecnie jednak sytuacja jest zupełnie inna i pozwala na postawienie wszystkich brakujących kropek nad i, w czym wyręcza mnie wspaniałe p. Juliusz Mieroszewski. Bo wyraża on teraz najsłabsze pragnienia całej emigracyjnej lewicy. — Tak. L e w i c y ! Tego słowa choć jest ono dla wielu ludzi nienawistne nie wolno i nie należy omijać. Teraz o lewicy i jej zadaniach trzeba i będziemy pisać z całą niewyżytą pasją, bo tylko w lewicy jest nasze i narodowe zbawienie. Ale w tej lewicy która swój chlubny rodowód wywodzi z Zachodu i którą tu emigracja od samego początku zdławiła. Zdławiła ją nawet PPS i rozpuściła jej najchlubniejsze tradycje. Ciężki to zarzut ale prawdziwy. Te lewicy trzeba teraz zebrać z rozproszenia i odbudować. W londyńskiej PPS nie ma nawet jej szczątków. Tej lewicy potrzebny jest teraz sojusz z tzw. lewicą społeczną, z odpryskami rewizjonistów, i z

prawdziwego zdarzenia demokratami i liberałami. Ta lewica społeczna, która tu jest, dysponuje środkami (wprawdzie ograniczonymi) ale je posiada. I ma własną prasę, a co najważniejsze; dorosła do zadań jakie na nią nakłada historia. A to jest bardzo dużo... Są i ludzie, którzy po wielu latach wewnętrznych szamotań zaczynają rozumieć sens zjawisk i nieublagane procesy społeczne, które rozwijając się są zdolne do trwalszego zapewnienia życia organizmom państwowo-narodowo-społecznym, które węgając w otoczkach myślenia sprzed ubiegłych stuleci musiały się rozpaść.

Patrząc na to z perspektywy długich lat Juliusz Mieroszewski braki te dostrzegał i słusznie zauważa:

„Ugrupowania prawicowe są antyrewolucyjne, politycznie konformistyczne, lojalistyczne, grzęznące coraz bardziej w wielopolszczyźnie”.

Te słuszne słowa odnoszą się również i do emigracji, choć J. Mieroszewski ma na myśli jedynie Kraj. Ale zaraz dodaje:

„Październik niczego nie odkrył, tylko wykrystalizował istniejącą zawsze w Polsce linię podziału na zwolenników rządów silnej ręki i na zwolenników demokracji. Podział jest dawny — można rzec tradycyjny — tylko polityczna treść jest inna. I dlatego, jeżeli chce się być związanym z żywymi siłami narodu, nie wystarczy mówić o demokracji — bo termin „demokracja” w oderwaniu od rzeczywistości krajowej, jest takim samym frazesem, jak słowo „niepodległość” deklamowane na rocznicowym wieczorku w Londynie.

A dalej ten liberalny publicysta stawia już tylko kropki nad i, na które ludzie myślący lecz nie biorący udziału w fałszywej grze politycznej emigracji — długo czekali. W tej chwili, te słowa — trzeba to tu stwierdzić — mają w sobie coś ze świateł latarni morskiej, która nagle ukazuje się będącym u kresu sił rozbitkom. I tu kilka jego stwierdzeń i wypowiedzi zasługuje na n a n a j w y ż s z ą uwagę. Cytuję je w kolejności jak zostały wypowiedziane:

„Nigdzie nie jest powiedziane, że rewolucja demokratyczna, która obecnie upadła nie odniesie zwycięstwa za rok czy za dwa lata, gdy powstaną bardziej sprzyjające okoliczności. Niezlomni nie zmieniają się, ponieważ ich „niezłomność” wywodzi się przeważnie z przemian fizjologicznych, które niestety są nieodwracalne”.

„W moim przekonaniu jednak winniśmy stworzyć zagranicą niezależny ośrodek rewolucyjny, który kontynuowałby studia, dyskusje, koncepcje, plany zapoczątkowane przez rewizjonistów w dniach Października. Ośrodek ten winien skupić przede wszystkim młodych, którzy mogą zagranicą podjąć próbę dopracowania się zarysu demokratycznego modelu po liniach zapoczątkowanych w Kraju”.

„Demokratyczna opozycja w Kraju ma dwa oblicza. Minimaliści dążą do zdemokratyzowania tych instytucji jakie istnieją i do utrwalenia tych wolności jakie się zostały. Działalność tych ludzi jest niezmiernej wagi. Tej opozycji — opozycji na co dzień — emigracja w

niczym nie może pomóc. Istnieje jednak również opozycja rewolucyjna — pozbawiona prasy i ram organizacyjnych. Z tym ugrupowaniem — w tego słowa najszerszym znaczeniu — winien się solidaryzować proponowany emigracyjny ośrodek rewolucyjny”.

Oto nareszcie rozsądny i ważki głos który sięga po wszystkie konsekwencje zjawisk polityczno-społecznych. Istotnie, nie jesteśmy tu jedynie po to, aby być wyrobnikami na marginesie życia obcych nam społeczeństw. Jesteśmy tu po to i po to się tu schroniliśmy aby łatwiej podać pomocną dłoń ludziom w Kraju — tym, którzy samotnie i od lat dźwigają na swoich barkach cały ciężar tej nierównej walki.

Skoro już więc doszliśmy do tego i, jesteśmy w tym zgodni, sądzę że wolno mi zaapelować do zespołu „Kultury” o otwarcie na jej łamach czegoś w rodzaju „Wolnej Trybuny” dla tych — którzy tę inicjatywę podejmą — nim dopracują się własnego organu prasowego i stworzą zręby własnej niezależnej organizacji. W związku z tym, że każda praca tego rodzaju wymaga środków i jeszcze raz środków przekazuję na ten cel jako na fundusz prasowy przyszłego pisma, dol. 5.00: — i wzywam wszystkich — myślących podobnie, jak i ja — do poparcia tej skromnej inicjatywy.

Wejście na drogi walki, o których tu pisze słusznie, publicysta „Kultury” będzie dla ruchu w Kraju, który zeszedł w podziemie wydarzeniem o wielkim znaczeniu moralnym i wskaźnikiem, że i na emigracji coś się istotnie zmieniło. Konsekwencje twórczej, rewolucyjnej pracy po tej stronie, będą miały dla Kraju znaczenie pierwszoplanowe i mogą w swych skutkach okazać się olbrzymie.

Inicjatywa zespołu „Kultury” jest najcenniejszą z inicjatyw emigracyjnych osiemnastolecia. Dobrze się stało, że na szachownicę wydarzeń, padły słowa mocne i rozsądne. Jest to krok naprawdę miły, w porównaniu do tego wszystkiego, co już było i kończyło się na niczym.

Józef JENNE

Caracas

KSIAŻKA — która powinna być w każdym polskim domu

## Sir Casimir S. Gzowski

ŻYCIE — DZIEŁA — ZASŁUGI

Praca biograficzna Dr. Wiktora Turka o najciekawszym polskim imigrancie w Kanadzie, z interesującą przedmową wybitnego kanadyjskiego polonisty Prof. Dr. Williama J. Rose.

24 rozdziały interesującej opowieści o sukcesach polskiego powstańca na nowym kontynencie. - 13 ilustracji — 108 stron  
Cena \$ 1.50 wraz z przesyłką.

Zamówienia kierować do:

„ZWIĄZKOWIEC” — POLISH ALLIANCE PRESS LTD.

1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont.

Księgarniom i organizacjom przy większych zamówieniach udzielamy rabatu.

## Sprawy i troski

### Polacy w Brazylii

KTO PRZEŁAMIE CISZĘ?

Nie jest trudny do wytłumaczenia fakt, dlaczego dotychczas niewiele wiadomo o Polakach zamieszkujących Brazylię. W porównaniu z wychodźstwem polskim w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, lub Anglii, brazylijscy Polacy są mniej liczni i ani nie stanowią zwartej, świadomej grupy, ani nie posiadają na zamieszkałym przez siebie terenie wagi politycznej. Ponadto kolosalna odległość tego kraju od Europy i niezbyt rozwinięte interesy handlowe między Brazylią i państwami Starego Świata, brak odpowiedniej literatury — oto dalsze powody ignorancji panującej i w kraju i na emigracji na temat kilkuset tysięcy ludzi polskiego pochodzenia, lub wręcz Polaków, zamieszkujących olbrzymi kontynent o powierzchni ponad 8,5 miliona km kw, jakim jest Republika Stanów Zjednoczonych Brazylii (*Republica dos Estados Unidos do Brasil*).

Jest natomiast zadziwiające i mało podobne do wiary, że o Polakach w Brazylii nic, lub prawie tyle co nic nie wiedzą sami Brazylijanie

Nie można twierdzić, aby przeciętny Brazylijanin nie wiedział o Polakach. Świadomość ta jednak jest stanem przychylnobojętnego wiedzy o pewnej grupie robotników i rolników, odznaczających się tym, że są to porządni, „dobrzy ludzie” (*bôa gente*), a nade wszystko ludzie których egzotyczna i daleka ojczyzna jest krajem „bohaterskim” i bardzo „umęczonym”. Nic w tej świadomości nie ma pozytywnego, nic co by dźwięczało siłą i ciężarem gatunkowym, co dawałoby podstawę do stwierdzenia, że ta grupa etniczna poza wspaniałą ojczyzną owianą smętym romantyzmem, stanowi całość o zdecydowanej dla Brazylii wartości i z własną, lokalną historią. Że posiada zalegalizowaną udowodnionymi faktami legitymację pierwszorzędną pionierów w tym, dziś już nowoczesnym, choć swoiście nowoczesnym, kraju.

Samo państwo Brazylijskie zdaje się potwierdzać i aprobować ten stan rzeczy. Studiując olbrzymi, 639 stronicowy Brazylijski Rocznik Statystyczny za rok 1955 (1), znajdujemy w nim jedną zaledwie wzmiankę na temat Polaków (str. 72), o bardzo zresztą specjalnej, emocjonalnej i propagandowej dla państwa wartości. Wzmianka ta dotyczy ilości Polaków jacy się naturalizowali w Brazylii w okresie między 1951 a 1954 rokiem:

#### UZYSKANA NATURALIZACJA

	1951	1952	1953	1954
Polacy :	1369	878	726	699

Ale nie należy sądzić, aby Polacy w Brazylii nie byli pożądanymi, lub by ich lekceważono. Gdy w roku bieżącym ukazała się w Porto Alegre-Canôas w „Enciclopédia Rio Grandense”, wydawnictwie zakrojonym na dużą miarę i niewątpliwie interesującym, rzetelna praca inż. Edmunda Gardolińskiego pod tytułem „Emigracja i Kolonizacja Polaków w Stanie Rio Grande do Sul” (2), miejscowe społeczeństwo zareagowało przychylnym zdumieniem. Dla ludzi tych, opis materialnego, kulturalnego i cywilizacyjnego wkładu Polaków w rozwój Stanu był kompletną rewelacją.

Trzeba sięgnąć początków kolonizacji Brazylii przez element europejski z wyjątkiem najwcześniejszego portugalskiego, aby zrozumieć to interesujące, a krzywdzące Polaków zjawisko. Przyczyn jego jest wiele.

Przede wszystkim koloniści europejscy ubiegłego stulecia, zwłaszcza Niemcy i Włosi, jechali do Brazylii dobrze zorganizowani i wysyłani przez rządy swych państw po uprzednim dokładnym sporządzeniu odpowiednich list i wykazów. Warto dodać, że jechali na zaproszenie brazylijskiego cesarza Dom Pedro II, rozumiejącego potrzebę kolonizacji, zaś jako mąż księżniczki austriackiej darzącego specjalną sympatią element niemiecki. Stąd w archiwach czy to powiatowych (municipios), czy stanowych, a wreszcie i w archiwach Federalnego Rządu Republiki, względnie w urzędach portowych — do dnia dzisiejszego znaleźć można ściśle dane liczbowe i inne, obrazujące emigrację poszczególnych grup etnicznych. Listy te niekompletne od roku 1824 (pierwsi emigranci niemieccy w Brazylii) do 1884, od tej daty są ściślim rejestrem napływu obcokrajowców, zwłaszcza Włochów i Niemców do Brazylii.

Oto archiwa brazylijskie zawierają dane o emigrantach niemieckich i austriackich, a od roku 1886 również rosyjskich.

(1) Anuario Estatístico do Brasil 1955 — Ano XVI. Rio de Janeiro.

(2) Eng. Edmundo Gardoliński — Emigração e Colonização Polonesa em Rio Grande do Sul — Enciclopédia Rio Grandense, Editora Regional Ltda, Canôas — RGS — Brasil, 1958.

Ponieważ wiadome jest skądinąd, iż polscy koloniści jechali w tym czasie do Brazylii, sprawa staje się jasna. Wobec nieistnienia podówczas na mapach Europy Państwa Polskiego, umieszczano obok nazwisk Polaków narodowość niemiecką, austriacką, lub rosyjską.

Jeśli chodzi o „Austriaków”, to w latach późniejszych, zwłaszcza po Pierwszej Wojnie Światowej, Austria nie interesowała się propagowaniem spraw swych wychodźców, których dopływ ustał zresztą niemal zupełnie po roku 1918, to znaczy z chwilą gdy dawni Austriacy-emigranci stali się oficjalnie Polakami. Związek Sowiecki emigracji nie zna, praktycznie zresztą Rosja nigdy nie miała masowego wychodźstwa zarobkowego, stąd „Rosjanie” w Brazylii — to oczywiście Polacy i Ukraińcy. Niemcy natomiast i Włosi, równie z pobudek nacjonalistycznych jak i dla stworzenia pozorów swej niezbędności dla rozwoju i przyszłości narodu brazylijskiego — celowo pomijali ilość, znaczenie i wartość polskiego elementu w Brazylii. Po ostatniej wojnie światowej polityka brazylijska poszła po linii kreowania obywateli świadomych swego pochodzenia, nie zaś jak dawniej tworzenia „Brazylii dla Brazylijanów”. Dało to Niemcom i Włochom, zwłaszcza tym pierwszym, asumpt do zadrukowywania ton papieru na swój temat, co byłoby ich dobrym prawem, gdyby nie panująca w tym piśmiennictwie atmosfera wyłączności zasług wobec terenów, które skolonizowali.

Po roku 1918 teren Brazylii obsługiwany został siecią polskich Urzędów Konsularnych. Nie rozporządzam żadnymi danymi, ani też nie jest moim zamiarem podawanie wyników ich pracy. Zakładając nawet, że pracowali idealnie, stwierdzić należy, iż dla propagowania znaczenia, a choćby tylko obecności Polaków w Brazylii nie udało im się wiele uczynić i o dużym ich znaczeniu gospodarczym i kulturalnym na brazylijskim terenie nadal było i pozostało głucho. Wyjątkiem był tu Stan Parana.

Okres ostatnich trzynastu lat nie przyniósł w interesującej nas sytuacji niczego nowego. Władze warszawskie badały teren. Wiedziały o negatywnym ustosunkowaniu się do nich przeważającej większości Polaków brazylijskich, wobec zaś separowania się ogółu narodu Brazylii od idei komunizmu, czuli się zbyt niepewnie i zbyt jawnie prasa pisała o nich jako o „jaczekach”, by mogli operować zagadnieniem „Polacy w Brazylii”.

Dopiero ostatnie czasy przyniosły pewne ożywienie ruchu handlowego między Polską i Brazylią, co *eo ipso* musi Brazylijanom przypomnieć o istnieniu Polaków na ich ziemi. O tym pośrednim działaniu niewiele jednak można dotychczas powiedzieć będzie ono bowiem zależeć od tego, czy Polska potrafi rozszerzyć swój handel z Ameryką Południową i czy uda jej się wywiązać pozytywnie z obietnic i zobowiązań, jakie czyni w formie odpowiednich ofert publikowanych w prasie tutejszej. Ale nawet zakładając, że to nastąpi, decydującym momentem będzie tu czas.

Ważnym czynnikiem jest również niski, stosunkowo, poziom materialny tutejszego ogółu Polaków. Brazylia, szacuje ludzi wedle ich statusu majątkowego. Stąd Polacy, wśród których praktycznie nie istnieją ani multimilionerzy, ani przemysłowcy na wielką skalę, ani nawet (z małymi wyjątkami), przedstawiciele życia politycznego na wyższym szczeblu — nie rzucają się w oczy i nie mogą pretendować do stworzenia grupy o której głośno byłoby w olbrzymiej Brazylii, tak jak głośno jest o Włochach i Niemcach.

Wszystkie te momenty spowodowały, iż zagadnienie obecności i znaczenia Polaków w Brazylii jest w sposób krzywdzący nie doceniane. Niewiele natomiast jest nadziei na to, by cisza ta została przez kogokolwiek skutecznie przełamana.

### O HISTORII KOLONIZACJI

Aby zrozumieć, iż Polacy stanowią istotny moment w życiu Brazylii, wystarczy powiedzieć, iż są oni ilościowo trzecią z kolei grupą przybyszów z Europy i pozostałej reszty świata. Należy tylko podkreślić dla jasności obrazu, że do rachunku tego nie można włączać dwu wielkich grup etnicznych, a mianowicie Portugalczyków i Murzynów. Obie te grupy, jedna jako potomkowie konkwistadorów brazylijskich ziem, druga od XVI-go wieku począwszy sprowadzana bądź bezpośrednio z Afryki, bądź z innych terenów, uważają się dzisiaj za tubylców i właściwych Brazylijan. Dopiero pozostała ludność stanowi, i sama się uważa za potomków emigrantów-obcokrajowców.

Sporadyczne wypadki pojawiania się Polaków w Brazylii notowane są od dawna. Po przybyciu pierwszego Polaka, przypadkowego zresztą gościa w osobie admirała floty holenderskiej Krzysztofa Arciszewskiego, Polacy nie odwiedzali wprawdzie długo tego kraju. Ale już sam Arciszewski jest dla historii państwa postacią nie bez znaczenia, walczył bowiem przeciwko ówczesnej tyranii hiszpańsko-portugalskiej, a i wśród Holendrów pod których banderą pływał, odznaczał się tym, iż traktował tubylców jako pełnowartościowych ludzi, mających prawo do wolności zarówno osobistej jak narodowej.

Późniejsi, wciąż jeszcze pojedynczo przybywający Polacy, znaleźli się w Brazylii po obu powstaniach 1830 i 1863 roku. Byli to ludzie wykształceni i ideowcy. Stąd żaden z nich nie przeminął dla Brazylii bez pozostawienia efektywnych znaków swego pobytu.

Inżynier Andrzej Przewodowski zbudował wiele gmachów w północnym Stanie Bahia, jego syn był kapitanem żeglugi brazylijskiej. Ornitolodzy Tadeusz Chrostowski i Józef Warszewicz, zoolog profesor Konstanty Jelski, pracowali z powodzeniem w swych specjalnościach. Inżynier Florestan Rozwadowski pozos-

tawił po sobie pierwsze opracowania topograficzne dorzecza Amazonki, Rymkiewicz i Brodowski, również inżynierowie, budowali kolej Sao Paulo — Santos. Jeszcze inny inżynier, Babiński, opracował pierwszą biologiczną mapę kraju.

Były to jednakowoż tylko jednostki. Grupowo polscy emigranci zaczęli przybywać nieco później. Jedne z pierwszych transportów skierowane zostały do tropikalnych okolic Espírito Santo i Bahia. Trudno dziś powiedzieć co spowodowało władze do tego fatalnego kroku, którego skutki były wręcz tragiczne. Prawdopodobnie była to nieprzemyślana próba skolonizowania niedostępnej północnej Brazylii elementem europejskim. Próba, trzeba powiedzieć, bardzo mało humanitarna. Po kilkunastu latach niedobitki ludzi z tamtych transportów, ci którzy uratowali się przypadkowo od chorób tropikalnych, gorączki, zmij i od głodu, odbywając dramatyczne przemarsze poprzez kontynent Brazylii, dotarli wreszcie do południowej części kraju, który praktycznie do dzisiaj pozostał centrum skupienia Polaków. Są to Stany Parana, Santa Catarina i Rio Grande do Sul, wszystkie trzy sąsiadujące ze sobą i stanowiące najbardziej na południe wysuniętą część państwa.

Za początek zwartej kolonizacji polskiej w Brazylii uważa się rok 1867, kiedy to do portu Paranagua w Stanie Parana przybył Edmund Sebastian Woś Zaporski. On to uważany jest za ojca polskiej kolonizacji, jego pomnik zdobi dziś Kurytybę. Jego duże zasługi dla przybyszów polskich polegają przede wszystkim na tym, iż korzystając ze stosunków polskiego księdza Antoniego Zielińskiego na dworze cesarskim, przeprowadził sprawę translokacji Polaków z nieodpowiednich dla nich miejscowości w Santa Catarina do Parana. Zanim jednak tego dokonał, pokonywać musiał wielkie i nieoczekiwane przeszkody. Polacy przybywający do Santa Catarina kierowani bywali z reguły do okolic najgorszych klimatycznie, podczas gdy wszystkie lepsze tereny zajęli Niemcy. Opuszczenie mało dla Europejczyka nadających się terenów przez Polaków — oznaczałoby, iż w przyszłości zostaną tam skierowani Niemcy, którzy w Santa Catarina byli większością. Aby więc temu przeszkodzić, czynili wszystko by dopilnować pozostania Polaków na miejscu. Uciekali się nawet do organizowania zasadzek na drogach którymi przejeżdżali Woś Zaporski i ksiądz Zieliński, aby ich unieszkośliwić. Usiłowali w ten sposób przeszkodzić w uzyskaniu zgody cesarza na ulokowanie Polaków w okolicach Kurytyby, potem zaś, gdy to się nie powiodło, uniemożliwić wykonanie cesarskiego zlecenia.

Zaporski pokonał trudności i plan swój doprowadził do pomyslnego zakończenia, po czym pomógł Polakom w zorganizowaniu sobie życia na nowym terenie. Upór tego człowieka otworzył kolonizacji polskiej Stan Parana, przez co skierował historię kolonizacji naszej na te drogi, jakimi się potoczyła.

Nasilenie polskiego ruchu emigracyjnego do roku 1889 nie było duże. Brazylia była podówczas w Polsce pojęciem tak mi-

tycznym, że mało kto decydował się na to by się tam osiedlać mimo iż emigracja do Ameryki Północnej już się była w Polsce rozpoczęła. Dlatego też bilans Polaków w Brazylii zamyka się w tym okresie liczbą około 8080 osób, z czego 7500 osiedliło się w trzech południowych Stanach.

Dopiero rok 1890 stał się punktem zwrotnym w historii tej kolonizacji. Dotychczas jechali do Brazylii Polacy z zaboru pruskiego, w transportach organizowanych przez Niemców. Obecnie ruch ogarnął przede wszystkim Królestwo i cały ówczesny zabór rosyjski. Niezmiernie trudna sytuacja chłopów polskiego, zwłaszcza małorolnego lub fornała, rozgoryczenie na ziemiaństwo, gwałtowna rusyfikacja, ucisk narodowy i religijny — zachęcały chłopów i robotników do szukania chleba za oceanem. Brazylię ze swej strony rozpoczęła w Polsce agitację wyjazdową. Obok mniej lub więcej realnych obietnic dostarczenia ziemi i umiłowanego przez chłopów polskiego — „boru”, a w związku z tym i mirażu łatwego i szybkiego bogacenia się, zonglowano też chwytami demagogicznymi w rodzaju sloganu, że „Matka Boska ofiarowała papieżowi Brazylię dla Polaków”. Na skutek ogołocenia z fornała folwarków, ziemiaństwo niejednokrotnie usiłowało powstrzymać ruch emigracyjny, co jeszcze bardziej utrwalało chłopów w przekonaniu, iż dziedzic kręci mu w głowie celowo. Tym bardziej więc nieufny ten chłop podatny stawał się na namowy agentów. Zapanowała wreszcie w kraju tak zaogniona atmosfera wyjazdowa, że okres ten nazwano w Królestwie „gorączką brazylijską” oraz ukuto dla Brazylii nazwę „Nowa Polska”.

Trudno przewidzieć jakie rozmiary przybrałby wyjazdowy ruch Polaków do Brazylii, gdyby nie wybuchła tam Rewolucja Federalistyczna (1892-1895), która rozpętała się właśnie w południowych Stanach. Wiadomość o niej ostudziła zapalę do emigracji do tego stopnia, iż ruch ustał w Polsce niemal zupełnie. W każdym jednak razie okres 1890-1894 zdążył dać Brazylii 63.500 kolonistów polskich, liczbę na owe czasy dużą.

„Gorączka brazylijska” w Polsce nie powtórzyła się już nigdy. Lata 1895-1900 przyniosły Brazylii już tylko 6.600 Polaków z centralnej i wschodniej Polski, oraz 17.500 Ukraińców, którzy w tym czasie po raz pierwszy wybrali się do Południowej Ameryki. Okres ten nie byłby więc istotny dla polskiego ruchu kolonizatorskiego, gdyby nie fakt, iż wśród Polaków w tym czasie przybyłych znajdowało się sporo ludzi z ogólnym i fachowym wykształceniem, co zasiłowało znacznie szeregi nauczycielstwa, kupców i wolnych zawodów oraz spowodowało utworzenie się grupy działaczy społecznych, tak bardzo potrzebnych wśród polskich mas rolniczo-robotniczych w Brazylii. Wszyscy ci ludzie pozostali w Kurytybie, nie mając niestety ani okazji ani chęci na osiedlanie się po koloniach, a więc „na prowincji” zwanej w Brazylii „interior’em”.

Następna fala emigrantów notowana jest od roku 1907. Rząd brazylijski rozumiał już wtedy dobrze konieczność prowadzenia nowych ludzi dla rozbudowy państwa, niezależnie zaś od

tego prywatna firma budująca kolej Sao Paulo — Porto Alegre, również potrzebowała rąk do pracy. Pojawił się zatem w Polsce agenci aż dwu mocodawców, oraz sami Polacy brazylijscy, którzy przyjeżdżali do kraju dla agitowania ludzi.

Niestety administracja nie potrafiła przygotować terenu dla przybyszów. Powtórzyła się, bodaj na większą skalę, historia „gorączki brazylijskiej”, gdy ludzie odpowiedzialni za organizację przyjmowania emigrantów nie wywiązali się ze swego zadania. Konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Kurytybie Kazimierz Głuchowski tak pisze w roku 1924 o tragicznym losie kolonistów polskich z okresu 1907 (1):

„Administracja nie przygotowana, działki nie pomierzone, baraki marne, toteż działwa przede wszystkim, a także i dorośli zaludniają cmentarz wyludnionego już dzisiaj niemal zupełnie „la Sede” osiedla Cruz Machado”.

Emigranci z Polski napływali mimo wszystko i dopiero rok 1914 ze zrozumiałych względów położył kres ruchowi migracyjnemu. Okres 1907-1914 zamyka się liczbą 24.730 Polaków oraz 14.550 Ukraińców osiadłych jak i poprzednicy ich niemal w całości w Brazylii południowej.

Przypadek stworzył dla historii kolonizacji polskiej w Brazylii jeszcze jedną datę podziału na okresy. Jest nią rok 1924, na którym zakończył swą dobrą, pracowicie i obiektywnie napisaną książkę wspomniany już konsul Głuchowski. Człowiek ten z niebывałym poświęceniem przewędrował osobiście wszystkie ośrodki polskie, zanim uznał za możliwe napisanie swej pracy. Po nim nikt już żadnych statystycznych obliczeń nie sporządził i ewidencja liczbowa Polaków skończyła się definitywnie, tym bardziej że żadne brazylijskie statystyki nie interesują się również tym zagadnieniem, na co wskazują odpowiednie roczniki. Ewidencja Polaków zamyka się więc datą 1924 i przedstawia jak następuje:

#### LICZBA POLAKÓW W BRAZYLII W 1924 R.

Stan PARANA	100.282	— 16%	ogółu ludności
Stan SANTA CATARINA	18.810	— 2,95%	ogółu ludności
Stan RIO GRANDE DO SUL	61.200	— 2,8%	ogółu ludności
Inne Stany (na rok 1920)	21.500		
<b>RAZEM</b>	<b>201.792</b>		

Lata 1928-1938 to następny okres dla historii kolonizacyjnej. Nie rozporządzam żadnymi danymi liczbowymi dotyczącymi tego okresu, które by były miarodajne. Wobec omawianego już braku

(1) Kazimierz Głuchowski — Wśród Pionierów Polskich na Antypodach. Warszawa 1927, Wydawnictwo Instytutu Naukowego do Badań Emigracji i Kolonizacji.



państwowych danych statystycznych w tym względzie, dane te prawdopodobnie nie istnieją. Być może, iż odpowiednie materiały posiada obóz przejściowy w Rio de Janeiro na Wyspie Kwiatów (*Ilha das Flores*), ale tam nie miałem możliwości dotrzeć. Zresztą nie wszyscy Polacy przechodzili przez ten obóz.

Ogólnie wiadomo, iż ruch był w tym czasie nie masowy wprawdzie, ale stały. Jechała jak zawsze biedota wiejska i robotnicza, jechali ludzie zawiedzeni, ale coraz liczniej pojawiać się zaczęli poszukiwacze przygody, których „coś” wyciągało z domu. Bardzo wielu spośród nich wmówiło w siebie post factum, iż uciekali przed nadchodzącą wojną i ci przekonani są dziś, iż tak było istotnie.

Rozpoczęła się również w tym czasie, nieliczna zresztą, re-emigracja. Próby realizowania dawnego planu powziętego w chwili wyjazdu: „dorobimy się trochę — powrócimy”. Różne bywały tych powrotów przyczyny. Przygniatała obcość Brazylii, nostalgia, głęboko wżarta polskość, tęsknoty lokalno-patriotyczne — „do swoich”. Niestety jeśli chodzi o tych pierwszych, którzy wyjechali z Brazylii przed 1924 rokiem i trafili w kraju na dewaluację marki polskiej i krach gospodarczy, znaleźli się oni prawie wszyscy z powrotem w Brazylii, wyciągnięci z biedy przez zaalarmowane rodziny. Oczywiście z reguły potracili wszelkie zapasy gotówkowe jakie posiadali. Inni, późniejsi powroto-wicze, pozostali już w kraju i przygoda brazylijska stała się dla nich jedynie fragmentem, bohaterską sagą rodu.

Po roku 1945 niewielka stosunkowo grupa Polaków przyjechała do Brazylii, sprowadzona przez IRO. Przypadkowe decyzje, rodzina przebywająca w tym kraju, kalkulacje oparte o niefachowość tak zwanego wykwalifikowanego robotnika brazylijskiego, negatywne wyniki starań o wyjazd z Niemiec do innych krajów emigracyjnych — oto motywy przybywania tych ludzi do Brazylii. Osiedlili się niemal wyłącznie w Rio de Janeiro, Sao Paulo, Kurytybie, Porto Alegre, Belo Horizonte i innych miastach położonych na południe od stolicy państwa. Wbrew pesymistycznym przepowiadaniom nieprzydatności do życia i pracy ludzi mających za sobą kilka powojennych lat obozów DP w Niemczech — element ten urządził się w Brazylii znośnie, pracuje dobrze i chętnie. Przeważnie w budownictwie i po fabrykach.

Wszyscy polscy przybysze, łącznie z potomkami dawnych emigrantów — stanowią prawdopodobnie siłą kilkuset tysięcy ludzi. Siła to jednak utajona i w dużym stopniu tak dobrze, jak stracona dla polskość. Dziś jeszcze świadomi swego pochodzenia i ofiarni, potrafiący w czasie ostatniej wojny stworzyć prawdziwą „ekspedycję” polską do Europy — bez dalszego dopływu Polaków z kraju wynarodowią się, na co wystarczy prawdopodobnie nie więcej niż 50 lat.

Dziś jeszcze Parana i Santa Catarina mają swych przedstawicieli polskiego pochodzenia w parlamentach stanowych i federalnym. Rio Grande do Sul ich nie ma wyłącznie dzięki nie-

zrozumieniu ważności sprawy i rozbiciu się w czasie ostatnich wyborów, ale są to już ostatni ludzie uznający i dyskontujący swe pochodzenie. Następne po nich, lub najdalej trzecie pokolenie będzie już brazylijskim „bez pochodzenia”. Pomocną stać się im wybitnie szkoła tutejsza i związane z jej ukończeniem polepszenie bytu materialnego oraz wstępowanie wzwyż po drabinie społecznej. Brazylija chce i musi temu zjawisku sprzyjać.

Czego bowiem nie boją się bogate, a więc atrakcyjne dla obywateli Stany Zjednoczone, musi się obawiać Brazylija, której droga do dobrobytu całego narodu jest jeszcze niezmiernie daleka.

### „CZARODZIEJSKI KRAJ”

Spoglądając wstecz na historię tysięcy rodzin polskich, w różnych okresach czasu przybywających celem osiedlenia się w Brazylii, trzeba powiedzieć, że los niemal wszystkich ich, a na pewno wszystkich kolonistów, był początkowo opłakany, nieraz wręcz tragiczny. Pomijając nawet straceniów skierowanych do Bahia i Espirito Santo, wszyscy inni wiezieni bywali tygodniami w najgorszych warunkach do przyszłych swych kolonii. Woda lub łodem, wołami, na krytych furgonach, w nieznośnym upale, bez należytego zaopatrzenia i bez wody, marli już w transportach. Po przybyciu na miejsce i otrzymaniu działek, z reguły gorszych bo nie wytargowanych z racji nieznajomości języka i braku poparcia, jak to miawało miejsce wśród Włochów i Niemców — Polacy stawali bezradni.

Splątanie należności za działkę nie było wprawdzie zbyt uciążliwe, najczęściej bowiem rozkładano je na długoterminowe raty, ale tysiąc innych przeszkód i niebezpieczeństw czało się na ogłupiałych w nowych warunkach ludzi.

Złośliwy czy wadliwy przydział kolonii powodował bardzo często, iż Polaków z równin kierowano w góry lub miejsca klimatycznie nieodpowiednie dla uprawy tych plonów rolnych, do jakich rolnik polski przywykł. Znane były wypadki osadzenia grup polskich na terenach, gdzie udawało się tylko wino, banany, ananasy i trzcina cukrowa, jeśli nie kawa.

Zaopatrzenie na początek było z reguły niewystarczające, a nabycie czegokolwiek na miejscu, z dala od osiedli ludzkich, pociągało za sobą ruinę materialną wobec nieuczciwości zaimprowizowanych sklepikarzy, żerujących na bezradnych i nie znających cen ludziach. Zatrudnianie przy budowie dróg dojazdowych nieistniejących dotychczas, trwało przez kilka zaledwie tygodni, wyjątkowo miesięcy i nie mogło dać zarobku wystarczającego na przeżycie pierwszego, najgorszego okresu.

Wymarzony „bór” nie tylko był, ale pokrywał całe olbrzymie przestrzenie przeznaczone pod kolonie i wymagał całkowitego wytrzebiaenia, zaś raz wyrąbany uparcie wracał z miesiąca na

miesiąc w formie „capoeiry”, płataniny drobniejszych drzew i krzewów. Zwalone pnie przeważnie piniorowe, majątek w pojęciu chłop polskiego, były tylko zawadą. Nikt bowiem tego wspańskiego budulca kupić nie mógł bez możliwości wywozu, tam gdzie pojęcie drogi było mitem. „Bór” tedy tracił urok i lukratywność. Inna sprawa, że ostatecznie zamitowanie polskie do lasu opłaciło się w przyszłości, tereny bowiem poleśne są w Brazylii o wiele żyzniejsze od stepowych.

Klimat dla nieprzyzwyczajonych był straszliwy. Od grudnia do marca włączanie palące bezlitośnie słońce, zimy wilgotne, wietrzne i niezdrowe, tysiące żmij i robactwa, zwłaszcza pająków, zabijających natychmiast lub powoli. Absolutny brak pomocy lekarskiej i sanitarnej, oderwanie od świata i ludzi, uczucie samotności i krzywdy, nostalgia, bezradność. Sytuacja bez wyjścia, bez możliwości powrotu i dla braku gotówki i — ponieważ nikt nie wiedział nawet gdzie się znajduje, którędy i do kogo ma się udać chcąc rozpocząć starania powrotowe. Nawet więc w wypadku gdy poszczególny kolonista znalazłby jeszcze gotowiznę na opłacenie tego powrotu, nie potrafił swego planu praktycznie wykonać.

O powrotach więc mowy być nie mogło. A tymczasem trudności rosły. Nikt nie zatroszczył się o to, aby kolonistów posłać instruktora rolnego. Rząd nie rozporządzał zresztą fachowcami w tej dziedzinie. Stąd rolnicy próbowali przenieść żywcem z Polski sposoby uprawy roli, wchodząc z pługiem na nowe karczowiska. Nie dawało to żadnych wyników, wyczerpywało natomiast siły ludzkie zupełnie bezproduktywnie. Dopiero czas i doświadczenie oraz wzorowanie się na miejscowych „caboclos” (mety-sach) spełniły rolę instruktorów.

Uprawa caboclerska polegała na tym, iż po wycięciu lasu pozostawiano bez karczowania pnie wiekowego twarodrzewu, przeważnie piniorów, zaś porębę zwaną „roça” po wyschnięciu wypalano. Na tych spalonych przestrzeniach, wprost do ziemi pokrytej warstwą popiołu siało się pszenicę lub sadiło kukurydzę. Na twardszych terenach kukurydzę tę sadzono „do kija”, czyli do otworów robionych kijem w ziemi. Proces palenia i ponownego sadzenia powtarzano kilka razy, za każdym razem trzebiąc „capoeirę”, a więc to co rośło samorodnie na pogorzeli-skach. Po kilku dopiero latach, gdy już i pozostawione w ziemi pnie częściowo spróchniały i wygniły, można było orać pole pługiem. I tu kończyła się gospodarka czysto „rosowa” poza którą *caboclos* nigdy nie wychodzili. Uprawa wchodziła w stadium częściowej kultury europejskiej, palenie „ros” łączono z orką i uprawą normalną. Rzecz prosta, że rola skutkiem ustawicznego wypalania traciła wartość, wycieńczała się i bez obornika lub sztucznych nawozów przestawała rodzić.

Marzenia o szybkim bogaceniu się powoli zostały zapomniane. Miejsce ich zajęła nadludzka niemal praca i nieustanne tragedie rodzinne. Dzieci i ludzie słabsi nie wytrzymywali bardzo często pionierskich warunków życia. Śmiertelność była olbrzymia,

zarówno sama natura pół-tropikalna jak i brak opieki medycznej zbierały swe żniwo zastraszająco. Tylko tam gdzie oko w oko z przeciwnościami stanął upór chłop polskiego, jego kolosalne zdrowie i wytrzymałość, człowiek obronił się Brazylii. Trzeba pamiętać, że wcześniejsze próby kolonizowania południowych terenów państwa innymi narodowościami, zwłaszcza Szwedami i Francuzami, skończyły się całkowitym wygubieniem tych ludzi, jeśli nie zdążyli oni uciec z powrotem do Europy. Jest to najlepszym świadectwem olbrzymiej odporności, siły woli i wartości doskonałego pioniera-Polaka, który po pierwszych latach zaczynał jednak brać górę nad przeciwnościami i pozbawiony złudzeń, nieraz przybity moralnie i przeżarty nostalgią, stawiał jednak na swoim, oswajał się i urządzał sobie życie.

Ponieważ Stan Parana najbardziej odpowiadał rolnikowi polskiemu, pozostawał on przeważnie na zakupionej działce i do dni obecnych tam przebywa. Jeśli jednak chodzi o Stany Santa Catarina i Rio Grande do Sul, pierwsze a nawet późniejsze lata kolonizacji po rok 1920 — były ustawiczną wędrówką z południa na północ. Szli ludzie opuszczając swe gospodarstwa, wzięli na grzbietach mulów swe rodziny i ocalony majątek, wędrowali miesiącami dążąc bądź do nowych, niewyjałowionych jeszcze terenów, bądź do Parana, o której wiedzieli że żyją tam masowo i o wiele lepiej ich bracia. Pustoszyli nieraz całe okolice, zajmowane zresztą natychmiast przez Włochów i Niemców, którzy na wykarczowanej przez Polaków, a nie nadającej się pod uprawę pszenicy czy ziemniaków kolonii zakładali winnice, lub hodowlę jarzyn jeśli tereny położone były bliżej miast. Dopiero po Pierwszej Wojnie Światowej lokalna migracja polska ustała i już się masowo nie powtórzyła. Dziś obserwuje się wprawdzie zjawisko opuszczania ziemi, ale tu przyczyną jest ogólny pęd młodzieży do ucieczki ze wsi, pęd znany zresztą w całym świecie. Powoduje go nierentowność uprawy roli zaistniała skutkiem wadliwej gospodarki i niedbalstwa władz stanowych, ciężka praca, oraz kształcenie się młodzieży wiejskiej, która raz uzyskawszy fach po praktyce, szkole fachowej, lub średniej i wyższej, już na wieś nie wraca. Ponadto przyrost naturalny, a w wyniku pauperyzacja gospodarstw, również odbierają rolniczej młodzieży chęć do pozostawiania na ojcowiznie.

Nie jest łatwo obiektywnie i rzeczowo scharakteryzować wyniki polskiej kolonizacji w Brazylii, traktując sprawę od strony samych kolonistów. Trudno to osądzić rzetelnie, ale poznawszy życie dzisiejszego Polaka-kolonisty w terenie, bodaj że można zaryzykować twierdzenie, iż pionierzy polscy w pierwszym przynajmniej pokoleniu, nie polepszyli sobie bytu w porównaniu z poziomem życia w kraju, abstrahując oczywiście od dzisiejszej rzeczywistości w Polsce. I nie biorąc pod uwagę bezrolnych, którzy pierwszy raz w swym życiu stali się właścicielami dopiero w Brazylii. Wszyscy natomiast zyskali nieograniczoną wolność narodu prawdziwie demokratycznego i do przesady kochającego swobodę i niezależność. Zyskali też lepszą przyszłość dla swych

dzieci i wnuków. I osiągnęli odwieczne chłopskie marzenia o „posiadaniu”. Na pewno zaś spełnili to zadanie, jakie im postawiła do wykonania polityka państwa brazylijskiego. Polityka ta bowiem była i jest świadoma, jakkolwiek wypaczana nieraz niezrozumieniem stanowych polityków, względnie ludzi okresowo stojących u steru rządu federalnego i nie rozumiejących oczywistego faktu, że Brazylia nie może, a już na pewno nie mogła dawniej istnieć bez kolonizacji. Ze w jej demograficznej sytuacji, „governar é povoar” — „rządzić, to zaludniać”. Ogólnie jednak świadomość ta istnieje i Brazylia postawiła swym przybyszom szereg konkretnych zadań do wykonania.

Byli oni potrzebni jako siła robocza, wytrwała i obdarzona inicjatywą pracy masa ludzka, zdolna zbudować drogi, koleje i przemysł, a nade wszystko wytrzebić puszcze i w formie uprawnych i płodnych terenów oddać je kulturze i cywilizacji.

Po zniesieniu niewolnictwa Murzynów mieli emigranci zastąpić ich w całym państwie, zwłaszcza zaś na plantacjach bawełnianych, kawowych i trzciny cukrowej.

Przeznaczeni byli do „wybielenia” Brazylii, nie tylko podkolorowanej w czasie niewolnictwa, ale przez domieszkę czarnej i czerwonej krwi osłabionej fizycznie i pod względem charakteru.

Wreszcie mieli utworzyć żywy wał, zaporę przeciwko zakusom Argentyny i innych krajów ościennych, które do niedawna jeszcze miały wielkie apetyty na południową Brazylię, zresztą uprzednio przechodzącą wielokrotnie z rąk portugalskich do hiszpańskich i odwrotnie. Dlatego też nowych kolonistów, zwłaszcza Polaków, a wyjątkowo tylko Niemców, kierowano na dalekie pogranicze gdzie do dnia dzisiejszego spotkać można zwarte polskie kolonie.

Polski pionier-kolonista spełnił swe zadanie ponad wszelkie przewidywania. Wprawdzie nawet obecnie stoi nieraz gorzej materialnie od Niemców, Włochów, Japończyków czy nawet Portugalczków, ale trzeba pamiętać że najcięższa praca przemiany puszczy w obszary produkcyjne dokonana została właśnie przez element polski. Po pierwszych latach nędzy kolonista uczynił z okupowanych przez siebie terenów prawdziwe spichlerze rolne. Zaniechana nigdy przez najdawniejszych kolonistów sprowadzanych z wysp Azorskich, nieopłacalna według ich zdania uprawę zbóż — wprowadzili na nowo. Zamieszkałe przez Polaków okolice są dziś żywicielami Stanu, zaopatrując go w pszenicę, zwaną w Brazylii „królową zbóż”. Zwiedzając ośrodki polskie, widzi się ziemię uprawne niemal jak w Europie, odbiegające jaskrawo od innych okolic, gdzie olbrzymie pustkowia i nieużytki pocięte są tylko gdzieś niegdzie poletkami w kulturze. Soja — nowe i jak przewidyuje się olbrzymie bogactwo Brazylii, została praktycznie przez nich wprowadzona i kulturowana. Największe terenowo skupiska niemal jednolite narodowościowo, to właśnie skupiska polskie. Masowa rolna produkcja w Parana, a w dużym stopniu i w Rio Grande do Sul, to produkcja oddawana państwu przez rolnika-Polaka.

Ponadto, ponieważ element polski najmniej zawsze następczał władzom trudności, nie mając w naturze zakusów w kierunku uczynienia z Brazylii europejskiej kolonii (jak to miało miejsce wśród innych narodowości), przeto nie będzie przesadą jeśli się stwierdzi, że Polacy byli i są bardzo dobrym nabytkiem dla narodu i państwa Brazylii.

Jeśli nie stworzyli jednolitej grupy silnej materialnie, to wina leży zarówno po stronie ich samych, spowodowana mało rozwiniętą przedsiębiorczością, jak i po stronie rządu, nie umiejącego dla obopólnego dobra wykorzystać olbrzymich walorów Polaków i mało dbającego o racjonalny rozwój rolnictwa. Polityka cen, ułatwianie zbytu, podniesienie kultury rolnej, doping, elementarna dbałość humanitarna o tysiące obywateli czy choćby tylko mieszkańców osiadłych po koloniach — wszystko to są sprawy nad którymi państwo i decentralistyczne rządy stanowe przechodzą beztrudno do porządku dziennego, rozumując że łatwiej jest sprowadzić pszenicę z Argentyny, Stanów Zjednoczonych czy Kanady, aniżeli uwielokrotnić własną produkcję. Nie potrafiono również zapobiec katastrofalnemu zjawisku gromadzenia ziarna przez kolonistów, nie będących w stanie go sprzedać, względnie odmawiających sprzedaży z powodu oferowanych zbyt niskich cen.

Do ostatnich czasów, nie podstawiono realnej wartości pod słowa agentów sprzed lat sześćdziesięciu, którzy określali w Polsce Brazylię jako „kraj czarodziejski”.

## KOŚCIÓŁ, KLER I ZRZESZENIA

Wychodźca polski przybył do Brazylii w drugiej połowie i pod koniec ubiegłego wieku, nie odznaczał się ani specjalnym uświadomieniem narodowym, ani wysokim stopniem uspołecznienia. Było to zrozumiałe, ponieważ przybywał z kraju okupowanego, gdzie nikt o rozwój jego walorów osobistych nie dbał, a nawet świadomie starał się o zachowanie w ciemnocie. Niemniej, znalazłszy się na gruncie obcym, im bardziej czuł się osamotniony, bardziej też szukał spójni wzajemnej. Już same „wspominki” czyniły z niego człowieka silniej czującego po polsku i czującego Polskę. Otoczenie murem obcości wyrobiło na tej samej zasadzie jego uspołecznienie, zapragnął bowiem ucieczki od obcego świata i zbliżenia do ludzi bliskich i rozumiałych. A że był z reguły religijny, zaczął się gromadzić w stowarzyszeniach zawiązywanych ad hoc celem sprowadzenia księdza i założenia parafii z własnym kościołem. Kościół więc, który łączył ludzi i w Polsce, tym bardziej scementował ich na obczyźnie i jego jest zasługą że zapoczątkował zbiorowe i świadome życie polskie wśród kolonistów, oraz zachował dobry poziom moralny tych dobrowolnych rozbitków. Rola kleru w tej sytuacji

stała się olbrzymia i księży częstokroć położyli dla polskości w Brazylii istotne zasługi.

Pojawiać się zaczęli na koloniach dość wcześnie. Sporadycznie w latach 1869 i 1875, w czasie „gorączki brazylijskiej” przybyli z Polski i USA w większej ilości i zakrzętnęli się przy tworzeniu polskich parafii, wspierani materialnie przez ludność. Niestety gdy w okresie Rewolucji Federalistycznej zaakcentowali silniej swą polskość, spotkali się z wrogiem stanowiskiem kleru brazylijskiego. Generalny Wikariusz z Kurytyby oświadczył wręcz, że „już czas by był z Europejczykami zakończyć, wszyscy muszą stać się pod każdym względem Brazylianami, nie potrzebni nam księży i parafie innych narodowości”. Walka zogniła się tak dalece, że w roku 1893 „Gazeta Handlowo-Geograficzna” pisała: „Gdy jednak tak daleko dojdzie, że pod żadnym warunkiem nie dopuszczą nam księży, natenczas zmuszeni będziemy utworzyć schyzmę, to jest nie żeby się od Kościoła rzymsko-katolickiego odłączyć, ale jedynie dlatego, aby naród utrzymać w wierze i nie dać się wynarodowić”. Z czasem nastawienie hierarchii kościelnej brazylijskiej do Polaków znacznie się zmieniło, przez długi jednak okres było negatywne i wrogie, podkreślone prawem nakazującym zapisywanie majątku kościelnego na rzecz biskupstwa.

Sprawę pogarszali sami przedstawiciele kleru, którzy pracując dla kolonisty, jednocześnie prowadzili nieraz intrygi wzajemne lub utrudniali pracę bardziej aktywnemu elementowi świeckiemu. Wkrótce też sami Polacy, zniechęceni tym stanem spraw, zaczęli się starać o sprowadzenie księży zakonnych, licząc na to iż ci jako mniej zaangażowani w życiu prywatnym, łatwiej staną na wysokości powierzonego im zadania.

W roku 1903 przybyli do Brazylii pierwsi księży zakonnicy ze Zgromadzenia Św. Wincentego. Ale już w następnym roku sprowadzono Zgromadzenie „Verbum Divini”, zwane z polską „Werbistami”. Postarali się o to Niemcy, nasyłając albo zniemczonych księży polskiego pochodzenia, albo wręcz Niemców mówiących po polsku. Walka, tym razem między obydwojma zakonami, zawrzała na nowo i działalność początkowa Werbistów była tego rodzaju, iż wśród Polaków brazylijskich stało się popularne hasło „Precz z Hakatą w kościele”. Potrzeba było wielu lat aby Werbiści zmienili z konieczności kurs swej polityki, lub zmuszeni byli dopuścić do Zgromadzenia prawdziwych Polaków.

Po roku 1918 pojawiać się zaczęło coraz więcej księży wyświęconych już w Brazylii. Ludzie ci jednak, albo zbyt silnie uczuciowo związani byli z Brazylią by podtrzymywać świadomość narodową wśród kolonistów, albo obawiali się swych władz przełożonych. Popularność i znaczenie kleru po koloniach zaczęły więc maleć. Podtrzymywali sprawę księży nowi, wciąż przybywający z Polski. Ci, w zależności od zdolności indywidualnych, charakteru i dobrej woli — mniej lub więcej uczynili dla Polaków. Bywali wśród nich księży-urzędnicy, ale zdarzały się jednostki, któ-

re całe swe życie poświęcały dla sprawy, kapłani-pionierzy, ludzie sercem i duszą oddani pracy i opiekowaniu się swymi parafianami. Na dźwięk ich nazwisk ludziom dziś jeszcze jaśnieją twarze.

Jeszcze raz, przed Drugą Wojną Światową, przeżyli Polacy w Brazylii okres przymusowej, *par force* nacjonalizacji. Potem i to minęło. Dziś nikt nie przeszkadza kościołom polskim, a jeśli przeszkadza w obsadzaniu parafii księżmi Polakami, czyni to wyłącznie lokalna władza kościelna, niejednokrotnie z pobudek nacjonalistycznych. Musi jednak działać dyskretnie, oficjalnie bowiem tego rodzaju kurs nie istnieje.

Odczuwa się natomiast brak księży. Po ostatniej wojnie przybyło ich wprawdzie sporo, ale nie są oni w stanie obsłużyć należycie całego terenu. Ich praca zresztą, często godna naśladowania, dotyczy już tylko jednej dziedziny życia — spraw religijnych i etycznych. Organizacyjne życie zespołowe Polaków przeszło całkowicie w ręce świeckich towarzystw.

Pierwsze lata pobytu Polaków w Brazylii nie znały prawie zupełnie zrzeszeń świeckich. Protagonistą ich było Towarzystwo imienia Tadeusza Kościuszki w Parana, a lista do roku 1898 włącznie przedstawiała się nader skromnie:

Parana	13
Rio Grande do Sul	4
Santa Catarina	2
Rio de Janeiro	2
Sao Paulo	1

Ale nawet te nieliczne zrzeszenia nie przedstawiały prawie żadnej wartości rzeczywistej. Nie miały programów pracy ani wytycznych ideologicznych, nosiły charakter „akademiowy”. Istniały, bo szeregi osób ruchliwych uważało i czuło, iż istnieć powinny. Wszelkie próby ożywienia ich działalności rozбивały się o brak członków. Próby ujednolicenia i zorganizowania działalności spelzały na niczym. Ani „Pierwszy Sejm Polski” z roku 1898, ani dalsze zwoływane do koordynacji pracy i zorganizowania szkolnictwa, nie doprowadziły do niczego. Tarcia i walki osobiste z góry przekreślały wszelką rację istnienia towarzystw, a nawet tam gdzie niesnasek tych nie było, członkowie nie bardzo wiedzieli co ze sobą robić na zebraniach. Dopiero wojna skierowała umysł na żywsze i realne tory.

W roku 1913 powstały w Kurytybie „Komitet Obrony Narodowej” i „Polska Komisja Wojskowa”, które jakkolwiek niewiele potrafiły uczynić, dały początek organizacjom bardziej poważnym. W roku 1916 „Polska Komisja Wojskowa” stała się już „Zjednoczeniem Organizacji Niepodległościowych w Brazylii”, w 1918 „Związkiem Polskich Demokratów Ameryki Południowej”, z aspiracjami na objęcie działalnością całego tego kontynentu. Wreszcie z tego ostatniego zrzeszenia rodzi się pierwsza poważna organizacja, „Związek Polskich Towarzystw Kul-

tura". Działalność jego skierowana była na pomoc krajowi będącemu w wojnie, jednoczyła towarzystwa trzech Stanów i usiłowała im nadać ideowy kierunek. Wreszcie zajęła się szkolnictwem. Nie obeszło się oczywiście bez walk gdy kler założył konkurencyjny związek „Oświata”, ale oba stowarzyszenia, aczkolwiek zwalczające się wzajemnie, robiły dużo dobrego.

Jednakowoż prawdziwy program działania towarzystw zaczął powstawać dopiero po roku 1920. Związki podzieliły się wedle celów swego istnienia, tworząc komórki oświatowo-szkolne, towarzyskie, samopomocowe, sportowe, rolnicze, śpiewacze, kobiece i inne. W roku 1921 odbył się „Zjazd Polskich Kupców i Przemysłowców”, w dwa lata później usiłowano zorganizować pomoc rolnikom polskim w oparciu o Ministerstwo Rolnictwa w Rio de Janeiro, która jednak nie dała rezultatów z powodu opieszłości i niezrozumienia władz brazylijskich.

Ze uświadomienie narodowe i społeczne Polaków podniosło się znacznie w tym czasie, świadczy o tym rzetelna praca wielu ówczesnych organizacji nieraz na głębokiej prowincji, oraz sama ilość towarzystw. Głównie na terenie południowej Brazylii, ale i w całym państwie, działały w roku 1924 liczne i nieraz zamożne towarzystwa, których ilość przedstawiała się jak następuje:

„Kultura”	65	towarzystw i związków	—	1508	członków
„Oświata”	52	„	„	1515	„
Nieزرzeszone	40	„	„	1625	„
Sportowe					
i harcerskie	23	„	„	687	„
R a z e m	180	„	„	5335	„

Nie był to jednak szczyt rozwoju zespołowego życia polskiego a raczej początek dalszego jego rozrostu. W roku 1930 w samym tylko Stanie Rio Grande do Sul na około 100 tysięcy Polaków, istniało 120 towarzystw (2500 członków), 38 kół młodzieżowych (750 członków), 6 związków sportowych (250 członków), 4 towarzystwa rolnicze i 3 spółdzielnie. Na czele życia polskiego stał podówczas „Związek Zrzeszeń Polskich” z siedzibą w Porto Alegre.

Raz rozpędzone koło wirowało coraz żywiej. Polacy poczuli sens organizowania się, zasmakowali w tej swojej sile i poczuciu jedności. Liczne szkoły polskie potwierdzały rację bytu towarzystw, ludzie bez żadnych aspiracji politycznego wyodrębniania się, poczuli może po raz pierwszy, iż w tym dalekim zakątku świata są u siebie.

I wtedy to nadeszła „nacjonalizacja”, która przybrała charakter wręcz totalistyczny, jednym cięciem zaprzagnął rząd przekreślić wszystko cokolwiek zatracąco o pojęcie narodowości. Błąd ten, dziś już powszechnie zrozumiany i potępiony, nie spowodował niczego pozytywnego, ostudził natomiast rodzaje się dla Brazylii sympatie, zwalczył początkujący patriotyzm „Polaków Brazylijskich”. Przymusowe znacjonalizowanie towarzystw, nakaz

zamykania szkół polskich, wszystko to żywo przypominało metody dawnych okupantów Polski, od których olbrzymie rzesze ludzkie schroniły się do wolnego państwa. Podział na „oni” i „my” umocnił się i trwa bodaj do dnia dzisiejszego.

I podobnie jak Rewolucja Federalistyczna powstrzymała raz na zawsze masowy napływ Polaków do Brazylii, tak samo nigdy już zorganizowane życie polskie nie ożyło w tak wielkich rozmiarach, mimo, iż nacjonalizacja się zakończyła.

Dziś sytuacja nie przedstawia się bynajmniej dobrze. Znacjonalizowane towarzystwa, jeśli nawet istnieją — drzemią. Te zaś nieliczne które oparły się nacjonalizacji — mają prawo przyjmować jako członków tylko Polaków, a trzeba pamiętać że w Brazylii każdy urodzony na tej ziemi jest automatycznie Brazylianie. Nie ma więc prawa zostać rzeczywistym członkiem żadnego związku obcokrajowego, jakkolwiek praktycznie władze przymykają oko na istniejący stan rzeczy. Formalnie jednak, towarzystwa są dla nich zamknięte, co wobec braku dopływu świeżego elementu emigracyjnego — grozi śmiercią nieznacjonalizowanym organizacjom.

Poza tym towarzystwa polskie w Brazylii potraciły orientację, do czego między innymi przyczynił się również rozłam polityczny „góry” nowej emigracji. Spraw tych zasiedziała kolonia polska w Brazylii nie rozumie i rozumieć ani usprawiedliwiać nie chce, zniechęca się natomiast bardzo choć nie à propos, do spraw polskich w ogóle. Ale niezależnie od tego momentu, towarzystwa nie posiadają baz ideologicznych i tracą rację bytu, stając się powoli barami z wyszynkiem, w których mówi się po polsku. Bogate i dla ludzi zamożnych przeznaczone towarzystwa w Rio de Janeiro czy Sao Paulo, są już organizacjami kastowymi arystokracji pieniądza i mało mają wspólnego z jakąkolwiek ideowością. W skupiskach zaś rolniczych i robotniczych, sama łezka Polaków-tradycjonalistów, jakkolwiek nie pozbawiona wielkich nawet wartości, nie wystarcza również jako cel. Sentyment nie jest momentem twórczym, mimo całego swego romantyzmu i piękna.

## SZKOŁA POLSKA

„Ciekawa to karta dziejów naszego wychodźstwa na Antypodach, może nieraz bolesna, może nieraz przykra, niemniej na niej pisała kolonia swą wolę, że chce pozostać polską” — pisał konsul Głuchowski w swej książce „Wśród Pionierów Polskich na Antypodach”.

Jest znamienne, że nieświadomiony chłop ostatnich lat ubiegłego stulecia rozumiał nieraz potrzebę szkoły i starał się o jej utrzymanie na swej kolonii. Inicjatywa jego i aprobata, jakkolwiek nie stworzyłyby szkolnictwa bez pomocy ludzi bar-

dziej oświeconych, były momentem nieodzownym dla jego istnienia.

Ale początki tego szkolnictwa, pierwsza szkoła — nie była zasługą społeczeństwa. Wymarzył ją sobie i stworzył w Orleans, Stan Parana, w roku 1876, skromny i łagodny człowiek, Hieronim Durski. Zasłużył sobie w przyszłości na tytuł „ojca szkolnictwa w Brazylii”, a rozpoczął od 41 dzieci polskich i jednego angielskiego. Opracował nawet elementarz polsko-portugalski, który mu wydano w Poznaniu w roku 1893. Niestety osobista niechęć i warcholstwo tamtejszego księdza polskiego doprowadziły do tego, że rząd zamknął szkołę na skutek skarg tego kapłana smutnej pamięci. Próby Durskiego zakładania szkół w innych miejscowościach również spełzyły na niczym, ksiądz bowiem pilnował sprawy i intrygami doprowadzał każdorazowo do likwidacji szkółek.

Był to jednak zaledwie fragment, o tyle tylko przykry, że mający miejsce zaraz przy pierwszych próbach organizacji szkolnictwa. Gorzej, że podobnie jak nie powiodło się Durskiemu, mało sukcesów odnieśli również inni świadomi ludzie starający się o zakładanie szkół. W Stanach Parana i Santa Catarina notowane były wprawdzie szkoły rządowe prowadzone przez Polaków, istniały jednak w niewielkiej ilości i szkolnictwo nie objęło większej liczby dzieci. Lepiej było pod tym względem w Rio Grande do Sul, czego przyczyną była między innymi niejednolita postawa poszczególnych Stanów wobec szkół obcokrajowych.

Podczas gdy w Stanie Rio Grande do Sul od początków kolonizacji polskiej aż po czasy gwałtownej nacjonalizacji w latach trzydziestych naszego wieku, panowała jeśli chodzi o szkolnictwo względna tolerancja — pozostałe dwa Stany walczyć musiały o swoje szkoły, istnienie których obwarowane było i zaciskane coraz bardziej ograniczającymi przepisami.

Ale do roku 1909 sytuacja przedstawiała się mimo wszystko znośnie. Szkolnictwo polskie, zrazu samorodne i bezprogramowe, a niemal z reguły obsługiwane przez ludzi których kwalifikacje pedagogiczne kończyły się na dobrej woli — rozwijało się jednak zwolna. Rok 1897 przyniósł pierwszą myśl organizacji międzyszkolnej i większy zastęp nauczycielstwa. Męczennicy ci zdani byli kompletnie na łaskę i niełaskę kolonistów, którzy zbierali składkę na pedagoga, płacili go wedle swej oceny, wtrącaли się do programów nauczania i decydowali prawie z reguły sami o istnieniu lub nie istnieniu szkoły w danej kolonii. Duchowieństwo całkowicie uchylało się od nauczania, zajęte sprawami parafialnymi, i osobistymi. W najlepszym wypadku nie przeszkadzało, w gorszych utrudniało pracę.

Sytuacja zaczęła się jednak wkrótce po tym zmieniać. Już w 1899 roku księża zrewidowali swe nastawienie do spraw nauczania, zmienił się ich skład osobowy — praca mogła się rozszerzyć, stanąć na lepszym poziomie i objąć większą ilość kolonii.

Gdy wkrótce potem (1904) założono w Kurytybie „Towarzystwo Szkoły Ludowej” oraz sprowadzono Siostry Miłosierdzia z

Polski, szkolnictwo zaczęło się szybko podnosić zarówno ilościowo jak i pod względem poziomu. Wprawdzie Brazylija wprowadziła w roku 1909 przepis mocą którego „z wyjątkiem praktycznej nauki języków obcych” wszystkie inne przedmioty miały być wykładane po portugalsku, co było katastrofą między innymi i dlatego że nauczyciele nie znali wystarczająco tego języka, ale na szczęście przepis pozostał na papierze.

Wkrótce Parana miała już szkołę średnią, zaś w roku 1913 sprawa nauczania polskiego w Brazylii przedstawiała się jak następuje:

Parana 12 szkół — 840 dzieci (szkoły Siostr Miłosierdzia i 34 szkoły — 1020 dzieci (szkoły T-wa Szkoły Ludowej);

Rio Grande do Sul 17 szkół — 425 dzieci (szkoły T-wa Szkoły Ludowej);

Santa Catarina 9 szkół — 180 dzieci (szkoły T-wa Szkoły Ludowej);

Sao Paulo 1 szkoła — ?

Liczne jeszcze były wahania rozwoju szkół polskich w Brazylii. Raz utrudniał pracę rząd wydając coraz ostrzejsze zarządzenia ograniczające, innym razem koloniści tracili entuzjazm i przestawali opłacać nauczyciela, to znowu intrygi i kłótnie wewnętrzne powodowały kryzysy. Sprawa weszła na inne zupełnie, nowe i realne tory dopiero z chwilą gdy w 1921 roku utworzone zostało w Parana Towarzystwo „Kultura”, które żywo i fachowo zajęło się sprawami szkół. I znowu walka zadecydowała o pomyslnym rozwoju oświaty.

Nauczycielstwo świeckie wyszło z założenia, iż wykłady religii w szkołach pozostawić należy „sumieniu obywateli i ich woli”, to znaczy decyzji rodziców, wyrażonej poprzez swe towarzystwa. Ze stanowiskiem tym kler nie chciał się absolutnie pogodzić i celem zwalczania „Kultury” założył szkolne towarzystwo własne, zgodne programowo ze świeckimi szkołami, a różniące się tym, iż wykłady religii były w szkołach księży przymusowe. Towarzystwo swoje nazwali księża „Oświata” i już sam fakt posiadania takiej organizacji dopingował ich do rzetelnej pracy. Jedynym destrukcyjnym momentem bywały w tej sytuacji lokalne bruzdzenia i odciąganie ludzi od „Kultury”, ogólnie jednak konkurencja obu organizacji dała znakomite wyniki i podniosła znacznie poziom nauczania, zagęszczając przy tym sieć szkół do ilości dotychczas nie notowanych. Obie organizacje starały się zgodnie o uzyskanie przez poszczególnych nauczycieli praw nauczania oficjalnego. Potworzono kursy i osiągnięto kilkadziesiąt pozytywnych wyników. Nauczyciele z prawami legalizowali *eo ipso* istnienie szkół w których wykładali. Takie legalne i pół legalne szkoły stworzyły wkrótce prawdziwą sieć, obejmując swym zasięgiem coraz większą ilość dzieci. W roku 1924 liczby zaczęły być imponujące i przedstawiały się jak poniżej:

Parana szkół 79, dzieci 3623 oraz 60 niepolskich, nauczycieli 88  
Rio Grande do Sul szkół 48, dzieci 1737 oraz 38 niepolskich,  
nauczycieli 47,

Santa Catarina szkół 17, dzieci 593 oraz 44 niepolskich, nau-  
czycieli 18,

Rio de Janeiro szkół 1, dzieci 40, nauczycieli 1.

Razem: Szkół 144, dzieci 5993, oraz 242 niepolskich, nauczy-  
cieli 155.

Ale i po tym roku ilość szkół rosła. Zagadnienie stało się ogólne, świata nadzieja że wszystkie dzieci polskie otrzymają elementarne wykształcenie. Pojawiać się zaczęli nauczyciele z Polski, instruktorzy szkolni (na bardzo nota bene różnym poziomie umysłowym i moralnym), podręczniki, biblioteki. „Nowa Polska” z okresu „gorączki brazylijskiej” formowała się obecnie na polu oświaty. Zarówno nauczycielstwo świeckie jak duchowni, zarówno księża świeccy jak zakonni, jak wreszcie najbardziej ze wszystkich ofiarne Siostry kilku zakonów sprowadzone w międzyczasie do Brazylii — wszyscy pracowali i pracowali przeważnie dobrze, natrafiając na zadziwiające zrozumienie i współpracę ogółu kolonistów. W niewielkiej kolonii Sao Braz w Rio Grande do Sul, czytamy w księdze protokołów Towarzystwa Księcia Józefa Poniatowskiego (Protokół Nr 50 z dnia 8.3. 1925), takie na przykład piękne, z serca płynące słowa:

„Tylko Pan Bóg może stworzyć cudownie szkoły, a my możemy tylko zrobić cud, budując naszymi rękami i datkami szkołę, aby nasze dzieci mogły zdobywać przez zdrową naukę, prawdziwą wiedzę”.

Wobec takiego nastawienia ogółu, nacjonalizacja spadła na Polaków brazylijskich równie nagle jak tragicznie. Szkolnictwo polskie zamarło, Brazylija swego rządowego nie była w stanie zorganizować, nie zorganizowała go zresztą należycie do dnia dzisiejszego. Dzieci pozostały bez szkół, analfabetyzm wzrósł zastraszająco, przyszłość młodzieży na koloniach bez oświaty została zdecydowanie przekreślona. Nieprzemysłany krok równie wiele złego przyniósł jednostkom, jak i państwu, które dobrowolnie skazało się na obywateli i mieszkańców bez przyszłości. Można śmiało stwierdzić że ucierpiało na tym i rolnictwo i rzemiosło i handel. Okres czasu który szereg narodów świata poświęciło na całkowitą i bezpowrotną likwidację zagadnienia analfabetyzmu, tu przyniósł obskurantyzm, do dziś dnia pokutujący po koloniach.

Ostatnie lata równie dalekie są od wymagań nowoczesnych, jak tamte sprzed ostatniej wojny. Wprawdzie dziś już większość kolonii ma szkoły powszechne, wiele jednak ośrodków jest ich pozbawionych. Brak budynków szkolnych, brak kredytów na wyposażenie nauczycielstwa, to ostatnie odmawia wyjazdu w teren, przymusu w tym względzie oczywiście nie ma. Nieujednocione programy i brak nadzoru szkolnego, a więc odpowiedniej ilości wizytatorów, powodują dowolność nauczania i nieuczciwość nau-

czycieli. Olbrzymi teren żyje jak za dawnych lat, pozostawiony samemu sobie.

Inną jest sprawą, iż coraz więcej młodzieży polskiej pojawiać się zaczyna w średnich i wyższych zakładach naukowych. To już jest zasługą indywidualną poszczególnych świątlejszych kolonistów, którzy dobrowolnie łożą na naukę dzieci. Zasługą jest niektórych księży polskich, iż starają się i uzyskują dla dzieci kolonistów stypendia, nota bene wyłącznie w seminariach duchowych. Tam też kształcą się sporo młodzieży polskiej. Inna kończy szkoły fachowe i średnie, część przedostaje się do zakładów wyższych, uzyskując magisteria różnych wydziałów i oddając się różnym zawodom, z reguły oczywiście w mieście. Jest to jednak kwestia lat ostatnich, powojennych w każdym razie i nie wiele ma wspólnego z ogólnym poziomem umysłowym polskiego kolonisty w dalekim, odległościami brazylijskimi liczoną „interiorze”.

W mieście, gdzie szkoły są na miejscu i gdzie działa doping chociażby w formie przykładu branego z otoczenia, sprawa przedstawia się o wiele lepiej. Można nawet zaryzykować twierdzenie, iż sytuacja ta jest tam dobra. W każdym razie nie ma praktycznie dzieci polskich, które nie ukończyłyby szkoły elementarnej.

Jest interesującym zjawiskiem, iż obecne pokolenie młodzieży stanowi pierwszą generację masowo uczęszczającą do szkół. Wskazuje to na podniesienie się poziomu umysłowego rodziców tych dzieci i pozwala na optymistyczny pogląd na temat przyszłości polskiej młodzieży miejskiej. Wieś-kolonia, jakkolwiek budząca się powoli, jest jeszcze od tego momentu bardzo daleka.

## DZIŚ I JUTRO POLSKIE W BRAZYLII

Chcąc mówić o obecnym Polaku, czy potomku Polaka w Brazylii, trzeba rozróżnić zdecydowanie dwie jego sylwetki: mieszczanina i kolonistę.

W mieście — pomijając ludzi dobrze sytuowanych materialnie z tytułu wykształcenia lub wyjątkowo wysokiego statusu majątkowego — Polak nie wiele różni się od otoczenia innych narodowości. Jako robotnik dobrze pracujący, lepiej też jest płatny. W małżeństwach robotniczych najczęściej pracują mąż i żona, skutkiem czego po latach ogromnego wysiłku i poświęcenia, a z reguły za cenę nadszarpniętego zdrowia i tradycyjnych w Brazylii żyłaków — dorabiają się terenu i domku. Jest to osiągalne oczywiście tylko dlatego, iż tereny te kupić można na długoterminowe raty. Mieszkanie Polacy urządzają sobie na wzór otoczenia, często schludnie i czysto. Dzieci posyłają do szkół.

Ponad połowa ogółu mieszczan-Polaków separuje się od życia organizacyjnego, a nawet towarzyskiego w swej grupie etnicznej i wsiąka całkowicie w życie miejscowe, bez tęsknot do wyod-

rębniania się od portugalsko-języcznej większości. Czasem, ulegając podświadomemu poczuciu niższości, stara się o zatarcie śladów swego pochodzenia. Wychowana na opowiadaniach o dawnej „bezpieczeństwie” w okupowanym kraju, rozumie znalezienie się w Brazylii jako polityczno-społeczny awans.

Reszta szuka wspólnoty. Łączy się w grupy towarzyskie, żeni między sobą, odczuwa potrzebę zrzeszania się. Polskę i swój z niej exodus widzi subiektywnie. Własną, lub znaną z klechd rodzinnych sytuację w kraju utożsamia z ogólną sytuacją tamtego narodu i państwa. Stąd albo wszystko w Polsce bywało z reguły lepsze niż jest w Brazylii, albo też Polska była cięższym, terenem krzywdy i nędzy. Sytuacja Polski z ostatnich lat przed Drugą Wojną, lub tym bardziej po tej wojnie, jest kompletnie nierozumiana. Polska zamrożona została w umysłach bądź w okresie dewaluacji i upadku marki, bądź kryzysu światowego, bądź wreszcie jest pojęciem gubernialno-rublowym. Z reguły też ograniczona się ta Polska do wspomnień o rodzinnej wiosce, co najwyżej o „lubelszczyźnie”, czy „poznańskim”.

Obecna sytuacja, a w związku z tym konieczność zajęcia pewnego stanowiska — to kompletny chaos. Wyczucie swego miejsca i postawy najczęściej zależne bywa od chwilowej opinii większości, od kontaktów z ludźmi o wyrobionym takim czy innym zdaniu, od korespondencji z krajem, nieraz od pobytu statku polskiego, o tak czy inaczej rozumującej lub mówiącej załodze. Dopiero ostatnio powrotowicze z Polski, którym udało się po kilku latach pobytu w starej ojczyźnie powrócić do Brazylii — zaczynają ujednoczać opinię ogółu w kierunku jak najbardziej negatywnym wobec tamtejszego stanu spraw i ustroju.

Młodzież odchodzi z reguły od polskości, częstokroć jednak wraca do spraw swego pochodzenia z chwilą dojścia do dojrzałości umysłowej. Powszechne jest zjawisko obecności w organizacjach polonijnych niedorostków, odchodzenie ludzi dojrzejących i młodych, oraz powrót starszych, którzy rozejrzawszy się trzeźwo w formach i poziomie życia miejscowego i jego bezideowości, nie mają już powodów dezawuować swej polskości i wracają do zainteresowań polskimi sprawami.

Osiągnięcia młodzieży polskiej zarówno z miast jak i z kolonii w zakładach naukowych wszystkich szczebli, są z reguły duże. Postępy w nauce i inteligencja na wysokim poziomie, młodzież polska raczej wyrasta ponad ogół młodzieży innego pochodzenia. Mniej też boi się studiowania w złych warunkach materialnych, aniżeli jej koledzy z innych grup etnicznych. Ponieważ masowe uczęszczanie do szkół jest faktem notowanym dopiero od niedawna, można przypuszczać że w ciągu najbliższych lat duży odsetek Polaków przejdzie z grupy robotniczej do innych zawodów i wypełni dotychczasową lukę braku inteligencji polskiego pochodzenia. Ale też prawdopodobnie już tylko część tych ludzi zechce pamiętać o tym pochodzeniu i świadomość tę dyskutować na dobro spraw polskich. Wynarodowienie „z du-

cha” będzie tam zjawiskiem raczej nieuniknionym i szybko postępującym. Symptomy tego rodzaju notuje się już obecnie.

Polak z kolonii stanowi sylwetkę zupełnie inną aniżeli robotnik-mieszczanin. Wszystkie cechy jakie zachował lub nabył, występują tam w postaci oryginalnej, nie skażonej nabytkami z szerszego świata, nie oszlifowanej wpływami otoczenia. Ponieważ otoczenie jest podobne bo najczęściej polskie, właściwości te są raczej podsycane i trwają niezmiennione. Kolonista polski, zwłaszcza emigrant sprzed lat trzydziestu, jest dziś dokładną kopią chłopca polskiego z tamtego okresu. Przetrwiał w hermetycznym zamknięciu odległości i „boru”, nie podlegając przeobrażeniom chłopca z kraju, którego przewalcowało ostatnich dwadzieścia lat.

Jeśli cechy przyniesione z Europy należy zaliczyć do pozytywnych w dziedzinie wartości moralnych lub pewnych cech charakteru, to wiele innych spośród nich nie przynosi zaszczytu polskiemu koloniście.

Rysem górującym bodaj wśród Polaków brazylijskich jest ich pracowitość. Przyszli z nią z ojczyzny, wykorzystali w pierwszych latach pobytu na południu, kiedy to ona jedynie, podsycana istic „chłopskim uporem”, zachowała ich od zguby. Nie rozstają się też z nią do dni obecnych. Nie mając żadnej pomocy z zewnątrz i nie rozporządzając kapitałem, dyskutowali ten swój rys charakteru i czyniliby to dotychczas z powodzeniem, gdyby mógł on im zastąpić inne cechy jakich im brakuje: inicjatywę, przemysłowość, umiejętność ryzykowania i wykorzystanie doświadczeń innych ludzi, wreszcie zdolność do uprzemysławiania swych gospodarstw. Ci koloniści, którzy potrafili wyjść poza uprawę roli zakładając czy to młyny wodne, czy hodowlę nierogacizny, uprawę i przeróbkę liści drzewa *ilex paraguayensis na herwa mate*, ulubiony napój brazylijski, ci wreszcie którzy zdobyli się na maszyny rolnicze i zakup sztucznych nawozów — przodują, podnoszą się materialnie i z roku na rok stają się ludźmi zamożnymi. Inni wegetują, wygrzebawszy się zaledwie z biedy i niedostatku.

Większość Polaków brazylijskich przybyła do tego kraju w okresie, gdy inni zaoceaniczni emigranci nie błyszczeli u siebie w domowych pieleszach czystością i postępem i nie mogli się poszczycić zaawansowanym poziomem umysłowym i wyrobieniem społecznym. Gdy jednak inni potrafili się do chwili obecnej oszlifować bodaj zewnętrznie, Polak-kolonista pozostał częstokroć w byle jak sklecone własnymi rękami chacie, nie nauczył się przywiązywać bodaj wagi do wyglądu zewnętrznego „na co dzień”, czasem nawet mydła do prania i mycia. Podczas kiedy inni swój nabój pracowitości podparli maszyną rolniczą wygospodarowaną z zarobku, uprzemysłowieniem gospodarki, ulepszonym narzędziem pracy, czy wreszcie urządzeniem sobie wygod życia codziennego, Polak niejednokrotnie pozostał w chacie z klepiskiem zamiast podłogi, z cepem z patyka przy młocie, z niezajomością należytego wykorzystania gleby celem rozwoju i ulepszenia gospodarki.



Polak twierdzi słusznie i wie, że tylko niezamożność nie pozwala mu na zakup samochodu ciężarowego, którym odprowadziłby do miasta swe plody rolne, z pominięciem iście krwiożerczych pośredników. Ale w osłupienie wprawia go sugestia, iż taką ciężarówkę można by kupić na spółkę. Wie, że potrzebne mu są nawozy sztuczne i że nawet wysułałyby grosze na ich zakup, ale zasłania się nieobecnością w okolicy agenta firmy tych sztucznych nawozów, nie zastanawiając się nad tym, iż agenta tego należałoby poszukać. Wie, że potrzeba by mu podreperowano drogę dojazdową i że kredytami na ten cel rozporządza i dysponuje samorząd terytorialny niższego lub wyższego stopnia. Ale nie przyjdzie mu na myśl, iż można by z kolonii posłać do tego samorządu delegację z odpowiednim podaniem, co w myśl rozumowania miejscowego, iż kto prosi — otrzymuje, kto zaś milczy — daje świadectwo że nie potrzebuje, prawdopodobnie wcześniej czy później odniosłoby pożądaný skutek. Przywiązany w Polsce całą swoją istotą do roli, *glebae adsriptus* z potrzeby duszy — gdy raz zaawanturował się i zdobył na desperacki krok porzucenia zagrody i przeniesienia się na ziemię Nowego Świata, dał się opanować gorączce pędu do zmiany miejsca pobytu i pracy. Po kilku latach gospodarzenia sprzedaje lub porzuca własność i wędruje dalej na północ, do wymyślnego Eldorado, gdzie znowu zaczynać musi od początku wgrzyzanie się w puszcę. A dawną jego gospodarzkę obejmuje z powodzeniem Włoch lub Niemiec. Z powodzeniem, bo zamiast kłębowiska drzew i krzewów, które zjadały zdrowie chłopca polskiego, dziedziży rolę w kulturze. A dawny polski właściciel od początku gryzie piniory na nowej kolonii, dwa lub trzy razy większej, bo po to właśnie zmienił miejsce pobytu, pieczołowicie dzieląc w myśli gospodarzkę między licznych do niej pretendentów, gromadę dzieci.

Ofiarnością swoją i pracą Polacy zapewnili sobie średni byt materialny i położyli kolosalne zasługi dla Brazylii, kolonizując i wykorzystując olbrzymie połacie dawniej dzikich i niedostępnych nieużytków. Ale za cenę wysiłku i kosztów jakie ponieśli, winni stać na o wiele wyższym stopniu tak materialnym, jak i intelektualnym.

Rząd pomaga mało i nieumiejętnie. Polityka gospodarowania bogactwem gleby jest licha i nieprzemysłana. Kładzie to zagadnienie rolnictwa w skali państwowej na łopatki, ale inni w identycznych warunkach i kosztem mniejszych ofiar potrafili sobie stworzyć byt lepszy i bardziej dostatni, a życie swoje wykorzystując o wiele bardziej od zaharowanego, na końcu świata mieszkającego i wegetującego w prymitywie Polaka.

Nie stanowi to wszystko reguły, nie oznacza generalnego prymitywizmu polskiej grupy ni masowej ciemnoty. Szkoła wkra-  
cza wszędzie, budzą się tęsknoty, rośnie zamożność, a wraz z nią idzie i postęp. Ale bardzo duży procent elementu polskiego, zniechęcony i nawet rozgorączcony opuszczeniem i niezrozumieniem, kisi się we własnym sosie, żywo przypominającym kwaśnawy

zapach chaty polskiej z ostatnich lat ubiegłego stulecia. Górując intelektualnie ponad poziomem ogólnym we wszelkich zakładach naukowych, u siebie na kolonii jest raczej bierny i defensywny, uplasowany w postawie wyczekiwania, chętnie rozmawiający ze „znającą” babką, aniżeli z lekarzem.

Poziomem umysłowym polski kolonista nie odbiega zresztą od otoczenia. Niemiecki Franz, włoski Giuseppe, czy portugalski Manoel, są przedstawicielami podobnej mentalności i stoją na wsi na tym samym stopniu rozwoju intelektualnego. Polak jest może nawet inteligentniejszy — tamci natomiast bardziej sprytni i przedsiębiorczy. I mają wśród siebie więcej inteligencji, ludzi po szkołach, skąd start ich jako grup etnicznych jest oczywiście lepszy. Ale że szkoła wchłania dziś coraz więcej Polaków, przeto wolno przewidywać, iż baza startu życiowego zacznie się wkrótce wyrównywać.

Moralnie polscy koloniści stoją na dobrym, może bardzo dobrym poziomie. Narodowe poswarki, tak miłe sercu Polaka, mają tam dostęp podobnie jak wszędzie, ale etyka chrześcijańska i ogólna ludzka jest silnie zakorzeniona i zrosnięta z sylwetką zarówno starego Bartłomieja i Wojciecha, jak i młodego Luiza, Sergia czy Vicente, syna rolnika znad Wisły. Ponadto, Brazylią może być pewna elementu polskiego, który jest niewątpliwie lojalny i chce nim pozostać mimo głęboko zakorzenionego sceptycyzmu pod adresem władz państwa, którego jest obywatelem czy mieszkańcem. Ale sceptycyzm to rzecz powszechna wśród wszystkich Brazylianów. Powszechna i uzasadniona.

Świadomość polskości po koloniach jest jeszcze wciąż żywa i zdecydowana, a język polski w lepszym czy gorszym stopniu opanowany. Ale i tam, podobnie jak w miastach, młodzież zaczyna uważać język portugalski jako „swoj”, pierwszy przed ubocznym polskim. To co nazywamy wynaradawianiem się, nastąpi wśród polskich kolonistów na pewno, tak jak na pewno nastąpi w miastach.

Polacy brazylijscy stoją niewątpliwie na przełomie dwu epok historycznych, jeśli uznamy jako historię fragment polski na Ziemi Świętego Krzyża. Dotychczas ludzie ci szli polską ścieżką po niezmiernych przestrzeniach Brazylii. Dziś, gdy wysycha źródło doprowadzające z kraju nową polskość, gdy szkoły, wspomagając rozwój umysłowy i dając nadzieje na podniesienie stopy życiowej, „brazylianizują” jednocześnie Polaka, a starsze pokolenie przynosi się do lepszego świata — ścieżka polska zaczyna porastać trawą i zachwaszczać poleśną „capoeira”.

Innym natomiast zagadnieniem jest, czego spodziewać się będzie można od tych przyszłych „odjęzycznych” Polaków brazylijskich. Ale to już jest sprawa ogólna, sprawa swoistej polskości całej Polonii Zagranicznej świata.

## KONTYNENTY - NOWY MERKURIUSZ

Niezależne pismo młodej inteligencji. Ci, którym na sercu, nie na języku, leży utrzymanie młodzieży emigracyjnej przy polskośći, zadbają o to, by niezależność jej pisma utrzymać. Niniejszym rozpisujemy apel o Fundusz Wydawniczy „Nowego Merkuriusza”, sądząc iż wkład ten się opłaci.

Zespół i ewentualne pieniądze nie tworzą jednak pisma. Jego bazą są czytelnicy. Wszystkich zainteresowanych prosimy o nadsyłanie prenumerat na adres podany poniżej.

Nie mamy do ofiarowania gwarancji. Liczymy na ryzykantów. Legitymacją naszą jest dotychczasowa działalność „Merkuriusza Polskiego”, którą zespół nasz prowadził od dwu lat.

Skład zespołu redakcyjnego:

Maria Badowicz  
Andrzej Busza  
Bogdan Czaykowski  
Adam Czerniawski  
Jan M. Ciechanowski  
Jan Darowski  
Ewa Dietrich  
Gustaw Radwański  
Jerzy S. Sito  
Bolesław Sulik  
Florian Śmieja  
Bolesław Taborski

Prenumerata roczna 12/ — w W. Brytanii, w innych krajach równowartość \$2 w międzynarodowych przekazach pocztowych, pod adresem: *Kontynenty — Nowy Merkuriusz* c/o B. Czaykowski, 14 Lilyville Road, London S.W.6.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.  
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:  
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

## Kronika kulturalna

### Akademia i Norwid

Akademia ku czci Norwida (\*): samo połączenie słów *Norwid* i *Akademia* to paradoks, który sobie uświadomiłem w miarę przygotowywania się do tego przemówienia.

Norwid nie znosił polskich jubileuszów i akademii. Występował przeciwko stylowi tych manifestacji — wątpię by się od tego czasu bardzo zmieniły — widział w nich topienie prawd istotnych, różnic istotnych we wspomnieniach uróżwionej i ucukrowanej przeszłości, nie ożywianie, lecz usychanie ducha społecznego:

„Jubileuszowanie polskie trąci zawsze zgnilizną”, pisze w liście do Seweryna Duchńskiego rok przed śmiercią, i dalej jeszcze:

„Mam obrzydzenie do polskiego jubileuszowania: to jest zawsze dowodem umarłości narodu i społeczeństwa”.

Więc o co chodzi, co powinniśmy zrobić, by ta nasza akademia nie była nowym zagrzebaniem Norwida. Wywyższając go mechanicznie do rangi czwartego wieszca, nie wiem czy mu pomagamy się *objawić*.

Postarajmy się spojrzeć na niego jakim był, bez przycinania go na naszą miarę. Norwid umarł w tym domu, przygarbięty na siedem ostatnich lat swego życia przez dobre siostry Św. Wincentego à Paulo, przez społeczeństwo zapomniany — więcej bo *wzgardzony*.

„Promethidiony, Zwolony i inne Androny” — tak mówił o Norwidzie Klaczko; uważał że jedno jest dla niego miejsce: u Bonifratrów tzn. w zakładzie dla wariatów, a nawet jeden z znacznych, wiernych przyjaciół Norwida, najlepszy z ludzi, Bohdan Zaleski, sam poeta, pisał o nim:

„Nasz zacny i zdziwaczały Norwidek”.

(\*) Przemówienie w Zakładzie Św. Kazimierza w Paryżu, na Akademii w 75-ą rocznicę zgonu Norwida.

Norwid chciał być *kolcem*, który budzi nas z uśpienia, z kultu frazesu, a frazesem było dla niego każde słowo nieprzeżyte, a tylko powtórzone. Mowa Norwida była twarda, bo każde jego zdanie było wyrazem doświadczenia osobistego, samotnego, przeżytego do końca; słowo obowiązywało go zawsze.

Jeżeli chcemy uczyć Norwida, to znaczący go wykorzystywać tak jak on chciał być wykorzystany, czytamy jego listy, które, jak sam pisze, improwizował nigdy nie odczytując, do przyjaciół, do możnych czy biedaków, do wodzów powstania, do Władysława Zamoyskiego czy Mierosławskiego, do Hercena czy Zaleskich, czy do tych paru mu oddanych kobiet; nigdzie tak jak w tych listach nie jesteśmy w stanie odczuć jakim był w całej pełni swojego istnienia poetą i człowiekiem.

Wyobraźmy go sobie żywego, pomyślmy jakby był przez nas przyjęty dziś, biedny, wciąż w pogoni za pożyczką, dumny jednocześnie, piętnujący nasze wady, nieustannie wszystkich pouczający i nieustępliwy. Pomyślmy jak traktujemy jego braci wśród nas żyjących. Zawsze słyszymy, że *styl* jego jest trudny, ale nie o styl tylko tu chodzi, nie ma stylu, nie ma formy, której by sama budowa, rytm, akcenty nie wyrażały takiej a nie innej treści człowieka. Chodzi tu o samą istotę Norwida.

Słodycz Norwida, słodycz takich wierszy jak „Do kraju tego” albo „Nad Capuletich i Montekich domem...”, to słodycz do której nam dotrzeć wolno, tylko jeżeli gotowi jesteśmy również przegryźć się przez gorzką skorupę jego ironii, jego surowej bezwzględności w sądzeniu nas, Polaków. Oddała się on całe życie od społeczeństwa, prędzej ono się od niego oddała, nie drukując jego artykułów, memoriałów, wierszy, gubiąc po redakcjach jego teksty — bo temu społeczeństwu Norwid nie basuje i występuje przeciwko ogólnie przyjętym pewnikom. Czy po stu latach reakcja naszego społeczeństwa emigracyjnego na Norwida żywego — byłaby inna?

Emigracja jemu współczesna biła się nie tylko w dwóch powstaniach, nie tylko w rewolucji węgierskiej, w wyprawach kaukaskich, czy na polach Lombardii, ale i w legionach Don Pedra Portugalskiego, w algierskiej Legii Cudzoziemskiej i w ilu jeszcze wyprawach wojennych, najdalszego nawet z Polską nie mających związku: nie tylko pojedynki wśród niej były na porządku dziennym, ale dochodziło nieraz do „pojedynków” *gromadnych* — to była emigracja, o której pisał Słowacki, że dobra jest tylko do korda. Otóż temu społeczeństwu emigracyjnemu Norwid miał śmiałość powiedzieć: „Nie wierzę, żeby krew zdobywała przyszłość (mianowicie od dziesiętnastu wieków). Ja wierzę, że *pot* czoła, ale nie *krw*!! Kapitalne to różnice pojęć, które nie dopuszczają obcowania pożytecznego”.

Ząda oszczędności, krwi i życia i wraca z profetyczną pasją do tego, że „będzie co kilkanaście lat rzeź (sic), rzeź niewinnych, i będzie zniszczenie i nicota — tak będzie”. Bo wojny, bo przelew krwi ominąć można tylko, gdyby *myśl* panowała nad energią.

„A u nas energia zawsze przed myślą wyskoczy”.

„Bitwy, dlatego tylko bywają, iż heroizm nie bywa pierwaj na wszystkich polach życia praktykowanym. Stąd bitwy są chirurgią, a nie medycyną”.

W życiu codziennym nie umiemy walczyć o swoją prawdę, jesteśmy nie tylko leniwi umysłowo, ale tchórzliwi. Ten zarzut jest może najczęściej przez Norwida formułowany. Narodowi najodważniejszemu na polu bitwy brak odwagi cywilnej. Pod tym względem może najbardziej znamienity z jego listów to list do Kraszewskiego z 1866 r. z Paryża. Norwid pisze tam o targach swoich z Zygmuntem Kraszińskim, człowiekiem którego kochał i mówił o nim jak o jednym z rzadkich Polaków, z którym można „szlachetnie się różnić”, bo Polacy według niego „umieją adorować albo bezczęścić — nigdy oceniać”.

„Mówiłem Zygmunтови — pisze w tym liście — przed śmiercią jego, gdy przyszedł do mnie, do tego kąta, gdzie byleś pod moją nieobecność. Mówiłem mu, *łzecie, nie ufacie następstwu prawdy*, i mistrzostwu wszechprzutomnego Boga!... To zaś *ufanie w konsekwencje prawdy zwie się NADZIEJĄ (cnotą)*”.

Czym była ta prawda Norwida?

„Co prawdą jest, jest nią w obrocie planet na niebiesiach i w ziarnku piasku i w sercu i w *kieszeni i wszędzie*. Inaczej to żarty”.

Otóż w liście tym do Kraszewskiego występuje on przeciwko temu, co uważa u nas za *strach prawdy*:

„Oni (Polacy), gotowi wylać *morze krwi*, ale *kilku wyrazów prawdy nie powiedzą...*”, a do Merzbacha w tym samym czasie: „Moi zacni, utalentowani koledzy grzeszą przez brak czujności i odwagi cywilnej... Kiedy dojdziemy do dni, kiedy *mówić o głupstwie, że jest głupstwem nie będzie zdradą stanu!*?? Tak niepewne swej cnoty i jej zasad pensjonarki angielskie osiemnastoletnie z jasnymi włosami, uchylają się i podejmując fiołki — niesłychanie tym są zaprzatnięte, azali spódnic ich na nieład nie naraża gest niewinny?? Inaczej zaprawdę schylała się Debora i Judyth. Wcale owej podrzędnej nie mając galanterii”.

Gdy chciano mu wmówić, że społeczeństwo niedojrzałe jest do prawdy — pisał:

„Od nas zależy jaki wiek ma publiczność, która nas słucha. Książki to nie ciastka, ale strzały armatnie, których trzeba obrachowywać linię krzywą i czas przebiegnięcia pocisku”.

W panowaniu *energii* nad myślą, inteligencją, planowaniem, w tym polskim odwróceniu kolejności widzi Norwid źródło naszych tragedii.

„Wy rewolucjoniści, wy postępowi ludzie, nie wzgardźcie gawędziarstwem retrogradysty i złamanego człowieka. Tam gdzie energia jest 100, a inteligencja 3 i to jeszcze w *zupelnym lokajstwie i poniżeniu* — tam będzie co kilkanaście lat wyskok i rzeź jednego pokolenia i matematycznie inaczej być nie może”.

„Oto coraz więcej plany wygrywać lub przegrywać będą, nie zaś wykonanie planów! A Polska wobec tak postawionej treści co przygotowała?? Pytam! „I wciąż powraca do zarzutu, że myśleć nie umiemy, że widzimy wszystko „przez łez świętych i przeklętych przyzmat, widzące trojenie i siedmienie się tęcz, nigdy prawdy”.

Mickiewicz przez wszystkich, nawet przez swych wrogów, uznany za wieszczka narodowego modli się o Wojnę Ludów, mottem każdego Polaka jest „zwyciężyć albo zginąć”, a Norwid pisze:

„Każdy śpieszy na śmierć,  
Żywota, który szukać zdolny”.

Życia nie czcimy, formy nie czcimy, dajemy się unosić gestom, marzeniom i z pasją, z goryczą, z bólem Norwid nam przepowiada najciemniejszą przyszłość.

Więc dlaczego czytanie Norwida jest nie tylko ożywcze, ale zdaje się wprost lekturą optymistyczną?

Bo Norwid wierzył w „wszechprzutomnego Boga”, wierzył w absolutny sens istnienia i to dawało wymiar jego myśleniu, jego nadziei, stąd wyrastał cały jego stosunek do człowieka.

Zależymy w dużej mierze od idei człowieka, którą w sobie nosimy: pojęcie nasze o człowieku zdegradowane, nas samych degraduje. Pojęcie Norwida o człowieku jest tak wielkie, tak wielka wiara w jego zadania, w jego możliwości, że lekceważenie człowieka („człowiek jest nicość”), uważał za świętokradcze.

Kontrast między tym, czym człowiek jest, a tym czym być może, jest tematem jego „Rzeczy o wolności słowa” oraz jednego z najpiękniejszych listów do Konstancji Górskiej.

Cóż znaczy ludzkość?

„...Dziewięćset milionów  
Skazanych na śmierć istot — parę zaludnionych  
Półwyspów... Oto wszystko! i trup w każdej chwili  
Zowąd — a zowąd słabe niemowlę zakwili —  
Oto wszystko...”

Ale ta ludzkość „do samej siebie twarzą ponizona”:

„...bez boskości sama siebie zdradza  
aż dopiero gdy w eter opłynie niebieski  
powraca jej majestat i szkarłat królewski”.

A człowiek?

„Oglądając go lichym od stopy do powiek  
Jak pyłu garść rwanego wiatrem... — Cóż tam człowiek! ?  
Ale pył ów odniesion harmonii stworzenia  
Kiedy atomem swoim w gwiazdę się zamienia,

*I wielka rzecz stąd rośnie: co godzina, co wiek,  
Co era — to mówimy wtedy: Oto człowiek! ”*

Ale ten człowiek Norwida, który „w eter opłynie niebieski”, to wcale nie wizja człowieka eterycznego. Norwid żąda od niego odpowiedzialności i walki tu na ziemi. Jeżeli jest przeciwnikiem *bezmysłnego* bohaterstwa wie on co znaczy wola ofiary właśnie jako wymiar człowieka, i czczy tę ofiarność.

W liście do Konstancji Górskiej (arcydzieło stylu epistolarnego) wyraża to przeciwstawiając tylko parę obrazów, bez komentarzy:

„W roku czterdziestym ósmym przechodząc po tych płaskich kamieniach, po których się idzie bulwarami do Magdaleny, trzeba było przestępować ostrożnie strumień czerwonej krwi ludzkiej, spływającej od strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przez szerokość ulicy na dół.

„Ta krew była wylana przez konających ludzi, którzy może się omylili ale wlewali tę krew ze wszystkich żył swoich na to, aby ci co po ich śmierciach żyć będą byli swobodniejsi i wyżsi i szczęśliwsi.

Ja obuwiem moim przestępowałem przez ten strumień krwi ludzkiej”.

Norwid pisze dalej o 50.000 ludzi, którzy zginęli pod Solferino, których matki i siostry kochały: „wnętrzości ich włożyły się po ziemi — słońce świeciło — zgnilizna się szerzyła — psy lizały ciała poległych”. Pisze o 80.000 trupów, które w jednym dniu „roztoczyły wnętrzości swoje, czerwone krwią wylaną”... by ci co po ich śmierciach żyć będą, byli troszkę wyżsi i szczęśliwsi”, o umęczonych w Japonii, których imiona w Rzymie postawić mają na ołtarzach, gdzie się stawia Sakrament, i jeszcze wspomina ostatnie święta wielkanocne gdzie „stokilkadziesiąt milionów ludzi na świecie przyjęło Boga we wnętrzości swe sercem i językiem”. I dziękując panie Konstancji Górskiej, która „bardzo była łaskawa każąc mi wierzyć, że człowiek jest nicość i zero”, widocznie podczas rozmowy w jej salonie, gdzie pani Essakoff „dziwi się bardzo, że można dwie godziny milcząc siedzieć w osobnym kącie” — Norwid daje tylko jeszcze *inny* obraz człowieka:

„Aneta robi herbatę, Rotschild gra w bursę, pani Franciszkowa Potocka wychodzi za męż... pani X. zadrasnęła się w palec szpilką, pan O. zażywa tabakę”, i kończy: „człowiek jest nicość, najniższy sługa C. Norwid”.

W liście tym widzimy poetę na tle *salonu*, jednego z nielicznych, gdzie był prawie domownikiem i łatwo sobie wyobrażamy jak na jego odpowiedzi, zachowanie reagowano.

*Spoleczeństwo*, które go znało jedynie z rzadkich wystąpień i z jakże nielicznych drukowanych tekstów, może i z listów, zawsze zaskakujących, które sobie musiano odczytywać, to społeczeństwo już przyjął go całkiem nie umiało. Nie możemy się temu dziwić.

O Mickiewiczu, wieszczu narodowym, Norwid pisze z całym spokojem, że wcale nie był *narodowym*, ale tylko *wyłącznym* poetą, bo dla Norwida narodowość „to nie wyłączenie, ale to siła przywłaszczenia sobie tego wszystkiego co do postępowego rozwinięcia żywiołu potrzebne i konieczne jest” (\*). W pełni powstania, w memoriale do Mierosławskiego i w wielu listach nawołuje, byśmy pamiętali nie tylko to, co nas od Rosji dzieli, ale to, co nas z nią łączy.

Pisze, że „do słów Moskał, do słów Moskwa przywiązywanie ohydy jest zarazem przeciwhistoryczną i przeciwpolityczną działalnością”, bo i w Rosji, uważał Norwid, powinniśmy szukać i znaleźć przyjaciół, nie potępiając jej w czambuł, *wtedy właśnie kiedy z nią walczyliśmy*. Cóżby mówiono o człowieku, który by w słowach, równie gwałtownych, takie prawdy dziś wypowiadał? Ale pojęcie Polski i walki o Polskę było u Norwida zawsze związane z tym co nazywał uczuciem ludzkościowym, i dlatego jest on nam dziś tak potrzebny: tak wtedy, jak i dziś byłby gwałtownym przeciwnikiem wszelkich ciasnych nacjonalizmów, które są katastrofą naszej epoki.

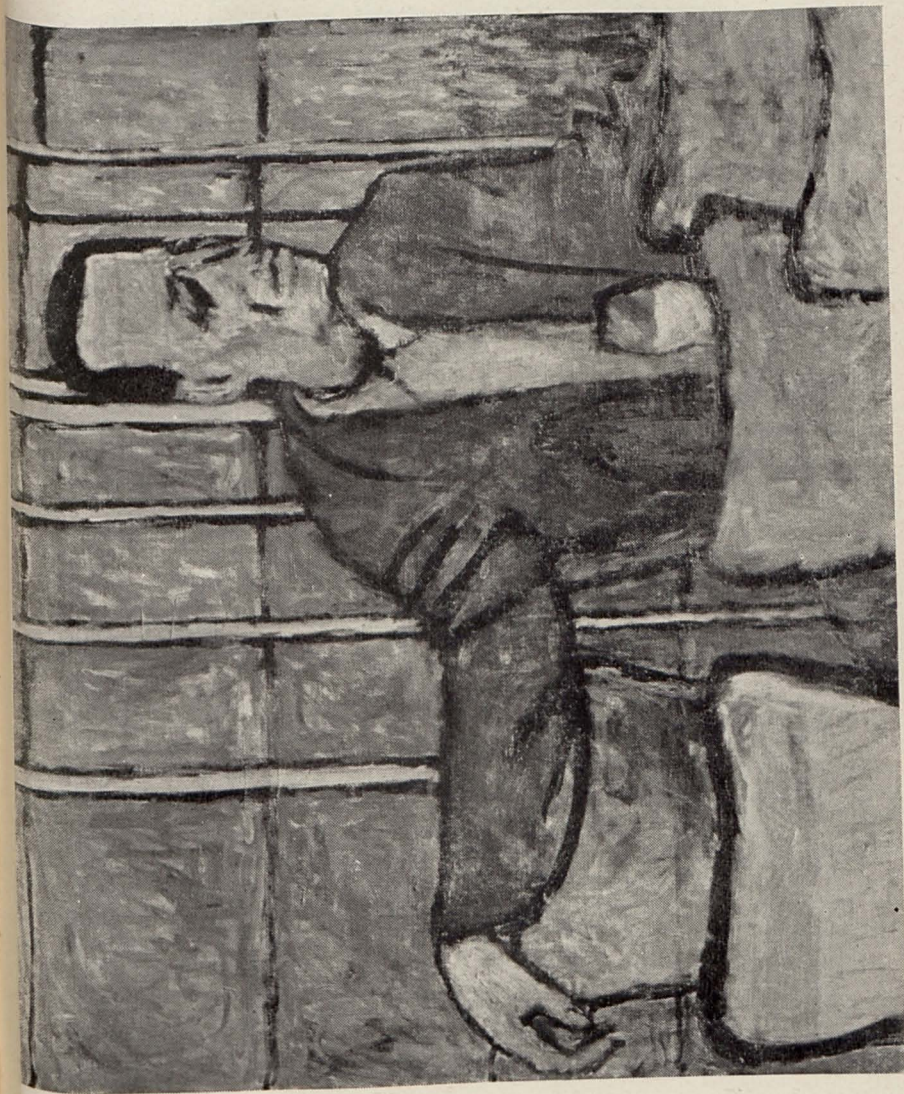


Dlaczego ten ponad osiemdziesiąt lat temu przygarnięty w Zakładzie Św. Kazimierza poeta, który tu napisał „Bransolete”, „Garść piasku”, „Kleopatę”, i tyle najpiękniejszych tekstów, dlaczego zdaje mi się dziś już *zwycięzcą*? O, nie w znaczeniu sukcesu („sukces owszem rozpaja”) i nie w znaczeniu, że trafić może jak „Pan Tadeusz” pod strzechy — Norwid będzie zawsze pisarzem trudnym, pisarzem dla niewielu, ale faktem jest, że ilość ludzi, którym Norwid towarzyszy, których olśniewa i wspiera — wzrasta.

Nie możemy tu nie wspomnieć Miriama; jego namiętności, uporowi zawdzięczamy, że Norwida dziś możemy czytać. Miriam całe życie jemu poświęcił i jeszcze poraniony, półprzytomny, 83-letni starzec, podczas Powstania Warszawskiego, dawał zlecenia jak wydać ten ostatni tom pism politycznych i filozoficznych Norwida, które pod redakcją Zaniewickiego tak pięknie wydała na emigracji Oficyna Poetów i Malarzy, z jedyne go egzemplarza korektorskiego, uratowanego z pożaru w czasie Powstania Warszawskiego.

Jaki był wydzwięk Norwida w okupowanej Warszawie wiemy z posłowania Wacława Borowego, do wyboru myśli poety, które Borowy w tamtych czasach przygotowywał, i z niezliczonych opowiadań; pisze o tym również Zaniewicki we wstępie do „Pism Filozoficznych i Politycznych”.

(\*) O „Panu Tadeuszu” pisze w 1866: „zapewne, że poemat ów arcy narodowy, w którym jedzą, piją, grzyby zbierają i czekają aż Francuzi przyjdą zrobić ojczyznę...”



Z własnych wspomnień wiem czym były tomy jego listów w obozie w Griazowcu, dokąd cudem do mnie dotarły.

Jeżeli chodzi o powojenną epokę: nie ma chyba przesady w stwierdzeniu, że i w kraju i na emigracji Norwid jest poetą XIX-go wieku, dającym pokarm umysłowy i poetycki najbogatszy, że dla wielu młodych poetów jest bardziej od wieszczów odkrywczy i nawet bardziej czytelny, że wiersze jego jak „Fortepian Szopena”, jak niektóre liryki czy „Promethidion” są już dzisiaj znane nie mniej od „Sonetów Krymskich” czy od „Beniowskiego” (\*).

Więc jest zwycięzcą ten poeta, który sam o sobie pisał do Marii Trembickiej sto cztery lata temu:

*„Przeto co mówię nie mówię jak liczni,  
Lecz może mówię jak ptak już dzisiaj rzadki,  
Ptak i sprzedany i wsadzon do klatki  
I z wyklutymi dlatego oczyma,  
By śpiewał wiosnę, gdy dokola zima”.*

Józef CZAPSKI

## Filmy z Polski

W spokojnym tegorocznym październiku, wypadkiem stała się warszawska premiera „Popiołu i Diamentu”, nowego filmu Andrzeja Wajdy, opartego na głośnej i popularnej w Kraju powieści Jerzego Andrzejewskiego. Krajowa prasa poświęciła dużo uwagi omówieniom filmu i dyskusji nad nim. Jest rzeczą charakterystyczną, że wiele redakcji krytykę filmu powierzyło nie stałym recenzentom, a ludziom, którzy rozgłos zdobyli pracami z całkiem innej dziedziny. W „Nowej Kulturze” obszerny artykuł poświęcił filmowi Wajdy Ryszard Matuszewski, w tygodniku „Film” dyskutowali go między innymi Wiktor Woroszyński i Zbigniew Florczak. Nic dziwnego, że niektóre z recenzji były nie tyle oceną artystycznych walorów dzieła, ile dyskusją nad pokoleniem, którego reprezentantem jest Maciek, bohater „Popiołu i Diamentu”. Ale dla miłośników filmu ta dyskusja ma inne

(\*) Powolnemu docieraniu Norwida do cudzoziemców należałoby się osobne omówienie. Ze wspomnę tylko pracę dokonaną przez T. M. Filipa, M. A. Michaela, Jerzego Pietrkiewicza oraz jeszcze paru innych tłumaczy w Anglii, tłumaczenie prozy Norwida przez Cazina we Francji oraz liczne próby tłumaczeń poezji norwidowej od Rosji po Brazylię.



jeszcze znaczenie : oto film polski, do niedawna lekceważony, zdobył już sobie znaczenie i szacunek nawet na własnym gruncie.

„Nawet”, bo międzynarodowe sukcesy polskich filmów przychodziły, jak dotąd, nieoczekiwanie, niezapowiedziane przez polskich krytyków. Powiedzieć chyba można, że polska sztuka filmowa zdobyła swoje rycerskie ostrogi na Zachodzie. W Polsce popaździernikowej „Popiół i Diament” jest dopiero drugim, po „Eroice” filmem, przyjętym przez rodzimych recenzentów z czymś w rodzaju entuzjazmu, (w stosunku do „Popiołu i Diamentu” jedynie Wiktor Woroszyński wysuwa poważne zastrzeżenia), a pierwszym, pod adresem którego paru z nich użyło słowa „arcydzieło”. Większość krytyków wróży nowemu filmowi powodzenie na Zachodzie. Zapewne przekonamy się niedługo czy słusznie.

Że prędzej czy później „Popiół i Diament” dotrze i do nas, nie należy chyba wątpić (do nas oznacza w tym wypadku Londyn).

Od półtora mniej więcej roku zachodnio-europejscy entuzjaści sztuki filmowej rozwojem polskiej kinematografii interesują się żywo, a Andrzej Wajda, to dziś nazwisko o światowej renomie. Zainteresowanie filmami z Polski udziela się nawet po trochu właścicielom kin, specjalizujących się w zagranicznych obrazach, (nie mówiąc już o londyńskim National Film Theatre i licznych klubach filmowych). W Londynie w ciągu ostatnich dwu lat wyświetlano publicznie więcej polskich filmów niż w czasie dziesięciolecia 1946-56.

Oczywiście, na niektóre, wybitne nawet filmy czekać trzeba długo, a inne ze względów politycznych nigdy się na Zachodzie nie znajdują. Nie dotarła do nas jeszcze „Eroica” Munka (wyświetlano ją bodajże na festiwalu w Edynburgu, ale do Londynu nie trafiła), ani „Pętla” Hasa, oparta na noweli Marka Hłaski, a z dokumentalnej „Czarnej Serii” wypuszczono na Zachód jedynie parę filmów, drobną część całości. Tak więc obraz polskiej twórczości filmowej, jaki wyrobić sobie można w Londynie na podstawie bezpośrednich doświadczeń, pozostać musi i niekompletny i o kilka co najmniej miesięcy spóźniony. Niemniej, obraz ten, kompletny, czy nie, różnić się zdaje dość znacznie od tego, jaki wyrobili sobie krytycy i widzowie w Kraju. Inna skala porównawcza, inna sytuacja osobista, inna atmosfera i otoczenie dać musi w sumie odmienną perspektywę, odmienny punkt widzenia. Pamiętać trzeba, że film jest sztuką przeznaczoną dla zbiorowego odbiorcy. Fakt ten nauczył się doceniać każdy, kto ten sam obraz widział na premierze prasowej w pustej sali, w towarzystwie paru zblazowanych wyschniętych recenzentów i wieczorem w pełnym kinie, wśród żywo reagującego tłumu. Wpływ ma, oczywiście, nie tylko ilość, ale i rodzaj współ-odbiorców. Ten sam film inne robi wrażenie, kiedy się go ogląda w „lokalnym” kinie, wśród krzykliwych wyrostków, a inne, kiedy siedzi się wśród brodatej londyńskiej cyganerii. Czyż dziwić się należy, że

nie raz, obejrawszy polski film w Londynie, łatwiej jest zrozumieć reakcje krytyków angielskich, nie koniecznie się z nią zgadzając, niż opinie prasy krajowej?

Choć do krytyków krajowych mam sporo pretensji (o czym później), nie chodzi mi tu o to, kto z nas ma rację. Jest jedną z podstawowych filmowych prawd, że im więcej odmiennych kątów widzenia, tym ciekawszy i bogatszy powinien być rezultat. Warto więc chyba zanotować parę własnych uwag na temat polskiej twórczości filmowej, widzianej z Londynu.

Pierwsze powojenne filmy, realizowane w warunkach niezwykle trudnych, często przy pomocy zagranicznych, przeważnie czeskich techników, stanowiły ciekawy, obiecujący początek. W roku 1948 Wanda Jakubowska ukończyła swój „Ostatni Etap”, a Aleksander Ford „Ulicę Graniczną”. Obydwa filmy w W. Brytanii ukazały się mniej więcej w rok później, uhonorowane już nagrodami międzynarodowych festiwalów, („Ulica Graniczna” w Wenecji, „Ostatni Etap” w Marianske Lazne), obydwa spotkały się ze strony miejscowej prasy z przyjęciem grzecznym (parę gazet zarzucało wprawdzie „Ostatniemu Etapowi” „przesadną brutalność”), ale specjalnego podniecenia nie spowodowały. Osądzając je dziś, bez świeżej konfrontacji, zachować trzeba ostrożność, choć nie przypuszczam, by ponowne obejrzenie odkryło w nich jakieś niezauważone dotychczas zalety. „Ostatni Etap”, film o Oświęcimiu, wydał mi się jednym z tych licznych bezpośrednio po wojnie dzieł, których rolą było upuszczenie złej krwi, zrzucenie ciężaru świeżych jeszcze straszliwych przeżyć, raczej niż nadanie im jakiegoś skończono-artystycznego kształtu. Na swój sposób był to film niewątpliwie udany, potężny w swych zbiorowych scenach, wymownie wyrażający nieludzkość kacetu. Jednocześnie brak jest w nim nuty prawdziwie osobistej, a postacie są symbolami raczej niż żywymi istotami. „Ulica Graniczna”, której tematem jest powstanie w warszawskim ghetto, to film o formie o wiele bardziej wyrafinowanej. Wprawdzie i tu postacie narysowane są niezbyt przekonywująco, ale film zawiera troskliwie skomponowane, przejrzyste sekwencje, zrobiony z rozmachem pożar ghetta i dobrą oprawę zdjęciową.

„Warszawa, Miasto Nieujarzmione”, (r. 1949) reżyserii Jerzego Zarzyckiego, to film zrealizowany w jakiś rok po dwóch wymienionych powyżej. Miejscami ciekawy, w swej koncepcji niezwykle „filmowy”, wydawał się w sumie jakiś niekompletny, okaleczony. Dopiero w okresie „odwilży” dowiedziałem się, że film Zarzyckiego wszedł na ekrany po dwóch przeróbkach, w trzeciej, okrojonej wersji, niewiele mającej wspólnego z intencjami reżysera. Film, którego pierwotny tytuł brzmiał „Robinson Warszawski”, opowiadał dzieje starszego już mężczyzny, który po Powstaniu znalazł się samotnie w ruinach ewakuowanej Warszawy. Co warty był w swej pierwszej, oryginalnej wersji, nie dowiemy się zapewne nigdy.

Pozycją innego zupełnie typu była komedia z Adolfem Dymszą pt. „Skarb” (r. 1950) zrealizowana przez M. Leonarda ze scenariusza Ludwika Starskiego, która pewnego dnia znalazła się w jednym z londyńskich kin, zupełnie niezapowiedziana. „Skarb” to żart na temat kłopotów mieszkaniowych w powojennej Warszawie, film bez wygórowanych ambicji, skromny, bezpretensjonalny i świeży. W Anglii przyjęty został przychylnie i do dziś jest częstą pozycją w repertuarze klubów filmowych.

„Skarb”, komedyjka ujmująco ludzka, spotkała się w Kraju z ostrą odprawą marksistowskich, czy pseudo-marksistowskich krytyków. Nadchodziły lata stalinizmu, lata bezdusznego, mechanicznego soc-realizmu w sztuce. Reżyserem lansowanym wyraźnie na pozycję czołowa, człowiekiem, który na polu międzynarodowym reprezentować miał polską sztukę filmową, był Aleksander Ford, jeden z organizatorów czołówki filmowej przy armii Berlinga, pierwszy dyrektor Filmu Polskiego i twórca „Ulicy Granicznej”. W roku 1951 ukazała się jego „Młodość Szopena”, na Zachodzie zbyta paroma obojętnymi raczej wzmiankami. Przyjęcie było dla filmu, wydaje mi się, raczej krzywdą. „Młodość Szopena” jest rezultatem dużego i uczciwego wysiłku reżysera i operatora (którym był Czech, J. Tuzar) i w swojej koncepcji dziełem całkiem oryginalnym. W konstrukcji film przypominał budowę utworu muzycznego — składał się z części — obrazów, z których każda oparta była na innym motywie. Niektóre ze scen odznaczały się dużą wizualną elegancją. Mimo to nie nazwałbym „Młodości Szopena” filmem udanym. Każdy film o sztuce, wszystko jedno jakiej, jeśli nie stanie się dziełem sztuki sam w sobie, — jest kiczem. Ford ostatniego kroku, dzielącego eksperyment od sztuki, przebyć nie potrafił. W odróżnieniu od „Młodości Szopena”, barwna „Piątka z Ulicy Barskiej” Forda zebrala w Anglii sporo pochwał, najzupełniej moim zdaniem niezasłużonych. Rodzaj „Popiołu i Diamentu” „dla ubogich”, „Piątka” (adaptacja powieści K. Koźniewskiego) zajmuje się konfliktem lojalności, jaki zaistniał po wojnie dla wielu młodych, związanych z wrogiem dla nowego systemu konspiracji, a jednocześnie wciąganych w życie odbudowującej się Warszawy. Ruiny, jak wiadomo, fotografują się dobrze i życie w zburzonej stolicy stanowi fascynujące i dobrze zrealizowane tło filmu Forda. Natomiast treść filmu, dramat „Piątki”, nie zasługuje na uwagę. Stara wada filmów polskich, brak ostrości w rysowaniu pojedynczych postaci, występuje tu z całą siłą. Chłopcy są i mało ciekawi i nieprawdziwi psychologicznie, a wódz konspiracji, to nieprawdopodobna, zupełnie groteskowa sylwetka. Niektórzy z krytyków Zachodnich zostali zapewne zmyleni odmiennością konwencji filmu, w porównaniu ze znanymi im obrazami krajów anglo-saskich, traktującymi na ten sam temat. Naiwna prymitywność filmu została zrozumiana jako prostota i szczerść, co w połączeniu z poetycznym urokiem ruin kazało im przypisać filmowi rangę, na którą nie zasługuje.

W rozmowie z zagranicznym dziennikarzem, która miała miejsce już po „Październiku” Aleksander Ford miał powiedzieć że w swych filmach okresu stalinowskiego starał się zachować jak najwięcej „humanistycznych treści”. Siedząc na emigracji brak jest właściwie podstaw, by na ten temat wydawać jakiś sąd. Wszystko jest względne i filmy Forda na pewno mogły być o wiele gorsze. Z drugiej strony powiedzieć trzeba, że jako artysta Ford miał swą szansę i że szansę tę przegrał. Reżyser technicznie mocny, Ford jest filmowcem, o którego technice się mówi, bo poza nią nie bardzo jest o czym mówić. Jego dzieła należą do kategorii filmów, które określać należy raczej jako, produkcje niż „twórczość”.

Na Zachodzie przez szereg lat film polski utożsamiany był z Fordem. Dopiero w 1956 roku pojawiło się nazwisko nowe; — Jerzy Kawalerowicz, reżyser wysłanego na festiwal w Edynburgu filmu pt. „Cień”. Krytycy skarżyli się na skomplikowaną i sztucznie wiążaną fabułę, ale chwalili warsztat nowego reżysera. „Cień”, rzeczywiście w filmie polskim był nowym zjawiskiem. Był to film awanturniczy, pozbawiony intelektualnych treści, o umownej, czarno-białej moralności, ale zrealizowany świetnie, trzymający widza w stałym napięciu.

Tymczasem w Polsce rosła fala „odwilży”, a wraz z nią wzmagало się zainteresowanie Zachodu wszystkim, co polskie. Wiosną roku 1957 jedną z rewelacji festiwalu w Cannes stał „Kanał” Andrzeja Wajdy i „Pokolenie”, wyświetlany poza konkursem wcześniejszy film tego samego reżysera. Wielki talent Wajdy zwrócił uwagę świata na to, co dzieje się w polskiej kinematografii i uitorował drogę na Zachód dla całego strumienia nowych filmów.

Szersza angielska publiczność z filmów „poodwilżowych” widziała, jak dotychczas jedynie „Kanał”, choć toczą się podobno pertraktacje o zakup paru innych. Na szczęście w National Film Theatre, nowoczesnym londyńskim kinie klubowym, prowadzonym przez grupę młodych ludzi o wyraźnie lewicowych sympatiach, programy polskie pokazują się dość często. W lutym tego roku wyświetlano tam 5 pełnometrażowych filmów polskich („Kanał”, „Cień”, „Pokolenie”, „Prawdziwy Koniec Wielkiej Wojny” Kawalerowicza i „Człowiek na Torze” Munka), jesienią jeden z programów poświęcono naszym filmom dokumentalnym i eksperymentalnym, a w ramach niedawnego Londyńskiego Festiwalu pokazano „Ostatni Dzień Lata” Konwickiego i „Ewa Chce Spać”, Chmielewskiego. Po raz pierwszy zobaczyliśmy w Londynie jako tako reprezentacyjny zestaw naszej współczesnej twórczości filmowej, upoważniający już chyba do ostrożnych uogólnień.

Andrzej Wajda to człowiek trzydziestoparoletni, wychowanek Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Jego debiutem było



„Pokolenie”, film o konspiracji, zrealizowany w 1954 roku. „Pokolenie” nosi jeszcze ślady swej epoki; bohaterzy są oczywiście komunistami, a czarne charaktery to, obok Niemców, członkowie AK. Mimo to niewiele było w historii filmu debiutów tak udanych i tak dojrzałych, pod względem artystycznym. Wajda z punktu znalazł i styl i doskonały, artystyczny dystans w stosunku do tematu. Obrazy konspiracji w „Pokoleniu” mają charakter wspomnień, przepojonych dziwnym liryzmem, a kulminacyjna sekwencja walki pod warszawskim ghettem i śmierć Jasia to sceny prawdziwie monumentalne, o niespotykanej dotąd w polskim filmie świetności.

O „Kanale” pisano już wiele, nie zawsze mądrze. Co poważniejsi krytycy zachodni przyjęli ten film jako rewelację, co w zakłopotanie pewne wprawiło recenzentów krajowych, którzy w najlepszym razie zbyli „Kanał” stwierdzeniem, że ujdzie, w braku lepszych obrazów na temat Powstania. Jest to, muszę powiedzieć, jeden z tych wypadków, kiedy reakcji kolegów krajowych zupełnie nie potrafię zrozumieć. „Kanał” ma, to prawda, masę powierzchownych usterek; dialog chwilami brzmi fałszywie, aktorzy grają nierówno, zdarzają się niepotrzebne wykroczenia przeciwko dobremu smakowi (obślizgłe pocałunki kochanków oblepionych kałem), ale nie te, przecież stosunkowo drobne sprawy wymierzają wartość filmu. „Kanał” to ogromny, ponury fresk, dzieło naprawdę oryginalnej i potężnej wyobraźni. Obraz ten wytrzymuje próbę drugiego, trzeciego i czwartego widzenia. Usterki przestają z czasem drażnić, a niezwykła siła obrazu potężnieje za każdym razem. Nieporozumieniem zupełnym są pretensje, że film Wajdy nie jest prawdziwym, dokumentalnym obrazem Powstania. Wajda to, moim zdaniem, wizjoner, o wyobraźni zapłodnionej strasznymi przeżyciami swego pokolenia, artysta, który współczesne wypadki widzi jako nierealny, absolutny koszmar. W ostrości wizji i w instynktownym opanowaniu rzemiosła już teraz przypomina Wajda Ingmar Bergmana. Miejmy nadzieję, że jego szczery talent nie pozwoli, by zamiłowanie do skomplikowanych jazd kamery i skłonność do „udziwniania” scen zmieniły się w mechaniczną manierę.

Reżyserem innego typu jest Jerzy Kawalerowicz. Sądząc po dwóch jego filmach, widzianych w Londynie, („Cień”, r. 1956 i „Prawdziwy Koniec Wielkiej Wojny” r. 1957) jest to realizator-wirtuoz, chętnie popisujący się swą błyskotliwą techniką, lubujący się w rozwiązywaniu trudnych problemów formalnych. Pod tym względem przypomina reżyserów takich jak Alfred Hitchcock, Georges Henri Clouzot, lub Carol Reed. Do Clouzota upodabniają go poza tym częste w „Cieniu” przebłyski okrucieństwa, a do Hitchcocka pewne podobieństwa stylu. Oczywiście swym dotychczasowym dorobkiem ustępuje on jeszcze znacznie wszystkim tym trzem mistrzom. „Cień” przy całej fascynującej technice jest filmem mało ważnym; „Prawdziwy Koniec Wielkiej Wojny”, dramat psychologiczny, pozabawiony prawie akcji imponuje znów warsztatem, który poz-

wala reżyserowi przezwyciężyć statyczność filmu. Kawalerowicz używa tu miejscami techniki „subiektywnej kamery”, co, choć zrobione dobrze, nadaje filmowi, jak na gust zachodni, stary, awangardowy smaczek. Obraz jest ciekawy, ale osobowość poza nim pozostaje nieuchwytna. Reżyser niewątpliwie świetny, Kawalerowicz nie dał się dotychczas poznać jako oryginalny artysta.

Andrzej Munk, trzeci obok Wajdy i Kawalerowicza realizator z tak zwanej „grupy autorów filmowych Kadr”, to twórca cenionej wysoko w Polsce „Eroici”, filmu, którego niestety nie miałem, okazji zobaczyć. Ma to być obraz o wybitnych intelektualnych walorach, przeprowadzający rozprawę z naszą tradycyjną, „hurra-patriotyczną” hierarchią wartości. Wyświetlanego w Londynie, wcześniejszego nieco „Człowieka na Torze” określić by można jako dzieło soc-realistyczne, wywrócone podszewką do góry. Postacią centralną i w pewnym sensie bohaterem pozytywnym dramatu jest konserwatysta, człowiek starej daty, szukanowany przez funkcjonariuszy partyjnych. Technicznie Munk z trzech wymienionych tu młodych reżyserów jest chyba najbardziej ograniczony (nie znaczy to, by był słaby) ale jako artysta wydaje się najbliżej współczesnego nurtu życia. Munk z „Człowieka na Torze” to przede wszystkim inteligentny i bystry obserwator, z sympatią przyglądający się otaczającym go ludziom. Można mieć nadzieję, że właśnie Munk najszybciej zdola przemoc obsesję tematyką wojenną, jakiej wszyscy wybitniejsi polscy filmowcy wydają się obecnie ulegać i zajmie się tematyką społeczną w ścisłym, choć może powierzchownym tego słowa znaczeniu.

Wajda, Kawalerowicz i Munk już chyba nieodwołalnie złowili Forda i Jakubowską ze stanowisk czołowych polskich reżyserów, ale i ich pozycja nie jest niewzruszona. Od dołu napiera na nich cała grupa młodych realizatorów, przeważnie wychowanków Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, z której zresztą wyszli Wajda i Munk. Pełnometrażowe, fabularne filmy Lenartowicza i Hasa do nas jeszcze nie dotarły, ale widzieliśmy już komedię „Ewa Chce Spać”, debiut reżyserki Tadeusza Chmielewskiego. Komedia jest pozornie fantazją, w rzeczywistości satyrą na stosunki pomiędzy światem przestępczym a policją w Polsce, satyrą zresztą mało złośliwą. Jest to film raczej nie zdyscyplinowany, ale pełen inwencji, aż przeladowany pomysłami. Warsztat reżyserki debutanta jest jeszcze trochę niedojrzały; epizody pozostają niezaokrąglone, dowcipy potencjalnie dobre nie zawsze otrzymują właściwe tempo i pointę, ale film zawiera co najmniej jedną wspaniałą śmieszna i dobrze zrealizowaną sekwencję (wizyta policjanta w „hostelu” dla samotnych kobiet).

Z „Ostatnim Dniem Lata” Tadeusza Konwickiego i Jana Laskowskiego wkraczamy już w inny rodzaj filmu. Zrealizowany całkowicie w plenerze, z niezwykle skromnym budżetem, będący w całości jedną wizualną, delikatną metaforą, „Ostatni Dzień Lata”, zdobywca „Grand Prix” na tegorocznym festiwalu dokumentalnych i krótko-metrażowych filmów w Wenecji (rzecz

dość niezwykła, zważywszy że nie jest to film ani dokumentalny, ani krótko-metrażowy), należy do gatunku obrazów zwanych, niezawsze słusznie, eksperymentalnymi. Na pustej plaży, spotyka się dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, zupełnie zrujnowanych psychicznie przez wojenne i, domyślać się chyba możemy, powojenne przejścia, niezdolnych już zupełnie do życia w społeczności. Ich krótką, kilkogodzinną znajomością zajmuje się film. Z prostych, podstawowych elementów wizualnych dwaj młodzi filmowcy budują przejmujący, bolesny obraz zniszczeń, jakie w człowieku czynią wypadki naszej epoki. Jest to film daleko odległy od wielkich koncepcji Wajdy, ale na swój sposób równie elokwentny i równie, w swoim rodzaju, wybitny.

Podobną wymowę ma też obraz krótko-metrażowy, „Dwaj Ludzie z Szafą”, reżyserii R. Polańskiego, zrobiony jako „etiuda”, ćwiczenie studenckie, w Wyższej Szkole Filmowej, który na Zachodzie wywołał małą sensację. Z fal morskich wylania się wielka, staroświecka szafa, niesiona przez dwóch mężczyzn. Wykonawszy na plaży mały taniec triumfu, „Dwaj Ludzie z Szafą” idą w głąb lądu, pomiędzy ludzi i nie znalazłszy tam miejsca, ani zrozumienia dla ważności szafy, bici i wyganiani, wracają, rozczarowani, do morza. Prostota metafory złączona tu jest z prostotą w realizacji, granicząca z naiwnością. Jes to film o przedziwnej, jedynej w swoim rodzaju niewinności i dzięki temu tym efekowniejczy protest przeciwko tępej nieludzkości naszego świata.

Namiętnę publicystyce dokumentalnej „Czarnej Serii”, rozbitej u szczytu „odwilży”, lirycznym filmem dokumentalnym, w rodzaju „Domu Starych Kobiet” Łomnickiego i anonimowym, eksperymentalnym obrazem Borowczyka i Lenicy warto by poświęcić osobny artykuł. Powiedzieć tu tylko trzeba, że rosnąca produkcja filmów krótkich, śmiało, awanturczo nawet, używających filmowych środków wyrazu, jest przekonującym dowodem dynamizmu polskiej kinematografii, pozwala nawet z Londynu uchwycić coś z entuzjazmu, dla sztuki, jaki panować musi w polskich kołach filmowych. Wokół Szkoły Filmowej i grupy młodych reżyserów wydaje się istnieć interesujące, żywe środowisko twórcze. Ich dotychczasowy dorobek odbija, korzystnie od tego, co dzieje się w innych gałęziach sztuki, np. w literaturze. Polski „język filmowy” na ogół jest świeży i jędrny, pozbawiony wodolejstwa i pustego efekciarstwa. Gorzej jest z polską krytyką filmową, która niestety, nie przejawia żadne z powyższych zalet. Krytycy, jak wszędzie, są lepsi i gorsi, mniej i bardziej inteligentni, ale w Polsce najwyraźniej nie są częścią środowiska twórczego i nie wykazują żadnego dla swej sztuki entuzjazmu. Jest to krytyka (z rzadkimi wyjątkami), która nie poczuwa się do odpowiedzialności wobec twórcy i stąd w rozwoju sztuki nie spełnia prawie żadnej roli. Trudno jest uchwycić kryteria, jakimi ci ludzie oceniają filmy. Wydaje się, że zmieniają się one z tygodnia na tydzień, z filmu na film. Prawdziwie twórczy realizator pracować musi w Polsce w pewnym

sensie odizolowany od społeczeństwa, w atmosferze obojętności ze strony krytyków i społeczeństwa, podejrzliwości ze strony państwowego cenzora. Tym cenniejsze są więc dotychczasowe osiągnięcia, tym szczerzej życzyć należy tym ludziom dalszych sukcesów.

Bolesław SULIK

## Tegoroczne nagrody “Kultury”

### NAGRODA LITERACKA

Nagrodę literacką „Kultury” za rok 1958 jury przyznało jednomyślnie Gustawowi Herling-Grudzińskiemu za opowiadanie „Wieża” (zamieszczone w nrze 7/129-8/130 „Kultury”), „Wieża” ukaże się w tomie opowiadań Grudzińskiego na początku 1959 roku, w ramach „Biblioteki KULTURY”.

W najbliższym numerze „Kultury” zamieścimy esej, poświęcony twórczości Grudzińskiego.

### NAGRODA PLASTYCZNA

W bieżącym roku redakcja „Kultury” zakupiła obraz Józefa Czapskiego pt. KAWIARNIA, którego reprodukcję zamieszczamy w tym numerze. Obraz przedstawia mężczyznę (szare żółcie) na tle matowych szyb (zgaszone niebieskie zielenie), wśród krzesel z cynobru, czerwieni i brązów.

Józef Czapski ur. w 1896 r. Od 1921 do 1924 uczęszcza na Akademię Krakowską. W 1924 wyjeżdża do Paryża w grupie kolegów z Akademii Krakowskiej (Waliszewski, Cybis, Rudzka-Cybisowa, Jarema, Boraczek, Potworowski i inni), zwanej Kapistami. Jest prezesem tej grupy od 1923 do 1939 i z nią wystawia od pierwszych wystaw (Paryż 1929, Genewa 1930, Warszawa 1930) aż do roku 1939.

W 1931 ma pierwszą własną wystawę w Paryżu, potem w Warszawie, Poznaniu i Lwowie. Bierze żywy udział w polemikach artystycznych (Wiadomości Literackie, Głos Plastyków,

Droga) i wydaje dwie książki („J. Pankiewicz” i „O Cezanne’ie i świadomości malarskiej”).

Po wojnie wraca do malarstwa dopiero ok. 1948 r. Wystawia w Genewie w 1950, czterokrotnie w Paryżu, ostatni raz w bieżącym roku. W 1955 r. ma wystawy w Brukseli i w Rio de Janeiro a w 1957 w Poznaniu i Krakowie.

Niezależnie od pracy malarzkiej Czapski przygotowuje tom esejów i polemik : pt.: „Ścieżki malarzkie”.

## Komunikat

Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie na posiedzeniu odbytym w Londynie w dniu 29 października 1958 postanowił ogłosić następujące :

### OŚWIADCZENIE

*Terror zastępowany w Związku Sowieckim przeciwko Borysowi Pasternakowi doprowadził znużonego pisarza do tragicznej rezygnacji z przyznanej mu przed kilkoma dniami literackiej nagrody Nobla. Ten ucisk wyniszczający ład życia, twórczości i kultury budzi w nas gniew i przerażenie swoją nieludzką ciemnością i dążeniem do poniżenia wszystkiego co odważne. Uważając wolność słowa za niezbędny warunek twórczości pisarskiej protestujemy przeciwko nowemu pogwałceniu praw do swobodnej działalności artystycznej i do zasłużonej nagrody za dzieło śmiałej myśli i wielkiej sztuki.*

## GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”  
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”  
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatrjuje w książki polskie mając na składzie ponad  
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu  
z a m ó w i e n i a.

*Katalogi bezpłatnie na żądanie.*

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,  
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII  
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo :  
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4<sup>e</sup>

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

## Książki

## Klasycy i cudotwórcy

Z szerokiej rzeki ułożonych na stole tomików, jakie ukazały się po Październiku w Kraju, można by dziś, kiedy na rynku wydawniczym nastąpiło uspokojenie, wybrać dwa nazwiska spośród najmłodszych, ale dobrze już zapisanych poetów. Nie po to, aby na młode czoła nasadzić żenujące korony przedstawicieli kierunków, ale żeby na różnicach istniejących między ich warsztatami spróbować poruszyć sprawę starą jak świat, nieciekawą dla ogółu, a być może interesującą poetów : sprawę pisania wierszy w Polsce.

Dla zilustrowania mych wywodów, z musu trochę manichejskich, wybrałem wiersze Jerzego Harasymowicza i Zbigniewa Herberta. Pierwszy będzie miał rolę najbliższą memu sercu, drugi zaś będzie spełniać funkcje „szwarccharakteru”, jak przystało na dramat autentycznie antagonistyczny i w którym autor powinien mieć rację...

Zacniemy od stwierdzenia : Herbert jest poetą najmłodszego pokolenia najlepiej przyjętym przez krytykę. Autor dwu tomików (1) wszedł już w literaturę. Jest literatem. W sposób elegiacki porusza sprawy moralne, snuje alegorie, wykazując przy tym wiele umiejętności formalnych. Posiada duże zasoby wiadomości mitologiczno-geograficzno-historyczno-filozoficznych, z których ogólnie korzysta przy pisaniu.

Jest „legalistą”. Wiersz jest dla niego wypadkową zastanych, ocenionych i rozwijanych wartości kulturalnych. Jedyne więc co mu pozostaje to interpretacja szczegółów, szlifowanie przedmiotów, lub dobieranie nowych oświetleń. Tak i nie inaczej postąpił Poeta z następującym fragmentem rzeczywistości w utworze pt. „Pejzaże kolejowe”.

(1) Zbigniew Herbert : *Struna światła*, „Czytelnik”, Warszawa 1956, s. 83;

Zbigniew Herbert : *Hermes pies i gwiazda*, „Czytelnik”, Warszawa, 1957, s. 175;

„Na żelaznych gałęziach dojrzewają czerwone i zielone owoce sygnalów. Są tu takie ciche perony z wiszącymi w skrzynkach miniaturowymi ogrodami Semiramidy.

Ale na nic nasturcje i zabłąkana pszczoła. Kiedy okrągła gilotyna minut wskaże 12,31, połknie to wszystko czarny potwór który zbliża się właśnie w syku białych atmosfer”.

(„Hermes pies i gwiazda” str. 147)

Metaforyzacja, gdy robiona na zimno, trąci alegorią. Jest czymś w rodzaju „zgaduj-zgaduli”, z umieszczonym tuż obok rozwiązaniem. Podobnym, literackim podmalowaniem rzeczywistości jest opis magła (str. 167) który Poeta widzi jako narzędzie tortur.

„...Prześcieradła, które wynoszą z magła, są jak puste ciela czarownic i heretyków...”.

Czynność poetycka jest więc dla Herberta szukaniem mniej lub więcej zaskakujących równoległości i podobieństw zachodzących pomiędzy rzeczami. Operację tę przeprowadza Poeta skrupulatnie. Nie ogranicza się do zaznaczenia, do aluzji. Można by powiedzieć, że wyżywa się właśnie w rozwijaniu pierwszego stwierdzenia symetryczności. Na drodze tej dochodzi zresztą Herbert do swego rodzaju mistrzostwa, czego przykładem jest choćby „Ogród botaniczny” („Hermes pies i gwiazda”, str. 151):

„To jest pensjonat roślin, prowadzony bardzo surowo jak szkoły klasztorne. Trawy, drzewa i kwiaty rosną przyzwoicie bez żadnej wegetacyjnej bujności, wystrzegając się nie dozwolonych pieszczot z trzmielami. Są wciąż skrępowane swoją łacińską godnością i tym, że muszą być przykładem. Nawet różę sznurują usta. Marzą o zielniku.

Staruszkowie przychodzą tu z książkami i zasypiają pod ospałe tykanie słonecznych zegarów”.

Nieautentyczność żywiolu zieleni zgromadzonej w ogrodzie botanicznym została trafnie zaobserwowana i dowcipnie zantropomorfizowana. Czytamy utwór ten z przyjemnością, prowadzeni przez Autora za rękę po ścieżce biegnącej równolegle do wszystkich ogrodów botanicznych świata.

Przykłady te dadzą się odnieść do całej współczesnej poezji polskiej. Ilustrują one bowiem najczęściej spotykaną formę przemieniania fragmentu rzeczywistości w utwór literacki. Czytelnik polski od lat wychowany jest na podobnych wzorach, które powstają jak gdyby według przepisu: Pisz trochę inaczej niż widzisz, ale tak abyś po drodze nie zgubił czytelnika. I wszyscy, niemal bez wyjątku, poeci polscy instynktownie przestrzegają tego nie spisanego przepisu. Jest to zresztą w ogóle pierwszy etap poetyckiego poznania, a to że często pozostaje ostatnim wynikiem z faktu że poeci piszą z myślą o druku swych utworów w tygodnikach i miesięcznikach. Jest więc

w ich pierwszym gościu coś społecznego i przez to samo *kompromisowego*. Nie trzeba wszystkich palców jednej ręki, żeby wyliczyć poetów polskich, którzy w ciągu ostatnich czterdziestu lat odważyli się pisać bez myśli o zgodzie z Czytelnikiem, całą swą uwagę poświęcając treściom własnym, „swemu prawdziwemu ja”, sięgając jak to nazwał ostatnio Kazimierz Brandys (2) do „warstwy szczerości”, którą zazwyczaj przesłania „warstwa kultury”. Ten sam temat porusza również w świetnie napisanym esaju Wojciech Bąk (3), który podkreśla, iż warunkiem *sine qua non* poezji jest jej intymność. Człowiek przeciętny, obywatel, żyje w masce, a raczej nosi rozliczone maski, które ułatwiają mu, czy też po prostu umożliwiają życie zgodne z konwencjami miejscowej grupy społecznej. W przeciwieństwie do zwykłego członka społeczeństwa poeta to człowiek, „w którym dokonywa się proces ustawicznego podmywania schematów. Jest on, gdy patrzymy na niego ze strony konwencji, chory, chimeryczny, pozbawiony zdrowego rozsądku, razi on nas ustawicznym łamaniem zasad „gry”. Poezja więc „demaskuje, rozbija konwencje... Kto też poezję traktuje tylko jako formalną umiejętność pięknego wypowiedziania dowolnych treści lub tym więcej jako igraszkę, pozbawioną wszelkiego znaczenia, nie zna jej wcale... Poezja — ciągnie dalej Autor — jest jedną z największych sił obronnych przed mechanizacją i skostnieniem społeczeństw. Tylko jednak wtedy, gdy idzie za swoją naturą. Próby zużycia jej jako siły konsolidującej konwencje i schematy paliły zawsze na panewce. Nie można od ognia pragnąć, by gasił... Nie wolno jej także... być wyrazem „maski”. Poezja bowiem z istoty swej nie tylko nie może być wyrazem maski, lecz jest walką z nią, jest sięgnięciem do głębszych źródeł człowieczeństwa i mierzenia świata kategoriami, by się tak wyrazić, intymności”.

„Poruszanie problemów”, ilustrowanie takiej czy innej dialektyki przy pomocy porównań wymuszonych na kwiatach czy mitologii nie jest intymnością, o której pisze Wojciech Bąk. Nie jest nią tym bardziej uczone i flegmatyczne obchodzenie w krąg przedmiotów. I to nawet wtedy gdy jest się urodzonym, żeby nie powiedzieć skazanym na gest poetyckiej intymności, jak to widzimy w wypadku Jerzego Harasymowicza, którego pierwsze utwory, pomimo ich puszczańskiej i dusznej zieleni, pomimo ich zapachu kory lipowej dartej żywcem w pasy, są jeszcze owym baśniowaniem wokół rzeczy. Typowym tego przykładem jest pierwszy tom Poety, „Cuda” (4), a nawet następny (5).

(2) Kazimierz Brandys: *Tydzień z przedświtami*, „Nowa Kultura”, nr. 29 (434) 1958;

(3) Wojciech Bąk: *Zagadnienia poetyckie*, esej wchodzący w skład zbiorowego tomu, „Tworzywo”, który ukazał się nakładem *Wydawnictwa łódzkiego* w 1958, s. 115-135;

(4) Jerzy Harasymowicz: *Cuda*, PIW, Warszawa 1956, s. 73;

(5) Jerzy Harasymowicz: *Powrót do kraju łagodności*, Wyd. Lit. Kraków 1957, s. 41;

Bystre oko Poety żytego z ziemią i noszącego pod powieką jej widoki, umie natychmiast wzbogacić wybraną rzecz w nowe podobieństwa, umie nazwać ją drugim imieniem. Ale jest to pomimo wszystko poezja w ramach konwencji. Bo czymże są takie wyrażenia jak np.

„W ogrodzie spoza zasy pyły uszy zajęcy widać jak ledwo otwarte  
wielkie nożyce.  
Na oknie głowa kota, jak wielka furazierka, pilnie słucha, co  
dzieje się w sieni.  
(„Powrót do kraju łagodności”, str. 15)

Porównania te są oczywiste. Wdzięczni jesteśmy wprawdzie autorowi za to że podrzucił je naszej pamięci, ale proces ten — żeby użyć wyrażenia Poety — odbył się w atmosferze łagodności. Poeta nie demaskował, nie zrywał zasłon, nie ukazywał krwi raptownej. Zabawił nas bezpretensjonalnie, nie gubiąc po drodze Czytelnika.

Nie narzucił nam swojej anty-konwencji, ani też nie zmusił nas do wysiłku, do rozbudowania wiedzy o świecie w stronę gdzie absurd bądź szaleństwo zagrażają drogę nie-poetom. Nie wtrącił nas w ciąg obrazów wywodzących naszą wyobraźnię w świat meta-logiczny, sprawdzalny jedynie jakością emocji, a nie kryteriami rozumu.

Niektóre strofy wskazują na coś, co nazwałbym niewolą porównywania. Poeta nie tylko porównał rzecz widzianą do innej, pamiętanej, ale rozpracowuje swe porównanie szczegółowo. I wtenczas szkic, rzucony jedną kreską, przechodzi w rysunek o coraz mniejszej ilości miejsc białych, to znaczy zostawia coraz mniej możliwości na dopowiedzenie. I obraz tak wielowymiarowy, jak w „Muszyńskim Październiku” :

„Gór kopuły są jak apostołowie, na których duch zstąpił święty.

otrzymuje dalsze coraz dokładniejsze dane

„unoszą się nad nimi jałowców rude płomienie,  
drobne węgielki wron coraz to nad ten ogień podrzuca  
październik”  
(„Powrót do kraju łagodności”, str. 31)

Są to przykłady świadczące o tym że Harasymowicz, podobnie jak Herbert, często *uprawia poezję*. Ale jeżeli drugiego z nich uderza wszystko to co w niezgodzie z ładem, prawem i sprawiedliwością, pierwszego, przynajmniej na początku, radowała i bawiła uroda i dziwność świata sama w sobie, bez powiązania z jakimkolwiek systemem czy wartościowaniem.

Nawet dzięki wspomnianemu, staremu jak świat sposobowi porównywania (mickiewiczowskie: „słońce na nim czerwone jak pożar na dachu”) Harasymowiczowi udaje się odnaleźć po-

dobieństwa wspaniałe i zaskakujące, zwłaszcza gdy wizja jest ruchoma, jak np. w „Zamku księżniczek” („Wieża Melancholii” (6), str. 11), gdzie czytamy:

„gdy zachodu jabłko czerwone gęsty wysoki jeź lasów coraz  
dalej i dalej unosi...”.

Przyszedł jednak czas, kiedy Harasymowicz przestał bałniować wokół rzeczy i na ich cześć, kiedy zbuntował się przeciw porządkowi, chociażby nawet porządek ten był jak najbardziej uroczy. Przyszedł czas, kiedy zbuntował się przeciw tradycyjnej poetyce polskiej, dającej w wyniku litografii „z głębszą myślą”. Równało się to porzuceniu metody na rzecz szaleństwa. Równało się to życiu w poezji.

I wtedy wyobraźnia coraz częściej zaczyna porzucać widoki gotowe, przestaje zajmować się interpretowaniem. Poetę coraz bardziej zajmuje sam ruch, sam tok wyobrażający, który daje się zapisywać tylko w języku subiektywnym, przy pomocy obrazów dartych skąd się da, wbrew ich łaadowi macierzystemu i materialnemu.

Coraz częściej Poeta zaprasza nas w podróż, której dróg sam jeszcze nie zna i nie przewiduje. Zaczynając bowiem swój wiersz, wiedział tylko że *rusza* i wyobraźnia, której ukazał nowe możliwości, pozwoliła mu dotrzeć o wiele dalej niż się to udaje tym, co szafują malowniczymi kulturalnościami, cytatami i wiedzą z małego Larousse'a plus gołąbek czy pierś dziewczęca. I dlatego wiersze Harasymowicza są na terenie naszej poezji nowiną, nowiną której nadejście od lat zapowiadali polscy futuryści i poeci Awangardy. Są też nowiną wbrew tym ostatnim, ponieważ Harasymowicz podjął ryzyko odkrywania w sposób bez-wstydlivy swego anormalnego, bo poetyckiego, obsesyjnego ja.

Dopiero ruchomość wyobraźni, jej dar nagłego i bujnego sprzęgania obrazów jest twórczością. Flegmatycznego saneczkowicza, zjeżdżającego pracowicie z jednej i tej samej góry, zastąpił narciarz sunący na przelaj, wciąż dalej od wydeptanych stoków zimy. Tylko w czasie takiej podróży można zobaczyć, jak:

„Jesień uciekając przed zimą wszystko pali...”  
(„Pogrzeb poety strachów na wróble”, str. 49)

tylko w czasie takich podróży można przeżyć podobne rzeczy, jak ta:

„Czasem w miasteczkach, które nakryć mogłem swoim  
kapeluszem  
W kostkę czarną domina w jej otworki na rynku z łuku szylem

(6) Jerzy Harasymowicz: *Wieża melancholii*, Wyd. Lit. Kraków 1958, s. 117;

*I wyskakiwał z kostki ogromny murzyn o sześciu oczach sześciu  
białkach*

*I piwo za to stawiano za to palem*

(„Sowizdrzał” str. 58)

I tak, po opiewaniu cudów, przyszło własne poetyckie cudotwórstwo. Pomiedzy maki, gile i księżniczki wtargnęła erotyczna kareta

*„Kareta dyszłem w niebo mierzy na dyszlu lania nadziana  
umiera jak święta  
Karetę podpierają białe kradzione u wjazdów kamienne kule  
Które nakluwują z wewnątrz różkiem jeszcze nie narodzone  
diablęta...”*

(„Ten wierszyk o księżniczce co sową w pół” str. 21)

Ostatni tom, „Przejęcie kopii”, najlepiej urzeczywistnia nakaz ruchomej wyobraźni; zawiera poematy z pogranicza wiersza budowanego rozmyślnie i głośnego myślenia obrazami. Niepotrzebnym i mało poważnym wtrętem jest część poświęcona kolegom po piórze. Zarówno ukłony jak i uszczypliwości wyrażone są w sposób zbyt prostoduszny... Zamiast cytować fragmenty dużych poematów, (tym bardziej, że jeden spośród nich „Kat” drukowała „Kultura”, nr. 11/121, 1957) przytoczymy wiersz, który obok „Jarzębinobrania”, ukazuje najlepiej żywiołowość i dalekosiężność wyobraźni Harasymowicza.

### GÓRY SKALISTE

*w skalistej dolinie  
klęczy zakonnic czarny tłum  
przed sową ogromną  
z której ulata czerwony dym*

*oczy sowy od wewnątrz  
swą puszystą  
rudą sierścią  
przecieram*

*na mojej głowie  
tańczą dwa półksiężycy*

*moja to dolinka  
moja*

*zaraz sowie  
w ucho szydło wbiję  
ha ha hi hi  
he hu  
wrzaśnie*

*tak naraz  
że zakonnice nie przygotowane  
wyszły bezwiednie  
w górę  
żądzą  
długą czarną i kosmatą  
jak pinie*

*a wtedy powiem stop  
i będzie już skończona  
główna praca  
przy sztucznym zalesianiu*

*w moim królestwie*

(„Wieża Melancholii”, str. 106/7).

Rezygnując z handlu egzotyką i rupieciarnią (à la Gałczyński i Tuwim), Harasymowicz coraz częściej stosuje swoistą mechanikę, ustawiając trampoliny na brzegach społecznej wyobraźni, skąd wybici jego obrazem, szybujemy i zahaczamy o wciąż nowe i coraz dalsze widoki. Daleko za nami pozostają złocone biblioteki *und die ganze Literaturwissenschaft*. Gest demiurga znaczy więcej aniżeli zaduma nad istniejącym światem. Szaleństwo więcej niż sens.

Marian PANKOWSKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

GROSS (Feliks). *The Seizure of Political Power in a Century of Revolutions*. Str. 398. (Wyd. Philosophical Library, New York, 1958).

WULF (Josef). *Raoul Wallenberg*. Str. 96. (Colloquium Verlag, Berlin, 1958 r. Z cyklu: „Köpfe des XX-Jahrhunderts” Tom 9).

DANKOWICZ (Henryk). *Usmiech i zaduma*. Opowiadania z Polski i ze świata. Felietony

izraelskie. Str. 155 oraz wyjaśnienie hebrajskich wyrazów użytych w tekście. (Nakładem autora, Tel-Aviv, 1958).

JĘDRKIEWICZ (Edwin). *Droga z Martynowic*. Str. 273. (Z Serii: Biblioteka Dwudziestolecia. Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1958, cena 15 zł.).

JĘDRKIEWICZ (Edwin). *Świątki i Centaury*. Str. 364. (Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1958, cena 32 zł.).

(7) Jerzy Harasymowicz: *Przejęcie kopii*, Wyd. Lit. Kraków 1958, s. 82;

Londyn, dn. 13 listopada 1958

Szanowny Panie Redaktorze !

Na XIII Walnym Zjeździe Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie w październiku br. powzięto szereg wniosków dotyczących „Merkurjusza Polskiego”, które w praktyce sprowadzają się do rozwiązania obecnej redakcji z dniem 1 grudnia br., i podporządkowania całości pisma ścisłej kontroli władz ZSAPU: numer listopadowy „Merkurjusza Polskiego” jest ostatnim numerem pod redakcją obecnego zespołu. Ze swej strony redakcja złożyła na Zjeździe następującą deklarację:

„Redakcja „Merkurjusza Polskiego” ubolewa nad decyzją ZSAPU nie udzielenia redakcji mandatu na niezależne pismo w ramach organizacji ZSAPU. Redakcja jest zdania, że konsekwencją decyzji ZSAPU będzie odsunięcie się od współpracy z „Merkurjuszem Polskim” wielu zdolnych młodych pisarzy, co z kolei przyczyni się do podważenia wysokiej opinii, jaką „Merkurjusz Polski” cieszy się obecnie wśród społeczeństwa polskiego zarówno w kraju jak i na emigracji”.

W przekonaniu, że istnienie na emigracji niezależnego pisma młodzieżowego jest konieczne, ustępująca redakcja „Merkurjusza Polskiego” postanowiła stworzyć z dniem 1 stycznia 1959 nowy miesięcznik, którego szczegóły podajemy poniżej. Niniejszym listem zwracamy się do czytelników „Kultury”, którym, ufamy, bliskie są sprawy młodej inteligencji na emigracji, o pomoc dla naszej inicjatywy. Podstawy finansowe naszego nowego pisma pragniemy oprzeć jedynie na życzliwym poparciu społeczności polskiej na emigracji, wobec czego niezależnie od poparcia pisma prenumeratami, co jest sprawą najbardziej istotną, otwieramy fundusz wydawniczy i apelujemy o łaskawe wpłaty.

Dane przygotowywanego miesięcznika:

Tytuł: „Kontynenty — Nowy Merkurjusz”.

Skład redakcji: dotychczasowy zespół „Merkurjusza Polskiego” (Maria Badowicz, Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Ewa Dietrich, Gustaw Radwański, Florian Śmieja i Bolesław Taborski) oraz J. M. Ciechanowski, J. Darowski, J.S. Sito i B. Sulik.

Redaktor naczelny: Adam Czerniawski, 10 Sunbury Avenue, London NW7.

Adres administracji, na który należy zgłaszać prenumeraty i dotacje na fundusz czekiem lub przekazem pieniężnym płatnym na konto „Kontynentów — Nowego Merkurjusza”: B. Czaykowski, 14 Lilyville Road, London SW6. Prenumerata roczna wraz z przesyłką jest na tych samych warunkach co prenumerata „Merkurjusza Polskiego”: 12/ — w W. Brytanii, w innych krajach równowartość \$ 2.00.

W nadziei, że zechce Pan Redaktor zamieścić nasz apel na łamach swego pisma, pozostaję z wyrazami szacunku i podziękowania,

Adam CZERNIAWSKI

Londyn, 15 listopada 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

W reportażu naszym o Polakach w Glasgow (*Kultura*, Nr. 11/133), zauważyliśmy kilka błędów i nieścisłości spowodowanych częściowo spóźnieniem się korekty, które obecnie pragniemy sprostować.

## Listy do Redakcji

Ankara, 16 listopada 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Sądzę, że list p. Kisielewskiego („Kultura” Nr 133) nie może pozostać bez odpowiedzi — a to pomimo jego z gruntu mylnej opinii o „emigracji”. Wbrew jego powierzchownym sądom wychodźstwo współżyje intymnie z Krajem, dzieli jego troski i wątpliwości, zgłębia równoległe z nim problemy realne polskiego narodu. Zyjemy jak manną wieściami z Ojczyzny, wsłuchujemy się w jej mowę, staramy się wespół z nią myśleć politycznie.

W jednym jesteśmy na pewno zgodni: w odczuciu zawodu w stosunku do zachodnich mocarstw, wojennych aliantów Polski. W przekonaniu, że nas wydalili na pastwę Sowietaom. My, na zewnątrz kraju, możemy tę jednostronną opinię uzupełnić, konstatując, że to Rosja sowiecka, najpierw z pomocą niemiecką, a następnie z przyzwolenia aliantów, Polskę najechała, podbiła i zadekrydowała o jej ustroju. Powstanie warszawskie było i dla nas momentem zwrotnym; tylko, że my nie zapominamy o tym, co przemilczać zmuszony jest Kraj: o roli w tym powstaniu Rosji sowieckiej.

Gdyby Polak mógł dzisiaj swobodnie wybierać sojusznika, mógłby on z całym chłodem i rachubą, jaka temu wyborowi przystoi, zastanawiać się nad sojuszem z ZSSR. Ale Polak nie jest wolny, a przeto wyboru takiego uczynić nie może.

Sojusze mogą być zawierane między stronami równouprawnionymi, a więc wolnymi w swym wyborze. Sojusz mógł być negocjowany i zawarty przez Polskę w 1921 z Francją, w 1939 z Wielką Brytanią: nikt nas do tych sojuszów nie zmuszał, nikt wówczas Polski nie okupował, i nie narzucał jej ani ustroju, ani polityki wewnętrznej czy zagranicznej.

Sytuacja Polski podbitej i okupowanej w latach 1939-41 i 1944-45 przez Związek sowiecki jest zgola odmienna. Ustrój organizację państwa, jego politykę, narzuciła przemoc sowiecka. Rząd został wyznaczony w Moskwie. Stosunki zagraniczne były i są dyktowane z Moskwy. Polski Październik 1956 roku nic w tym podstawowym zagadnieniu nie zmienił. W stosunku do Sowietaom obecni rządowcy polscy są tak samo zależni i posłuszni, jak byli w poprzednim dziesięcioleciu. A żeby ten stan rzeczy uwiocznic bez żadnej wątpliwości, Moskwa jasno oświadczyła, że gdyby kiedykolwiek, w którymś z krajów podbitych, komunizm został zagrożony, czy z zewnątrz czy przez własne społeczeństwo Związek sowiecki czułby się w obowiązku przyjść z czynną, to znaczy wojskową pomocą komunizmowi.

W tych warunkach dylemat „sojuszu z Rosją” dla Polaka po prostu nie istnieje. Nawet gdybyśmy mieli chęć zawarcia Takiego sojuszu, nie mamy doń równouprawnionych partnerów. Nie istnieje władza polska, posiadająca prawo, by taki sojusz zawrzeć.

Łączę wyrazy poważania

Michał SOKOLNICKI

Na str. 68 zdanie: „Katolicki biskup Glasgow nie uznaje zwierzchności arcybiskupa Edynburga” powinno brzmieć: „Katolicki *arcybiskup* Glasgow itd.”

Na str. 71 zdanie: „...zainteresowanie sprawami Klubu jest zainteresowaniem rzeczami konkretnymi, Domem, finansami, wyborem dobrego kierownika...” powinno brzmieć: „...zainteresowanie sprawami Klubu jest zainteresowaniem rzeczami konkretnymi, Domem, finansami, *otrzymaniem* „dobrego” kierownika...”

Podobnie na str. 73 zamiast „Dlatego go wybieramy” — śmieje się p. Półtorak, powinno być: „Dlatego go *popieramy*...”

Na str. 77 zdanie: „Utrzymanie jednej neutralnej postawy powoduje, że obie strony bywają z księdza niezadowolone”, powinno brzmieć: „Utrzymanie *jednak* neutralnej postawy itd.”

Ponadto, już po odesłaniu reportażu sowiedzieliśmy się, że informacje jakie otrzymaliśmy odnośnie braku aktywności Towarzystwa Przyjaciół Kultury w Glasgow nie były zgodne z rzeczywistością. Jak się okazuje w okresie ostatnich paru miesięcy Towarzystwo odbyło kilka zebrań, a mianowicie: dwa zebrania poświęcone twórczości Conrada (odczyt dr. Dąbrowskiego i zebranie dyskusyjne), odczyt p. Czesława Dobka o współczesnej literaturze krajowej, wieczór poświęcony tematowi „Bohaterstwo w poezji polskiej”, i odczyt p. Bobolewskiego o twórczości Marka Hłaski. Przeciętą frekwencja na wieczorach wynosiła 20 osób.

Nieście jest także określenie funkcji inż. Kota w latach poprzedzających rok 1954. Inż. Kot był wtedy jedynie Przewodniczącym Komitetu Klubu Domu SPK, natomiast nigdy nie piastował funkcji prezesa Koła SPK w Glasgow.

Panu A. Bieszczadowi, Prezesowi Koła Związku Inwalidów w Edynburgu, którego list w związku z naszym reportażem o Polonii Edynburskiej ukazał się w poprzednim numerze *Kultury*, pragniemy podziękować za świeże fakty i inne naświetlenie sprawy Domu Inwalidy w Edynburgu. Jak już wspominaliśmy w naszym apelu o dodatkowe informacje, opierając się musimy głównie na danych udzielonych nam przez naszych rozmówców, a nie zawsze jesteśmy w stanie dotrzeć do wszystkich, których chcielibyśmy lub powinniśmy być zobaczyć.

Przyjeżdżając na „Prowincję” nie mogliśmy także wiedzieć, że Kierownik Domu Inwalidy w Edynburgu okaże się osobą niekompetentną do udzielania informacji. Chcemy także zwrócić uwagę, że jakiegokolwiek były intencje projektodawców kupna Domu Inwalidy, *praktycznie* rzecz biorąc Dom ten musiał stać się konkurentem Domu SPK. Faktem jest także, że niektóre organizacje uznające zwierzchność „Zamku” przeniosły się do Domu Inwalidy z chwilą jego otwarcia, przestając tym samym korzystać z Domu SPK, co — słusznie czy niesłusznie — nadać musiało rywalizacji pomiędzy obu Domami posmaku politycznego. Można także dodać, że otwarcie Domu Inwalidy zbiegło się z okresem pewnego zastoju w życiu Polonii edynburskiej. Pisze o tym zastoiu „Edynburski Biuletyn Informacyjny” z dnia 1 lipca br. (w sprawozdaniu z działalności Rady Stowarzyszeń za rok ub. p. St. Maja): „Skutki sporów wewnętrznych i walk ambicyjnych widoczne są również i w naszym, edynburskim życiu. Frekwencja na zebraniach i uroczystościach narodowych spadła. Ludzi chętnych do pracy społecznej jest coraz mniej”. Czy otwarcie Domu Inwalidy przyczyniło się do wzbogacenia polskiego życia w Edynburgu i czy na dłuższą metę rywalizacja paru Domów wyjdzie im na dobre? — na te pytania p. Bieszczad nie odpowiedział w swoim liście.

Łączymy, Panie Redaktorze, wyrazy szczerego szacunku

Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK

London, dnia 21. 10. 58.

Szanowny Panie Redaktorze

Nie ulega wątpliwości, że autorzy reportażu „Polacy w Szkocji” nie znali Szkocji w tych czasach, kiedy była ona najsilniej związana z Polakami, a raczej należałoby powiedzieć tej Szkocji, z którą Polacy byli najsilniej związani.

W czasie wojny spędziłem w Szkocji dłuższy okres czasu i kiedy w dziesięć lat później pojechałem tam na urlop nie mogłem się wyzbyć emocjonalnego nastawienia. Zarośnięty i gnijący Largo House wydawał się obrażać pamięć tych wszystkich, którzy tu przechodzili próbę silnej woli i sprawności fizycznej. Jedyną namacalną pamiątką były dziury w suficie stajni, przez które ćwiczone wysoko z samolotu. Pięknie zakonserwowany obóz nad zatoką Gareloch, w którym zdawałem maturę, kiedyś rozhułkany, teraz ział ciszą i pustką. Dziwne i obce wydawało się każde maścyczko szkockie bez polskich mundurów i samochodów z PL.

Autorzy reportażu interesują się głównie teraźniejszością, natomiast jeszcze bardzo niedaleką przeszłość traktują po macoszemu. Pozwolę sobie zacytować z wrześniowej „Kultury”. „W 1941 roku pojawili się zesłańcy z Rosji; przypyływały grupy ochotników ze starych zamorskich emigracji, a w 1944 roku przysły pierwsze transporty Polaków — jeńców z armii niemieckiej”.

Cytat ten świadczy o jedynie pobieżnej znajomości nie tylko zagadnienia Polaków w Szkocji, ale również historii P.S.Z. w ostatniej wojnie. „Zesłańcy z Rosji” w żaden sposób nie mogli się zjawić w Szkocji w 1941 roku, chociażby się nawet bardzo spieszyli. Przecież pierwsza ewakuacja z Rosji miała miejsce w marcu i kwietniu 1942 roku. To spowodowało, że gros uzupełnień z Rosji poprzez Śr. Wschód przybyło do Szkocji w drugiej połowie 1942 roku.

Również autorzy myślą się, o ile chodzi o ex-żołnierzy Wehrmachtu. Pierwsza grupa z armii niemieckiej przybyła do Szkocji w jesieni 1943 roku. Byli to podkomendni Romla z doborowego Afrika Korps. Nic też dziwnego, że Montgomery, przemawiając do żołnierzy I Dywizji przed jej wcieleniem do wojsk inwazyjnych drugiego frontu, zwrócił się specjalnie do tych, którzy tak niedawno walczyli przeciw niemu, a teraz będą walczyć pod jego dowództwem.

I jeszcze jeden cytat. „Za przykładem dowódcy i zastępcy dowódcy I Korpusu blisko 50 procent żołnierzy powróciło do Kraju”. Zdanie to brzmi trochę naiwnie. Nie wydaje mi się, żeby przeciętny żołnierz w Szkocji był zbyt skłonny pójść „za przykładem dowódcy”, a zresztą dowódców było wielu, Dreszer, Kukiel, Zajac, Boruta-Spiechowicz, znowu Zajac, Maczek, a tylko jeden z nich powrócił do kraju. Ten jedyny zresztą nie był ani zbyt znany, ani popularny wśród żołnierzy w Szkocji. Poza tym, z punktu widzenia formalnego, ani Brygada Spadochronowa, ani też wszystkie ośrodki wyszkoleniowe nie podlegały dowódcy I Korpusu.

Pozostając z głębokim szacunkiem

Zbigniew SIEMASZKO

Glasgow, 8 listopada 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na str. 81-ej listopadowej „Kultury”, w artykule B. Czaykowskiego i B. Sulika pt. „Polacy w Szkocji (3)” wymieniony zostałem jako jeden



z trzech pracowników naukowych, zatrudnionych na uniwersytecie glasgowskim, z adnotacją „prof.” i „językoznawca”. W związku z tym chciałbym stwierdzić, że jestem wykładowcą (po angielsku: *lecturer*), nie zaś profesorem i że moje językoznawstwo ogranicza się, do polonistyki i lituanistyki.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

St. WESTFAL

Londyn, 12 października 1958

Szanowny Panie Redaktorze,

Uwagi „Londyńczyka” w Kronice Angielskiej w nr październikowym „Kultury” na temat literatury krajowej i emigracyjnej (używam tego rozróżnienia wbrew woli, albowiem nigdy go nie uznawałem), skłaniają mnie do zabrania głosu w sprawie zjawiska zwanego Witoldem Gombrowiczem. Nie od dzisiaj chciałem powiedzieć parę słów w kwestii, co do której stworzono u nas w pewnych kołach legendę. Mam tę skromną przewagę nad „Londyńczykiem”, że przed rokiem odwiedziłem Polskę: a krótki nawet pobyt w Kraju stanowi cenną korekturę dla licznych sądów, ocen i legend, jakie z konieczności tworzą się w środowisku emigracyjnym.

„Londyńczyk” przytacza rozmowę z jednym z Polaków w Kraju, który wyraził zdanie, iż na emigracji przebywa „najciekawszy współczesny prozaik polski”, którym mianuje Gombrowicza, „najwybitniejszy współczesny poeta”, za którego uważa Czesława Miłosza; że „w Kraju Gombrowicz jest na wagę złota”.

Niech mi wolno będzie sprostować te oceny na podstawie rozmów jakie prowadziłem w Kraju. Zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że wszelkie „stawianie stopni” w literaturze jest rzeczą dosyć zenującą: ale skoro „Londyńczyk” sprowokował dyskusję przez takie właśnie ujęcie całego zagadnienia, warto przyjrzeć się z bliska jego diagnozie (najwyraźniej bowiem podziela on sąd Polaka z Kraju).

Dąbrowska, Parandowski, Iwaszkiewicz i Słonimski należą na pewno do czołowej stawki pisarzy, która uznawana jest powszechnie; to, że pisarze ci byli uformowani jeszcze przed wojną nie zmienia faktu, iż dalej są uważani za autorów największej wagi. Jeżeli chodzi o poetów to Lechoń i Wierzyński stawiani są dalej jako pierwsze nazwiska; Miłosz ma bardzo wysoką rangę i kto wie, czy nie uważa się go za najpierwszego pisarza *tout court* (a nie poetę) średniego pokolenia. „Dolina Issy” ustaliła w Kraju jego wielką rangę jako prozaika; przedtem „Zniewolony Umysł” jego klasę analityka i essayisty (ten tom był istotnie „na wagę złota”). Znaczenie Miłosza podnosi jeszcze w Kraju fakt, że jego utwory penetrują na Zachód, że Miłosz jest tłumaczony (ten motyw wobec pisarzy przebywających na obczyźnie jest ważny dla Kraju i dlatego pytano mnie często o takich autorów jak Herling-Grudziński i Jerzy Pietrkiewicz).

Gombrowicz nie jest w Polsce autorem nieznanym czy zatajonym: jego książki pojawiły się w Kraju; pisano o nim jako o ciekawym zjawisku, które dyskutowane było żywo już przed wojną: ale nie mogłem się doszukać jakiegoś nadmiernego kultu tego pisarza, ani też przekonania, że tworzy on rzeczy wyjątkowej wartości. W poważnej ocenie krytycznej panować się zdaje przekonanie, że Gombrowicz przez osobliwość swojego tonu, tak

rzadkiego w naszej uroczystej i podniosłej literaturze, wysunął się na front zaciekawienia i że ten sukces nie stoi w żadnej proporcji do istotnych zasług pisarskich tego autora.

„Ferdydurke” Gombrowicza była książką niezwykle ciekawą, książką doskonałych zapowiedzi; ale nie sposób dzisiaj z perspektywy czasu orzec, że ona jedna ostała się w literaturze młodej generacji doby 20-lecia. Jest ona jednym z przejawów nowych tendencji obok takich pisarzy jak Uniłowski, Bruno Szulc i przede wszystkim Michał Choromański, formalnie najciekawszy z młodej generacji 20-lecia.

Kłopot jest w tym, że Gombrowicz uważa siebie nie tylko za największego pisarza 20-lecia i potem, ale za burzyciela mitów, za tego, kto chce zmienić oblicze Polski, polityczne, kulturalne, myślowe, Bóg raczy wiedzieć jeszcze jakie. Uważa siebie nie tylko za Żeromskiego i Wyspiańskiego w jednej osobie ale i bodaj Irzykowskiego, Stanisława Brzozowskiego z jego „Legendą Młodej Polski” i jeszcze paru innych na dokładkę. Jego „Dziennik” jest nieznośnym pokazem egocentryzmu, auto-reklamy, zazdrości wobec innych, epatowania południowo-amerykańskich burżujów, wszechstronnych urazów. Jest to interesujący materiał dla psycho-analityka, który by odkrył w tych kartkach „Dziennika” bogaty materiał dla choroby zwanej *frustration*.

W jednym z wyjątków „Dziennika” Gombrowicza, drukowanych na łamach „Kultury”, była charakterystyczna rozmowa autora z jego przyjaciółmi na temat koni: oni zachwycali się wdziękiem jeźdźca, — na co Gombrowicz natychmiast zaoponował, dowodząc, że widok ten jest nienuaturalny, itd. Cały wywód Gombrowicza wynikał z ulubionej jego metody, którą nazwać by można robieniem i myśleniem na przekór i to za wszelką cenę. W tej metodzie da się odkryć pokłady tego co można by nazwać za kostwem tego pisarza, osobliwie niedojrzałego, albo niechęącego dojrzeć. Jest to zjawisko, które język angielski zowie mianem *adolescent mind*; Gombrowicz chce być zawsze i ciągle pokwitującym żartownisem, swawolnym Dziemem literatury. Jest niewątpliwie swawolnym Dziemem polskiego piśmiennictwa; ale nie może sobie rościć pretensji do rangi autora poważnego. Pada on ofiarą tego samego złudzenia, które sprawia, że np. świetny przedwojenny felietonista przebywający na obczyźnie — jeden z najlepszych jakich miała Polska w wieku 20-tym — uważa się za politycznego leadera i proroka. albo najprzedniejszy polski satyrk naszej ery pozuje się na wieszca narodu.

W n-rze październikowym „Kultury” znajdujemy znowu materiał do analizy schorzeń Gombrowicza w „Fragmencie z Dziennika”: oto pisząc o doskonałych naprawdę „Szkieletach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego pisze, że 3 maja 1942 „Bobkowski uczył żonę jeździć na rowerze w lasku Vincennes”. Nie potrafi jednak zatrzymać się długo na tym jego chorobliwym egocentryzm podseptuje mu od razu pytanie „A ja? Co robiłem w tym dniu?” Po czym wraca, nie wiadomo po raz który do tego co on, Gombrowicz myślał o Francji (choć Bogiem a prawdą nigdy się to nie ujawniło w jakimkolwiek głębszym ujęciu, odnoszącym się do Francji) i oczywiście o Polsce („Polska była i jest tylko jednym z rozlicznych moich kłopotów”, wyznaje laskawie Gombrowicz). Jest to klasyczny wprost *passus* dla psycho-analityka, jeżeli chodzi o chorobliwy przerost egocentryzmu, przekonania o swojej wadze i o wartości tego, co dany autor myśli czy pisze. Pozwalam sobie stwierdzić, że jest to wszystko dziecinada, przesadna auto-reklama, wydymanie swojego znaczenia do rozmiarów oczywistej śmieszności. To przejęcie się sobą, ta chorobliwa zazdrość o wszystkich i wszystko, to ustawiczne wołanie „a ja także?”, sprawia, że „Dziennik” Gombrowicza jest lekturą nie tyle zabawną co męczącą. Niestety, nie stanie się on dokumentem w stylu „Journal” Amiela; ani Gide’a czy Julien

Green'a. Zawartość myślowa tych kart jest skromna: są to myślowe żarty, widziwiana, robienie na złość, na przekór; ale do licha, nie róbmyż z tego zwierza na poziomie Simone Weil.

Gombrowicz pasjonuje się zadaniem odbronzawiania wielu rzeczy i cech polskich; czas najwyższy, ażeby ktoś dokonał odbronzawienia Gombrowicza.

Łączę wyrazy szczerego poważania.

Zbigniew GRABOWSKI

Chamalières (Puy-de-Dôme), 10 listopada 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł W.A. Zbyszewskiego „Eksplodacja demograficzna” zawiera sporo jednostronnych i przez to niebezpiecznych uogólnień. Punktem wyjścia jest sytuacja Polski przedwojennej. Niewątpliwie duży przyrost ludności sprawiał, że nawet w okresie dobrej koniunktury zwiększenie dochodu społecznego z trudem tylko dotrzymywało kroku zwiększeniu liczby obywateli, wskutek czego przeciętna stopa życiowa nie podnosiła się. Istotną przyczyną tego stanu rzeczy było jednak zbyt wolne tempo rozwoju gospodarczego. „Mało pracujemy, mało oszczędzamy” — to sformułowanie prof. Krzyżanowskiego podkreślało podstawowe problemy; dodatek „mamy dużo dzieci” był znacznie mniej ważny i byłby może nawet zbędny, gdyby nieudolna polityka gospodarcza nie skazywała ogromnego procentu tych dzieci na bezrobocie.

Niemal wszyscy ekonomiści i demografowie zgodnie stwierdzają, że najważniejszym motorem niesłychanego postępu gospodarczego Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich 75 lat był przyrost ludności i że ten przyrost ludności pozostaje najlepszym gwarantem dalszego podnoszenia się stopy życiowej. Biorąc bliższy nam przykład Francji, konstatujemy, że polityce jedyne dziecko, praktykowanej w okresie międzywojennym, odpowiadała stagnacja gospodarcza i obniżanie się poziomu życia, podczas gdy obecne „rozmnażanie się” narodu francuskiego w tempie 800.000 dzieci rocznie zbiega się, dziwnym trafem, z bezprzykładnym rozmachem ekonomicznym. W latach 1949-1955 ludność Francji wzrastała o mniej więcej 0.70% rocznie, a dochód społeczny o 4.90% rocznie. W tym samym okresie w Stanach Zjednoczonych przyrost ludności zbliżony był do 1% rocznie, a przyrost dochodu społecznego do 4.50%. Trudno oczywiście bawić się w odgadywanie „co by było gdyby”, ale istnieje wiele danych po temu by sądzić, że bez przyrostu ludności tempo zwiększania dochodu społecznego tak by osłabło, że stopa życiowa (tzn. dochód społeczny przeliczony na głowę ludności) byłaby niższa niż jest w rzeczywistości w obecnej chwili w obu tych krajach.

Rola ekonomiczna przyrostu ludności jest więc problemem znacznie bardziej skomplikowanym niż to się wydaje W.A. Zbyszewskiemu. Kolebka z trzecim dzieckiem, która jest dla niego zwiastunem nieszczęść, pomnaża niewątpliwie trudności Indii, Japonii czy Algierii, jest natomiast niezmiernie szczęśliwym wydarzeniem nie tylko indywidualnie-rodzinnym ale i państwowo-gospodarczym w Ameryce Północnej, w Australii czy we Francji.

Przyrost ludności nie powinien być nigdy rozpatrywany w oderwaniu od rzeczywistości gospodarczej danego kraju czy danej części świata. O tym czy jest on dostateczny, niedostateczny czy nadmierny, nie decydują cyfry urodzeń i śmierci, ale stosunek tych cyfr do tego rodzaju danych jak bogactwa naturalne, możliwości produkcyjne rolnictwa, tempo inwestycji przemysłowych itp. Inaczej mówiąc, dla każdego terytorium istnieje niewątpliwie optimum populacyjne, które jest funkcją elementów technicznych, strukturalnych a nieraz i politycznych. To optimum nie jest zresztą absolutne, lecz zmienne w czasie, zgodnie z przemianami zachodzącymi w czynnikach, które je determinują. Holandia ze swymi 300 mieszkańcami na kilometr kwadratowy jest z tego punktu widzenia mniej przeludniona niż Włochy ze 150; optimum populacyjne Chin uprzemysłowanych będzie znacznie wyższe niż Chin przedkomunistycznych itp. itp.

Dopóki kraj znajduje się znacznie poniżej tego optimum, przyrost ludności jest pożądany, gdyż jest bodźcem rozwoju ekonomicznego. Natomiast powyżej optimum do samo zjawisko jest źródłem wzmogonych trudności.

Planifikacja demograficzna w sensie ograniczenia liczby urodzeń jest więc niezbędna tam, gdzie grozi absolutne przeludnienie, natomiast w krajach takich jak Stany Zjednoczone, Kanada, Australia, Francja itd. uzasadniona jest raczej polityka przeciwna, faworyzująca przyrost ludności.

Jeżeli chodzi w szczególności o Polskę, problem, czy znajduje się ona w stanie absolutnego przeludnienia, nadaje się do poważnej dyskusji. W każdym jednak razie stawianie pod tym względem Polski na jednej płaszczyźnie z Indiami i Chinami wydaje mi się nieco demagogiczną przesadą.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania

Dr Mieczysław EPSTEIN

Prof. Ekonomii na Ecole Supérieure de Commerce  
Clermont-Ferrand

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P. K. O. - WOLNE od CŁA  
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 200 popularnych paczek  
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)  
na żądanie.

**CENTRALA WYSYŁKOWA  
HASKOBA LTD.**

**121 Earls Court Rd, London S. W. 5**



Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.  
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,  
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1958.

## Zapowiedzi wydawnicze

### BIBLIOTEKA "KULTURY"

JAMES BURNHAM

### REWOLUCJA MANADŻERSKA

w tłumaczeniu Jerzego Horzelskiego i ze wstępem autora  
do czytelnika polskiego

JAN KOWALIK

### KULTURA

Bibliograficzna analiza 10 lat, 1947-1957

TADEUSZ KATELBACH

### ROK ZŁYCH WRÓŻB

(1943)

PAWEŁ ZAREMBA

### HISTORIA POLSKI

(DO ROKU 1957)

# KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanical), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 220 fr.	21 sh. 1.100 fr.	42 sh. 2.200 fr.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
IZRAEL : Diffusion du Livre Français, Ltd, 35, rue Rashi, B.P. 3172, Tel Aviv	350 fr.	1.280 fr.	2.560 fr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vatra Trade, 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalaajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss, Kongesgt. 2			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskörgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; S. Dzierzykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dzienanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowość

TOM XXXIV BIBLIOTEKI "KULTURY"

**ALBERT CAMUS**

Laureat Nobla

# **CZŁOWIEK ZBUNTOWANY**

*Głośna książka o problemie politycznego terroru, gwałtownie zwalczana po jej ukazaniu się przez J.-P. Sartre'a i jego otoczenie, przełożona następnie na wiele języków.*

Cena egzemplarza 1000 frs (18 sh., 2,50 dol.)